

Howard Robert

Conan Uzurpator



calibre 0.9.27

CONAN UZURPATOR

PRZEKŁAD Zbigniew Królicki

TYTUŁ ORYGINAŁU: Conan the usurper

WSTĘP

Jednym z najlepszych gawędziarzy na świecie był Robert Ervin Howard (1906–1936) z Cross Plains w Teksasie. Chociaż Howard był wszechstronnym i płodnym pisarzem — napisał, na przykład, szereg skrzących się humorem opowiadań z Dzikiego Zachodu — jednak szczyt swych twórczych zdolności osiągnął w rojących się od przygód opowiadaniach fantasy. W tych opowieściach o herosach i czarnoksiężnikach, o demonach i potworach spotykamy niezapomniane, niepowtarzalne postacie: króla Kulla z Waluzji, Brana Mak Morna, Salomona Kane — oraz najpotężniejszego i najbarwniejszego z nich, Conana Cymeryjczyka, bohatera przeszło dwudziestu porywających opowiadań.

Conan miał żyć około dwanaście tysięcy lat temu w wymyślonej przez Howarda erze hyboryjskiej, po zatonięciu Atlantydy, w czasach nie objętych żadnymi przekazami historycznymi. Olbrzymi, żądny przygód barbarzyńca z leżącej daleko na północy Cymerii (patrz mapka), brodził przez rzeki krwi i zwyciężał każdego przeciwnika, czy to zwykłych śmiertelników, czy istoty nadprzyrodzone, aby w końcu zostać królem hyboryjskiego królestwa Akwilonii.

Za życia Howarda opublikowano osiemnaście opowiadań o Conanie, a w ciągu ostatnich dwudziestu lat odkryto rękopisy kilku innych — zarówno kompletnych, jak i nie dokończonych. Przypadł mi w udziale zaszczyt wydania ich po śmierci pisarza oraz opracowania większości niekompletnych utworów.

Z czterech opowieści składających się na ten tom, pierwsze dwie mają dość skomplikowaną historię. W 1951 roku w stercie niepublikowanych rękopisów znajdujących

się w domu Oscara J. Frienda, ówczesnego agenta literackiego zajmującego się spuścizną literacką Howarda, odkryłem opowiadanie zatytułowane „Czarny nieznajomy”.

Przygotowując rękopis do druku, przeredagowałem go dość gruntownie, skracając tekst o około piętnaście procent i dodając szereg wątków, aby powiązać opowiadanie z królem Numedidesem, Thoth–Amonem oraz późniejszą rewoltą w Akwilonii, tak aby dopasować je do całości sagi.

Wydawca „Fantasy Magazine”, który jako pierwszy opublikował ten utwór, poczynił dalsze zmiany i skreślenia. Tę wersję wydano ponownie w 1953 roku w zbiorze King Conan. Redaktor czasopisma przywrócił poprzedni tytuł, jednak kiedy opowiadanie zamieszczono w zbiorze King Conan, zmieniłem tytuł na „Skarb Tranikosa”, ponieważ „Czarny Nieznajomy” nazbyt przypominał wiele tytułów innych utworów Howarda, z których co najmniej tuzin zawiera słowo „czarny”.

Opracowując niniejszy zbiór, wróciłem do oryginalnego rękopisu Howarda i przeredagowałem go ponownie, unikając skrótów i robiąc jedynie takie zmiany, jakie wydawały się naprawdę niezbędne. Odrzuciłem poprawki poczynione przez redakcję „Fantasy Magazine”, jednak zachowałem wątki wprowadzone za pierwszym razem, aby powiązać opowiadanie z pozostałymi częściami sagi — takie jak wyjaśnienie przyczyn ucieczki Conana z Akwilonii. Tak więc tekst, który czytacie, jest o wiele bardziej zbliżony do oryginału Howarda niż uprzednio publikowane wersje.

Ponadto Glenn Lord, obecny agent literacki zajmujący się spuścizną po Howardzie, w 1965 roku znalazł w papierach pisarza opowiadanie „Wilki na granicy”. Wydawało się, iż jest to ostateczna wersja utworu, jednak opowiadanie urywało się w połowie (na scenie walki w chacie), a dalszy ciąg był podany jedynie w formie krótkiego streszczenia, mieszczącego się na jednej stronie. Nigdy nie dowiemy się, czy Howard znużył się tym tekstem, czy też odłożył go na bok, chcąc skończyć później. Opierając się na tym streszczeniu, podjąłem się dokończenia tekstu z zachowaniem stylu pisarza.

Dwa pozostałe opowiadania — „Feniks na mieczu” i „Szkarłatna cytadela” — mają, oprócz kilku drobnych zmian redakcyjnych, tę samą postać, w jakiej wyszły spod pióra Howarda i w jakiej zostały opublikowane w roku 1930 w Weird Taks.

Saga o Conanie rozpoczyna się następująco: Conan, syn cymeryjskiego kowala, urodził się na polu bitwy w tej górzystej, zasnutej chmurami krainie. Jako młodzieniec wziął udział w splądrowaniu Venarium — nadgranicznego fortu Akwilończyków, następnie, przyłączywszy się do zgrai Asirów ruszających na wyprawę do Hyperborei, został schwytyany przez Hyperborejczyków. Uciekwszy z niewoli, powędrował do Zamory i przyległych krajów, gdzie zarabiał na dostatnie życie jako złodziej. Nieobyty z cywilizacją, nie uznający żadnych praw nadrabiał brak subtelności i wyrafinowania wrodzonym sprytem oraz herkulesową siłą odziedziczoną po ojcu.

W końcu zaciągnął się jako najemnik do armii króla Turanu, Yildiza. Odbił rozliczne podróże po hyrkańskich krainach, gdzie znakomicie opanował umiejętność konnej jazdy i strzelania z łuku. Później był kondotierem, przywódcą bandy czarnoskórych piratów grasujących u brzegów Kush, a także najemnikiem na służbie Shemu i w ościennych krajach. Wrócił do zbójowania jako naczelnik kozaków ze stepów na wschodzie i piratów z morza Vilayet. Później był żołnierzem w królestwie Khauranu i spędził dwa lata jako wódz Zuagirów, koczowniczych Shemitów żyjących na wschodzie. Następnie przeżył wiele niebezpiecznych przygód w Iranistanie i Venhyi, w trakcie których w Górach Himeliańskich natknął się na Czarnych Magów z Yimszy.

Wróciwszy na zachód, Conan ponownie przystał do piratów z Wysp Barachańskich i bukanierów z Zingary. Potem znów widzimy go w szeregach armii Stygii i różnych czarnych królestw. Powędrował na północ, do Akwilonii i w wieku już prawie czterdziestu lat został zwiadowcą na piktyjskim pograniczu. Kiedy Piktowie, z pomocą czarownika Zogar Saga, zaatakowali akwilońskie osady, Conan daremnie próbował ocalić Fort Tuscelan od

zniszczenia, lecz zdołał uratować życie wielu osadnikom między Rzeką Gromu a Czarną Rzeką. W tym momencie rozpoczyna się akcja niniejszej książki.

L. Sprague de Camp

SKARB TRANIKOSA

Po wypadkach opisanych w tomie „Conan wojownik” w opowiadaniu „Za Czarną Rzeką” Cymeryjczyk szybko robi karierę w akwilońskiej służbie. Zostawszy generałem, pokonuje Piktów w wielkiej bitwie pod Velitrium i ukręca kark ich sprzysiężeniu. Następnie dostaje wezwanie do stolicy, Tarantii, gdzie ma odprawić triumf. Jednakże wzbudziwszy podejrzania i zazdrość zdeprawowanego oraz głupiego króla Numedidesa, zostaje uśpiony środkiem podanym w winie i z wyrokiem śmierci zamknięty w Żelaznej Wieży. Ale barbarzyńca ma w Akwilonii zarówno wrogów, jak i przyjaciół, więc wkrótce zostaje cichaczem uwolniony z więzienia i zapatrzony w konia oraz miecz. Wraca na pogranicze, gdzie stwierdza, iż jego bossońskie oddziały zostały rozpuszczone do domów, a za jego głowę wyznaczono nagrodę. Przepłynąwszy przez Rzekę Gromu, wyrusza przez wilgotne krainy Piktów w kierunku odległego morza.

1

POMALOWANI LUDZIE

Jeszcze przed chwilą polanka była pusta, teraz na skraju zarośli stał przyczajony człowiek. Żaden dźwięk nie ostrzegł szarych wiewiórek o jego przybyciu, ale barwnie upierzone ptaki fruujące w słońcu ponad puszcza wystraszyły się jego niespodziewanego nadejścia i poderwały się zgiełkliwą chmurą. Mężczyzna zmarszczył brwi i szybko obejrzał się za siebie, jakby obawiając się, że wystraszone ptaki zdradzą jego obecność komuś niewidocznemu. Potem, ostrożnie stawiając nogi, zaczął skradać się przez polankę.

Mimo potężnej, muskularnej budowy poruszał się zwinnie jak lampart. Oprócz przepaski na biodrach nic nie miał na sobie, a jego kończyny poznaczone były licznymi zadrapaniami i pokryte zaschniętym błotem. Potężnie umięśnione lewe ramię miał owinięte zakrwawionym

bandażem. Twarz pod grzywą czarnych, zlepionych włosów była wynędzniała i ściągnięta, a oczy jarzyły mu się jak ślepia rannego wilka. Podążając ledwie widoczną ścieżką wiodącą przez otwartą przestrzeń, lekko kulał.

W połowie polanki na odgłos przeciągłego wycia, niosącego się przez las, stanął jak wryty i z kocią zwinnością obrócił się w kierunku chaszczki, z których wyszedł. Ktoś inny uznałby głos za wycie wilka. Jednak ten człowiek wiedział, że nie był to wilczy zew. Jako

Cymeryjczyk rozpoznawał odgłosy puszczy tak, jak mieszczuch poznaje głosy przyjaciół.

Gdy ponownie odwrócił się i pospieszył ścieżką, w jego nabiegłych krwią oczach zabłysła wściekłość. Szlak, opuszczając polankę, biegł skrajem gęstych zarośli wznoszących się zwartą ścianą pośród drzew i krzewów. Wzdłuż niego, między skrajem polanki a ścieżką, leżał potężny pień, głęboko zanurzony w poszyciu. Kiedy Cymeryjczyk ujrzał kłodę, zatrzymał się i obejrzał za siebie. Zwykły człowiek nie dostrzegłby żadnych śladów jego przejścia, jednak dla wyostrzonych bytowaniem w dziczy oczu barbarzyńcy były one zupełnie wyraźnie. Wiedział, że zauważą je równie bystre oczy tych, którzy go tropili. Barbarzyńca warknął coś pod nosem, jak ścigane zwierzę gotowe kąsać prześladowców.

Z zamierzoną beztroską poszedł dalej, tu i ówdzie deptając nogami źdźbła traw. Potem, dotarłszy do drugiego końca wielkiego pnia, wskoczył nań, zawrócił i szybko pobiegł z powrotem. Ponieważ kłoda była sucha i opłukana przez deszcze, nie został na niej żaden znak świadczący o tym, iż mężczyzna wrócił po swoich śladach. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie zarośla rosły najgęściej, wtopił się w nie jak cień; nawet lekkie poruszenie liści nie zdradzało, gdzie wszedł w gęstwinę.

Minuty wlokły się ospale. Szare wiewiórki znów zaczęły skrzeczeć — po czym rozpląszczyły się na gałęziach i nagle umilkły. Na polance ponownie pojawił się Człowiek. Równie bezgłośnie jak pierwszy przybysz, z zarośli na jej południowym krańcu wyłonili się trzech przysadziści, ciemnoskórzy mężczyźni o muskularnych torsach i ramionach. Nosili wyszywane paciorkami, skórzane przepaski na biodrach, w upięte na czubku głowy włosy

mieli powtykane orle pióra, a ciała pomalowane w wymyślne wzory. Byli solidnie uzbrojeni w toporny oręż z kutej miedzi.

Ostrożnie obejrzel polankę, zanim pokazali się na otwartej przestrzeni, lecz bez wahania wyszli z zarośli zwartym szeregiem. Stąpali cicho jak koty i nachylali się, żeby przyjrzeć się ścieżce. Posuwali się śladami Cymeryjczyka — co nawet dla tych psów gończych nie było łatwym zadaniem. Szli powoli przez polanę; wtem jeden z nich znieruchomiał, mruknął coś i wskazał szerokim grotem dzidy na zgniecione źdźbło trawy w miejscu, gdzie szlak ponownie zagłębiał się w las. Wszyscy trzej stanęli jak wryci, paciorkowatymi oczami mierząc ścianę gąszczu. Jednak tropiony był dobrze ukryty. Nie zauważywszy niczego, co obudziłoby ich podejrzenia, wojownicy w końcu ruszyli naprzód, teraz nieco szybciej. Posuwali się po słabych śladach świadczących o tym, iż ofiara stała się nieostrożna na skutek zmęczenia lub rozpacz. Właśnie mijali miejsce, gdzie zarośla rosły najbliżej prastarego szlaku, gdy Cymeryjczyk wyskoczył na ścieżkę za ich plecami, ściskając broń wyciągniętą z za pasa — w lewej dłoni długi nóż o miedzianym ostrzu, a w prawej toporek z tego samego metalu. Atak był tak szybki i niespodziewany, że ostatni Pikt nie miał żadnej szansy uniknąć ciosu nożem w plecy. Ostrze przebiło mu serce, zanim zdał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Pozostali dwaj obrócili się z błyskawiczną szybkością dzikusów; jednak Cymeryjczyk, wyrywając nóż z ciała pierwszej ofiary, zadał miażdżący cios toporem trzymanym w prawej ręce. Drugi Pikt nie zdążył się jeszcze odwrócić, gdy ostrze opadło, rozłupując mu czaszkę na pół. Ostatni Pikt, sądząc po szkarłatnym zakończeniu orlego pióra — ich wódz, zaatakował wściekle. Wymierzył pchnięcie w pierś Cymeryjczyka w tym samym momencie, gdy ten zdołał wyszarpnąć topór z czaszki zabitego. Jednak Cymeryjczyk przewyższał Pikta inteligencją, a ponadto miał oręż w obu dłoniach. Toporem odbił dzidę na bok i trzymanym w lewej ręce nożem zadał od dołu cios w pomalowany brzuch.

Z ust dzikusa wyrwał się okropny krzyk i Pikt runął na ziemię z rozprutym brzuchem. Na ten okrzyk bezsilnej, zwierzęcej wściekłości odpowiedział dziki chór wrzasków, który rozległ

się na wschód od polanki. Cymeryjczyk, przyczajony do skoku jak osaczony zwierz, drgnął konwulsyjnie i okręcił się na pięcie, szczerząc zęby w wilczym grymasie i otrząsając pot zalewający mu oczy. Spod bandaża sączyła mu się strużka krwi.

Z nieartykułowanym przekleństwem na ustach zawrócił i pomknął na zachód. Teraz nie wyszukiwał już drogi, lecz pędził, ile sił w długich nogach, korzystając z ogromnych i niemal niewyczerpanych zasobów wytrzymałości, którymi Natura wynagradzała mu barbarzyńską egzystencję. Przez chwilę w lesie za nim panowała cisza. Potem rozległo się demoniczne wycie i Cymeryjczyk wiedział już, że prześladowcy znaleźli ciała jego ofiar. Brakło mu tchu w piersi, aby przekląć krople krwi padające na ziemię ze świeżej rany, zostawiające ślad, którym mogłoby podążyć nawet dziecko. Pomyślał, że może trzej Piktowie byli jedynymi z uczestników wyprawy wojennej, którzy ścigali go przez ostatnie sto mil. Jednak mógł też przypuszczać, że te wilki w ludzkiej skórze nigdy nie porzucą krwawego tropu.

W lasach znów zapadła cisza, co oznaczało, iż pędzili za nim po śladzie zdradzających go kropel krwi, której nie potrafił zatamować. Na twarzy poczuł powiew zachodniego wiatru, niosącego znajomą, słoną wilgoć. Cymeryjczyk zdziwił się lekko. Jeśli znajdował się tak blisko morza, to pościg musiał trwać znacznie dłużej, niż sądził.

Jednak teraz ucieczka dobiegała końca; nawet jego wilcza wytrzymałość wyczerpywała się w tym straszliwym wysiłku. Z trudem chwycił oddech i kłuło go w boku. Kolana ugiwały się pod nim ze zmęczenia, a za każdym razem, gdy stawiał na ziemi zranioną nogę, miał wrażenie, że w ścięgna wbija mu się ostry nóż. Kierując się instynktem dziczy, która go wychowała, wyęczał wszystkie nerwy i mięśnie, wykorzystywał wszelkie sposoby i podstępny, aby przetrwać. Teraz, przyparty do muru, słuchał innego instynktu — każącego mu szukać miejsca, gdzie mógłby stoczyć ostatni bój i drogo sprzedać swe życie.

Nie zszedł ze ścieżki i nie szukał schronienia w splątanym gąszczu. Wiedział, że nie może żywić nadziei na zgubienie w ten sposób prześladowców. Krew coraz głośniejsz dudniła mu w

uszech, gdy biegł dalej szlakiem, ze świstem wciągając powietrze przez wyschnięte usta. Za nim słychać było oszalałe ujadanie, świadczące o tym, że zgraja depcze mu po piętach i spodziewa się szybko dopaść ofiarę. Ścigali go jak stado wygłodniałych wilków, wyjąc przy każdym skoku.

Nagle, gdy wypadł z gąszczy drzew, zobaczył przed sobą ścianę urwiska wznoszącego się niemal pionowo w górę, bez żadnego wiodącego nań zbocza. Zerknąwszy na prawo i lewo stwierdził, że ma przed sobą samotną turnię lub ogromny głaz, stojący jak wieża wśród puszczy. Jako chłopiec Cymeryjczyk wdrapywał się na strome ściany skał swojej ojczystej ziemi; jednak wiedział, że gdyby był w pełni sił, mógłby spróbować wspiać się na pobliskie urwisko, teraz — zraniony i osłabiony — miał na to niewielkie szansę. Zanim zdążyłby wdrapać się na wysokość pięciu czy dziesięciu metrów, Piktowie wypadliby z lasu i naszpikowaliby go strzałami.

Jednak może inne ściany skały okażą się mniej niegościnnie. Szlak omijał głaz z prawej strony. Podążając nim, Cymeryjczyk stwierdził, że od zachodu między poszarpanymi głazami biegną skalne półki wiodące na szeroki występ w pobliżu szczytu.

Ten skalny występ może być równie dobrym miejscem, by umrzeć, jak każde inne. Świat kołysał się barbarzyńcy w zasnutych czerwoną mgłą oczach, gdy powoli włókł się w górę, w bardziej stromych miejscach trzymając nóż w zębach i posuwając się na czworakach.

Jeszcze nie dotarł do skalnego występu, kiedy z lasu wyłoniło się około czterdziestu pomalowanych dzikusów. Popędzili ku skale, wyjąc jak wilki. Na widok ofiary ich wycie zmieniło się w diabelski ryk; podbiegli do podnóża i zaczęli szyc z łuków. Grad strzał spadał wokół wspinającego się zygzakiem mężczyzny, a jedna z nich wbiła mu się w łydkę.

Cymeryjczyk wyrwał ją z nogi i odrzucił w bok, nie zatrzymując się i nie zwracając uwagi na mniej celne pociski grzechoczące o kamienie wokół niego. W ponurym milczeniu wdrapał się na półkę, odwrócił się i sięgnął po topór oraz trzymany w zębach nóż. Leżał, spoglądając na prześladowców zza krawędzi półki i wystawiając tylko strzechę zmierzwionych włosów oraz

roziskrzona oczy. Jego pierś unosiła się w ciężkim oddechu, gdy spazmatycznymi haustami chwycił powietrze i zaciskał zęby, by powstrzymać atak mdłości.

Jeszcze kilka strzał śmignęło w górę; zgraja wiedziała, iż ofiara znalazła się w pułapce.

Wojownicy z wyciem ruszyli w górę, wywijając toporami i zręcznie przeskakując głazy u podnóża skały. Jako pierwszy dotarł do stromej ścieżki smagłoskóry dzikus noszący orle

pióro pomalowane na kolor szkarłatny, co świadczyło o tym, że był ich wodzem. Stanął z

jedną nogą na ścieżce, napiął cięciwę łuku, odchylił głowę w tył i otworzył usta do triumfalnego wrzasku. Jednak nie wypuścił strzały. Zastygł w bezruchu, a żądza krwi nagle zniknęła z jego oczu, zmieniając się w przestach, gdy poznał, gdzie się znajduje. Cofnął się z jękiem,

szeroko rozkładając ramiona, aby powstrzymać hordę pędzących dzikusów. Chociaż człowiek

na półce powyżej rozumiał piktyjską mowę, znajdował się zbyt daleko, aby uchwycić

znaczenie stanowczych słów kierowanych przez wodza do wojowników.

Przestali pokrzykiwać i stali w milczeniu, spoglądając w górę — najwidoczniej nie na

ukrytego tam mężczyznę, lecz na samą skałę. Potem, bez dłuższego zastanowienia, zwolnili

cięciwy łuków, wepchnęli je do mieszkań z kozłej skóry noszonych u pasa, zawrócili i nie

oglądając się za siebie, pomaszerowali z powrotem szlakiem, którym przybyli, by zniknąć za zakrętem ścieżki.

Cymeryjczyk spoglądał na to ze zdumieniem. Zbyt dobrze znał Piktów, aby nie rozpoznać

nieodwołalności tego odejścia. Wiedział, że nie wrócą; kierowali się do swoich wiosek,

odległych o sto mil na wschód.

Jednak nie mógł tego pojąć. Co sprawiło, że oddział będących na wojennej ścieżce Piktów

zaniechał pościgu prowadzonego tak długo i z zaciekłością wygłodniałych wilków? Wiedział,

że mają swoje święte miejsca, sanktuaria różnych klanów, i że zbieg znajdujący schronienie w jednym z nich był bezpieczny przed wojownikami szczepu, który je uznawał. Jednak rzadko

zdarzało się, aby wojownicy traktowali jako nietykalne sanktuarium innego szczepu, a ci,

którzy go ścigali, nie mogli przecież mieć swoich świętych miejsc w tej okolicy. Należeli do plemienia Orła, którego wioski znajdowały się daleko na wschodzie, w sąsiedztwie terenów

Wilków.

To Wilki złapały Cymeryjczyka, kiedy uchodząc z Akwilonii zagłębił się w dziką puszcze, a potem wymieniły go na schwytanego przez Orły wodza. Klan Orła miał krwawe porachunki z olbrzymim Cymeryjczykiem, które teraz stały się jeszcze bardziej krwawe, gdyż w czasie ucieczki zabił ich znakomitego wodza. To dlatego ścigali go tak niestrudzenie przez szerokie rzeki, poszarpane góry oraz przez wiele staj mrocznej puszczy, terenu łowieckiego wrogich plemion. A teraz pozostali przy życiu uczestnicy tego długiego pościgu zawrócili i odeszli, pozostawiając schwytaną w pułapkę i śmiertelnie znużoną ofiarę. Potrząsnął głową, nie mogąc tego zrozumieć. Podniósł się chwiejnie, oszołomiony długotrwałym wysiłkiem i ledwie zdając sobie sprawę z tego, że nie musi już uciekać. Wszystkie kończyny miał zeszywniałe, bolały go rany. Splunął resztką śliny i zaklął, trąc piekące, nabiegłe krwią oczy wierzchem sękatą dłoń. Zamrugał i rozejrzał się wokół. W dole jak okiem sięgnąć kłębiła się zwarta masa zielonej gęstwiny, a nad jej zachodnim krańcem wisiła stalowosina mgiełka, która — jak wiedział — zalegała nad oceanem. Wiatr rozwiał mu czarną grzywę, a ożywcze słone powietrze otrzeźwiło go. Wypiął potężny tors i nabrał tchu w piersi.

Potem sztywno i z trudem obrócił się, kwitując cichym pomrukiem ból krwawiącej łydki, po czym rozglądając się po skalnej półce, na której stał. Dalej wznosiła się stroma, skalna ściana sięgająca do samego szczytu, znajdującego się około dziesięciu metrów wyżej. W skale wykuto wąskie występy dające oparcie dla rąk i nóg, zaś w ścianie półtora metra od podnóża tych prymitywnych schodów otwierała się jakaś szczelina, dostatecznie szeroka i wysoka, aby mógł się w nią zmieścić dorosły mężczyzna.

Cymeryjczyk pokuśtykał do szczeliny, zajrzał w nią i mruknął coś pod nosem. Słońce wiszące wysoko nad lasem na zachodzie rzucało w jej głąb snop światła, ukazując podobną do tunelu pieczarę zakończoną łukowatym sklepieniem. W tym sklepieniu oświetlonym promieniami słońca były osadzone masywne, okute żelazem dębowe drzwi!

To go zdumiało. Ta kraina była przecież całkowitym odludziem. W promieniu tysiąca mil to wybrzeże ciągnęło się nagie i nie zamieszkane, oprócz osad dzikich nadbrzeżnych plemion, jeszcze mniej cywilizowanych niż ich żyjący w lasach pobratymcy.

Najbliższy przyczółek cywilizacji stanowiły pograniczne osady nad Rzeką Gromu, setki mil na wschód. Cymeryjczyk wiedział, że był jedynym białym człowiekiem, który kiedykolwiek przebył głąsę rozpościerającą się między rzeką a wybrzeżem. A jednak te drzwi nie były dziełem Piktów.

Ich istnienie na tym pustkowiu było niewytłumaczalne, więc Cymeryjczyk podszedł do nich podejrzliwie, trzymając w pogotowiu nóż i topór. Później, gdy jego nabiegłe krwią oczy przyzwyczyły się do łagodnego półmroku panującego po obu stronach smugi słonecznego światła, zauważył jeszcze coś. Dochodząc do drzwi, tunel rozszerzał się, zaś wzdłuż jego ścian stały szeregi potężnych, okutych żelazem skrzyń. W oczach Cymeryjczyka pojawił się błysk zrozumienia. Pochylił się nad jednym z kufrów, lecz wieko oparło się jego wysiłkom. Podniósł topór do ciosu, aby roztrzaskać starodawny zamek, ale rozmyślił się i pokuśtykał do łukowatych drzwi. Teraz zachowywał się z większą pewnością siebie, a oręż trzymał w luźno opuszczonych dłoniach. Pchnął bogato rzeźbione drzwi, które otwarły się przed nim bez oporu.

Nagle z błyskawiczną szybkością barbarzyńca odzyskał niedawną czujność. Odskoczył ze stłumionym przekleństwem; nóż i topór błysnęły w półmroku, gdy przybrał obronną postawę. Przez chwilę niczym posąg uosabiający dziką groźbę zastygł, wyciągając masywną szyję, aby dojrzeć coś za progiem.

Spoglądał w głąb pieczary mroczniejszej niż tunel, lecz oświetlonej przyćmionym blaskiem sączącym się z wielkiego kamienia, umieszczonego na maleńkim postumencie z kości słoniowej, który spoczywał na środku wielkiego, hebanowego stołu. Wokół niego siedziały te milczące postacie, które tak wystraszyły Cymeryjczyka.

Nie poruszyły się ani nie obróciły ku niemu głów, lecz błękitnawa mgiełka wypełniająca komnatę zdawała się poruszać niczym żywa istota.

— Hej! — rzekł Cymeryjczyk ochrypłym głosem. — Czyście pijani?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Barbarzyńca nie należał do ludzi, których łatwo zbić z tropu, ale teraz czuł się nieswojo.

— Moglibyście poczęstować mnie kielichem wina, które popijacie — warknął, gdyż ta niezręczna sytuacja obudziła jego wrodzoną wojowniczość. — Na Croma, jesteście diabło nieuprzejmi wobec człowieka, który należał do waszego bractwa. Czy macie zamiar...

Urwał i stanął w milczeniu, spoglądając na te niesamowite postacie siedzące tak spokojnie wokół hebanowego stołu.

— Oni nie są pijani — mruknął w końcu. — Wcale nie piją. Co to za diabelska sprawka?

Przeszedł przez próg. Błękitna mgiełka natychmiast zaczęła krążyć szybciej. Zebrała się w jednym miejscu i zgęstniała, a w następnej chwili Cymeryjczyk musiał walczyć o życie z czarnymi ogromnymi dłońmi, które sięgnęły mu do gardła.

2

LUDZIE Z MORZA

Belesa niedbale trąciła morską muszlę czubkiem zgrabnego pantofelka, w myślach porównując jej delikatne, różowe brzegi do pierwszej różowej mgiełki jutrzeńki, która wstawiała nad rozległymi plażami. Było już po świcie, lecz wczesne słońce jeszcze nie rozproszyło jasnych, perłowych chmur dryfujących nad wodami na zachód.

Uniosła swą ślicznie ukształtowaną główkę i spojrzała na obcy i odpychający krajobraz, który знаła jednak nawet w najdrobniejszym szczególe. Spod jej stóp żółte piaski biegły na spotkanie cicho szumiących wód, rozpościerających się ku zachodowi i ginących w

niebieskawym oparze na horyzoncie. Stała na południowym brzegu szerokiej zatoki; dalej na południe od niej grunt wznosił się, tworząc niski grzbiet. Belesa wiedziała, że z tego wzniesienia można było przez puste wody patrzeć ku południowi na bezkresne przestrzenie, równie potężne jak te rozpościerające się ku zachodowi i północy.

Spojrzała apatycznie w głąb lądu, obojętnie obrzucając wzrokiem fortecę, która była jej

domem przez ostatnie półtora roku. Na tle bladego, perłowomodrego nieba powiewała złoto-szkarłatna chorągiew jej rodu. Jednak czerwony sokół na złotym polu nie obudził entuzjazmu w jej młodym sercu, chociaż na dalekim południu często powiewał nad wieloma polami krwawych bitew.

Dostrzegła sylwetki mężczyzn ciężko pracujących w ogrodach i na otaczających fort polach, które zdawały się cofać przed mroczną ścianą lasu otaczającą pas wolnej przestrzeni od wschodu i ciągnącą się na północ i południe, jak daleko zdołała sięgnąć okiem. Obawiała się puszczy i lęk ten dzielali wszyscy w małej osadzie. Nie był on bezpodstawny. W szeleszczących głębiach czaiła się śmierć — śmierć szybka i straszna, śmierć powolna i odrażająca — ukryta, pomalowana, niestrudzona i bezlitosna.

Belesa westchnęła i bez żadnego konkretnego zamiaru podeszła do wody. Dni wlokły się monotonnie jeden za drugim, a świat miast, dworów i zabaw zdawał się oddalony o tysiące mil i wieki czasu. Znów daremnie usiłowała znaleźć powód, dla którego zingarański hrabia wraz ze swą swiłą uciekł na to dzikie wybrzeże, setki mil od ojczystej ziemi, zamieniając pałac przodków na chatę z bali.

Spojrzenie Belesy złagodniało, gdy usłyszała cichy odgłos bosych stóp na piasku. Na niski, piaszczysty pagórek wbiegła młoda dziewczyna, naga i ociekająca wodą, z główką oblepioną mokrymi włosami. Marzycielskie oczy miała szeroko otwarte z podniecenia.

— Pani Beleso! — krzyknęła, wymawiając zingarańskie słowa z miękkim, ophirskim akcentem. — Och, pani Beleso!

Zdyszana po biegu dziewczynka jąkała się i gestykulowała. Belesa uśmiechnęła się i objęła ją ramieniem, nie zważając na to, że jedwabna suknia dotyka mokrego, ciepłego ciała.

Wiodąca samotne, smutne życie dama obdarzała całą czułością swego wrażliwego z natury serca tę biedną sierotę, którą odebrała brutalnemu panu w trakcie długiej podróży na południowe wybrzeże.

— Co chcesz mi powiedzieć, Tino? Najpierw złap oddech.

— Statek! — krzyknęła dziewczynka, wskazując na południe. — Pływałam w stawie utworzonym przez przyływ w piasku po drugiej stronie wzgórza i zobaczyłam go! Statek nadpływający z południa!

Nieśmiało, drżąc na całym ciele, pociągnęła Belesę za rękę. Belesa poczuła, że i jej serce uderza mocniej na myśl o nieznanym gościu. Od chwili przybycia na ten pustynny brzeg nie widzieli żadnego żagla.

Tina śmigła przed nią przez żółte piaski, omijając małe sadzawki, jakie odpływ pozostawił w płytkich zagłębieniach. Wspięły się na niski, pofalowany pagórek. Tina zatrzymała się na szczycie — drobna biała postać, z mokrymi włosami rozwianymi wokół szczupłej twarzyczki i z wyciągniętą chudą rączyną, na tle jasnego nieba.

— Spójrz, pani!

Belesa też zauważyła wydęty, biały żagiel, wypełniony ożywczym, południowym wiatrem, który posuwał się wzdłuż wybrzeża kilka mil dalej. Jej serce zamarło na moment; w bezbarwnym, pustym życiu nawet drobne wydarzenia mogą wydać się znaczące, lecz Belesa miała dziwne przeczucie, iż ten widok zwiastuje niezwykle i gwałtowne wypadki.

Przeczuwała, że nie przypadkiem statek żegluje wzdłuż tego pustynnego wybrzeża. Na północy aż do samych lodowych pól nie było żadnego portu, a najbliższe portowe miasto na południu leżało chyba w odległości tysiąca mil. Co sprowadziło tego przybysza do zatoki Korvela, jak jej wuj nazwał miejsce, gdzie wylądowali?

Tina przywarła do swej pani, a jej drobna twarzyczka ściągnęła się z lęku.

— Kto to może być, pani? — wykrztusiła z policzkami zarumienionymi od ostrego wiatru.

— Czy to człowiek, którego boi się hrabia?

Belesa spojrzała na nią, marszcząc brwi.

— Dlaczego tak mówisz, dziecko? Skąd wiesz, że mój wuj obawia się kogoś?

— Na pewno się boi — odparła naiwnie Tina. — Inaczej nie kryłby się na tym odludziu.

Spójrz, moja pani, jak on szybko płynie!

— Musimy zawiadomić wuja — mruknęła Belesa. — Łodzie rybackie jeszcze nie wypłynęły, więc żaden z mężczyzn nie zauważył żagla. Weź swoje rzeczy, Tino. Szybko!

Dziewczynka popędziła po łagodnym stoku do sadzawki, w której w czasie kąpieli dostrzegła statek, i porwała zostawione na piasku sandałki, tunikę i przepaskę. Zawróciła ku wzgórzom i podskakując, ubierała się w biegu.

Belesa, niespokojnie obserwująca zbliżający się statek, chwyciła ją za rękę i razem pospieszyły do fortu. Kilka chwil po tym, jak przeszły przez bramę w częstokole z bali, otaczającym budynek, donośny dźwięk trąbki poderwał robotników w ogrodach i mężczyzn otwierających hangar na łodzie, aby spuścić je po rolkach na wodę.

Mężczyźni znajdujący się na zewnątrz fortu porzucili swoje narzędzia i pobiegli do palisady, nie sprawdzwszy przyczyny alarmu. Gdy nierówne szeregi umykających cisnęły się do otwartych wrót, każdy z nich oglądał się z lękiem na ciemną ścianę lasu na wschodzie; nikt nie patrzył ku morzu.

Przepchnęli się przez bramę, zasypując pytaniami strażników patrolujących galerię od wewnętrznej strony zaostzonych bali, tworzących palisadę. „Co się stało? Dlaczego nas wezwano? Czy nadchodzą Piktowie?”

W odpowiedzi jeden z małomównych zbrojnych, w znoszonym skórzanym kubraku i zardzewiałej zbroi, wskazał na południe. Z wysokości częstokołu, na który wspięli się mężczyźni, nadpływający statek był już dobrze widoczny.

Z małej wieży strażniczej na dachu dworu, zbudowanego z bali podobnie jak inne budynki za ostrokołem, hrabia Valenso z Korzetty spoglądał na rozpostarte żagle wyłaniające się zza południowego cypla. Hrabia był chudym, żyłastym, smagłoskórym i ponurym mężczyzną, średniego wzrostu oraz w średnim wieku. Nosił nogawice i kubrak z czarnego jedwabiu, a jedyny barwny element jego stroju stanowiły klejnoty błyszczące w rękojeści miecza oraz wiśniowy płaszcz, niedbale zarzucony na ramiona. Nerwowo podkręcił cienki, czarny wąs i

zwrócił ponure spojrzenie na seneszała — człowieka o surowej twarzy, odzianego w stal i atłasy.

— I co o tym sądzisz, Galbro?

— To karaka, panie — odparł seneszał. — Karaka orejowana i ożaglowana jak statek barachańskich piratów... Spójrz tylko!

W dole chór krzyków zawtórował jego okrzykowi; statek wyłonił się zza cypla i wpływał do zatoki. Wszyscy ujrzeli flagę, która niespodziewanie pojawiła się na maszcie; czarną flagę z zarysem szkarłatnej, zaciśniętej pięści. Ludzie za palisadą spoglądali z przerażeniem na ten okropny symbol. Potem wszystkie oczy zwróciły się w kierunku wieży, gdzie w płaszczu rozwianym na wietrze stał ponury pan fortu.

— Barachański, na pewno — mruknął Galbro. — I o ile nie oszalałem, to „Czerwona Ręka” Strombanniego. Co on robi na tym pustkowiu?

— Jego przybycie na pewno nie wróży nam nic dobrego — opryskliwie odparł hrabia.

Zerknąwszy w dół, stwierdził, że potężne wrota zamknięto, a odziany w błyszczącą stal kapitan zbrojnych kieruje swoich ludzi na stanowiska — jednych na galerię, innych do strzelnic poniżej. Zgromadził główne siły od zachodniej strony, gdzie znajdowała się brama. Setka ludzi — żołnierzy, wasali i sług — wraz ze swoimi rodzinami podążyła z Valenso na wygnanie. Z tych może czterdziestu było żołnierzami, noszącymi hełmy i kolczugi, uzbrojonymi w miecze, topory i kusze. Pozostali byli cywilami nie posiadającymi żadnej zbroi prócz kaftanów z utwardzonych skór; jednak odznaczeni się męstwem i zręcznie posługiwali łukami, toporami ciesielskimi i oszczepami na niedźwiedzie. Zajęli stanowiska, marszcząc brwi na widok odwiecznego wroga. Od ponad stu lat piraci z Wysp Barachańskich, małego archipelagu przy południowo — zachodnim wybrzeżu Zingary, łupili mieszkańców lądu.

Mężczyźni na palisadzie ścisnęli swoje łuki i włócznie na niedźwiedzie, patrząc posepnie na karakę migoczącą w słońcu mosiądzem okuć, która kierowała się w głąb zatoki. Widzieli

postacie rojące się na pokładzie i słyszeli obłeśne śmiechy żeglarzy. Wzdłuż burty błyszczała stal.

Hrabia zszedł z wieży, zganiając z niej również swoją bratanicę i jej młodą protegowaną.

Założywszy hełm i pancerz, udał się na palisadę, aby pokierować obroną. Poddani obserwowali go z ponurą rezygnacją. Zamierzali drogo sprzedać swoje życie, lecz nie mieli nadziei na zwycięstwo, mimo iż zajmowali dogodniejsze pozycje. Przygniatało ich poczucie nieuchronnej zguby. Ponadroczny pobyt na tym pustym wybrzeżu, w nieustannym zagrożeniu czyhającym ze strony tego diabelskiego lasu, ocienił ich dusze ponurymi przeczuciami. Ich kobiety stały w milczeniu na progach chat wewnątrz palisady, uciszając wrzawę dzieci. Belesa i Tina wyglądały ciekawie przez górne okno dworu. Belesa czuła, jak spięte ciało dziewczynki drży, wtulone w jej ramię.

— Rzuć kotwicę w pobliżu hangaru na łodzie — powiedziała półgłosem Belesa. — Tak!

Już ją rzucili, sto metrów od brzegu. Nie trzęś się tak, dziecko! Nie mogą zdobyć fortu. Może po prostu chcą tylko wody do picia i żywności, może sztorm zepchnął ich z kursu.

— Płyną szalupą do brzegu! — odezwała się dziewczynka. — Och, pani, tak się boję! To wielcy mężczyźni w zbrojach! Spójrz, jak słońce lśni na ich pikach i hełmach! Czy oni nas zjedzą?

Mimo niepokoju Belesa wybuchnęła śmiechem.

— Oczywiście, że nie! Kto naopowiadał ci takich bzdur?

— Zingelito powiedział mi, że Barachańczycy zjadają kobiety.

— Żartował sobie z ciebie. Barachańczycy są okrutni, lecz nie są gorsi od zingarańskich renegatów, którzy nazywają siebie bukanierami. Zingelito był kiedyś bukanierem.

— Był okrutny — mruknęła dziewczynka. — Cieszę się, że Piktowie ucięli mu głowę.

— Cicho, Tino! — Belesa lekko zadrżała. — Nie powinnaś tak mówić. Popatrz, piraci dotarli do brzegu. Wsiadają z łodzi i jeden z nich idzie w stronę fortu. To musi być

Strombanni.

— Ahoj, tam w forcie! — zawołał głos, donośny jak gwałtowny podmuch wiatru. —

Przybywam pod flagą pokoju!

Nad palisadą pojawiła się nakryta stalą głowa hrabiego. Z surowym obliczem okolonym okapem hełmu, ponuro zlustrował pirata. Znalazłszy się w zasięgu głosu, Strombanni — wielki mężczyzna z gołą głową, o kasztanowych włosach, jakie czasami mają mieszkańcy Argos — zatrzymał się. Ze wszystkich morskich zbójów dowodzących Barachańczykami żaden nie zasłynął z większych okrucieństw niż on.

— Mów! — nakazał Valenso. — Nie mam wielkiej ochoty na rozmowę z kimś takim jak ty.

Strombanni uśmiechnął się samymi ustami, jego oczy nie zmieniły wyrazu.

— Po tym, jak twój galeon umknął mi w zeszłym roku w szkwale pod Trallibes, nigdy nie przypuszczałem, że ujrzę cię na tym piktyjskim wybrzeżu, Valenso! — rzekł. — Jednak przez cały czas zastanawiałem się, dokąd mogłeś się udać. Na Mitrę, gdybym wiedział, od razu popłynąłbym za tobą! Przed chwilą, kiedy zobaczyłem twojego szkarłatnego sokoła powiewającego nad fortecą, która stoi w miejscu, gdzie spodziewałem się ujrzeć jedynie pustą plażę, spotkała mnie największa niespodzianka mego życia. Oczywiście znalazłeś to?

— Co znalazłem? — spytał niecierpliwie hrabia.

— Nie próbuj niczego ukrywać! — Popędliwa natura pirata objawiła się w gwałtownym wybuchu. — Wiem, dlaczego tu jesteś i przybyłem tu z tego samego powodu. Nie oszukasz mnie. Gdzie twój statek?

— To nie twoja sprawa.

— Nie masz żadnego — stwierdził stanowczo pirat. — W palisadzie widzę kawałki masztu. Statek musiał się rozbić po tym, jak tu wylądowaliście. Gdybyś miał statek, już dawno odpłynąłbyś stąd z łupem.

— O czym mówisz, niech cię diabli? — wrzasnął hrabia. — Jakim łupem? Czy jestem

Barachańczykiem, który plądruje i pali? A nawet gdybym był, cóż miałbym tu rabować?

— To, po co tu przybyłeś — odparł chłodno pirat. — To samo, po co ja przybyłem i co mam zamiar dostać. Jednak proponuję ci prostą umowę. Oddaj mi łup, a ja odpłynę i zostawię was w spokoju.

— Chyba oszalałeś! — warknął Valenso. — Przybyłem tu szukać samotności i spokoju, które znalazłem, dopóki nie wypełzłeś z morza, ty żółtogłowy psie. Wynoś się! Nie chciałem paktować i mam dość pustej gadaniny. Weź swoich łotrów i idź swoją drogą.

— Odejdę, kiedy zamienię ten kurnik w zgliszcza! — ryknął pirat w przypływie wściekłości. — Pytam po raz ostatni: czy oddasz mi łup w zamian za wasze życie? Jesteście tu zamknięci, a ja mam stu pięćdziesięciu ludzi gotowych poderżnąć wam gardła na jedno moje słowo!

W odpowiedzi hrabia wykonał szybki gest ręką ukrytą za palisadą. Niemal natychmiast strzała wypuszczona z jednej ze strzelnic złowrogo syknęła w powietrzu i złamała się na pancerzu Strombanniego. Pirat ryknął wściekle, odskoczył w tył i pobiegł ku plaży ścigany deszczem strzał. Jego ludzie wrzasnęli i ruszyli ławą, błyskając ostrzami kordelasów.

— Niech cię diabli, psie! — szalał hrabia, obalając niezręcznego łuczника uderzeniem obleczonej w stal pięści. — Dlaczego nie celowałeś w jego gardło nad kołnierzem? Szykujcie łuki, nadchodzą!

Jednak Strombanni powstrzymał chaotyczny atak swoich ludzi. Piraci rozciągnęli się w długi szereg sięgający aż po krańce zachodniej części ostrokołu; podchodzili czujnie, wypuszczając długie strzały. Choć w sztuce łuczniczej byli uważani za lepszych od Zingarańczyków, musieli wstawać, żeby napiąć łuki, tymczasem obrońcy mogli pod osłoną palisady starannie celować z myśliwskich łuków i kusz.

Długie strzały Barachańczyków przelatowały nad częstokołem i z drzeniem wbijały się w ziemię. Jedna trafiła w parapet okna, przez które wyglądała Belesa. Tina krzyknęła i odskoczyła, patrząc na wibrujący pocisk.

Zingarańczycy odpowiedzieli nieprzyjacielowi, celując i wypuszczając strzały bez zbytniego pośpiechu. Kobiety zagnały dzieciaki do chat i teraz ze stoickim spokojem oczekiwały na to, co przyniesie im los.

Barachańczycy słynęli z szaleńczego i nierozważnego sposobu walki, lecz byli równie czujni, jak zawzięci i nie zamierzali daremnie tracić sił na frontalne ataki na palisadę.

Podpełzali bliżej w swym luźnym szyku, wykorzystując nierówności terenu i kępy roślinności — których nie było wiele, gdyż teren wokół fortu został specjalnie oczyszczony w przewidywaniu ataku Piktów.

Gdy Barachańczycy podeszli bliżej, strzały obrońców trafiały coraz celniej. Tu i tam, ze strzałą sterczącą z szyi lub spod pachy leżały trupy piratów, błyszczące w słońcu stalowymi pancerzami. Ranni wili się z bólu i jęczeli.

Piraci byli zwinni jak koty; wciąż zmieniali pozycje, a w dodatku chroniły ich lekkie pancerze. Nieustannie szyli z łuków, nękać obrońców ukrytych za palisadą. Mimo to widać było, że dopóki bitwa będzie polegać na wymianie strzał, przewaga pozostanie po stronie dobrze osłoniętych Zingarańczyków.

Jednakże przy przystani na plaży część piratów wzięła się do siekier. Hrabia zaklął siarczyście na widok spustoszeń, jakie narobili wśród jego łodzi, które w trudzie budowano z desek wycinanych z ogromnych pni.

— Szykują osłonę, niech ich diabli! — szalał. — Zróbmy wypad, teraz, zanim ją skończą — są rozproszeni...

Galbro potrząsnął głową, zerknąwszy na nie posiadających zbroi cywilów z ich niezgrabnymi pikami.

— Zasypią nas strzałami, a w bezpośrednim starciu nie możemy się z nimi równać.

Musimy utrzymać ich za palisadą i ufać naszym łukom.

— Wszystko dobrze — warknął Valenso — jeśli zdołamy ich utrzymać za palisadą.

Mijał czas i trwał niczego nie rozstrzygający pojedynek łuczniczy. Wreszcie pojawiła się grupka piratów, pchających przed sobą wielką tarczę sporządzoną z desek pochodzących z łodzi oraz pomostu. Znaleźli jakiś wóz i osadzili tarczę na kołach, sporządzonych z dwóch solidnych, dębowych kręgów. Gdy z trudem toczyli przed sobą tę maszynę, tarcza zasłaniała ich niemal całkowicie — widać było jedynie ich stopy.

Toczyli osłonę w kierunku wrót i nierówny szereg łuczników ruszył w tym kierunku, wypuszczając strzały w biegu.

— Strzelać! — wrzasnął poblady Valenso. — Zatrzymajcie ich, nim dotrą do bramy!

Deszcz strzał śmignął nad palisadą i wbił się bezsilnie w grube drewno. Odpowiedział im drwiący śmiech piratów. Teraz, gdy reszta zbójów podciągnęła bliżej, ich strzały zaczęły trafiać w strzelnice; jakiś żołnierz zatoczył się i z przebitym gardłem runął z galeryjki, spazmatycznie łapiąc ustami powietrze.

— Celujcie w nogi! — wrzasnął Valenso. — Niech czterdziestu ludzi z pikami i toporami skoczy do wrót! Pozostali niech strzegą palisady!

Bełty wbiły się w piach przed sunącą tarczą. Dzikie wycie oznajmiło, iż jeden z pocisków trafił w cel. Pirat wysunął się zza osłony, podskakując i próbując wyrwać bełt, który przebił mu stopę. W mgnieniu oka przeszło go tuzin strzał.

Jednak pozostali z gardłowym okrzykiem dopchnęli osłonę do wrót. Przez wycięcie w środku tarczy wysunęli ciężki, okuty żelazem taran, sporządzony z belki stropowej dachu pomostu. Popychany muskularnymi ramionami i szaloną wściekłością taran zaczął walić w bramę. Potężne wrota trzeszczały i dygotały, zaś z palisady lał się strumień pocisków; niektóre trafiały w cel, lecz dzikich ludzi morza ogarnął bitewny szal.

W rytm głuchych okrzyków walili taranem, podczas gdy ze wszystkich stron nadbiegali inni; ośmielała ich słabnąca nawałnica strzał obrońców. Odpowiadali na nie szybko i celnie. Klnąc jak szaleniec, hrabia zbiegł z palisady i z wyciągniętym mieczem skoczył do bramy.

Garstka zdesperowanych zbrojnych stanęła za nim, ściskając włócznie. Za moment brama zawali się i będą musieli zastawić wyłom choćby własnymi ciałami.

Nagle nad polem bitwy dał się słyszeć nowy dźwięk: piskliwy odgłos trąbki, dobiegający ze statku. Na bocianim gnieździe jakaś postać gorączkowo wymachiwała rękami.

Łomotanie tarana ucichło, a przez gwar przebił się ryk Strombanniego:

— Stać! Stać, niech was licho! Słuchajcie!

W ciszy, która zapadła po tych słowach, wyraźnie słychać było trąbkę i głos wykrzykujący jakieś słowa, niezrozumiałe dla ludzi za palisadą. Jednak Strombanni pojął ich sens, gdyż znów zaczął wykrzykiwać przeplatane przekleństwami rozkazy. Piraci zostawili taran i zaczęli wycofywać osłonę spod wrót równie szybko, jak ją tam przytoczyli. Ci, którzy wymieniali strzały z obrońcami, zaczęli podnosić swoich rannych towarzyszy i pospiesznie wycofywać się z nimi na plażę.

— Patrz! — krzyknęła Tina przy oknie, podskakując z emocji. — Uciekają! Wszyscy!

Biegną na plażę! Spójrz! Zostawili tarczę! Wskakują do szalupy i wiosłują do statku! Och, pani, czy zwyciężyliśmy?

— Nie sędzę — odparła Belesa, spoglądając na morze. — Patrz tam!

Rozsunęła zasłony i wychyliła się z okna. Jej czysty, młody głos przebił się przez okrzyki zdumienia obrońców, którzy zwrócili głowy we wskazanym przez nią kierunku. Wydali

słumiony jęk, gdy zobaczyli inny statek opływający majestatycznie południowy cypel. Na oczach patrzących na maszcie pojawiła się królewska flaga Zingary.

Piraci Strombanniego wskakiwali na pokład karaki i podnosili kotwicę. Zanim przybysz zdążył wpłynąć do zatoki, „Czerwona Ręka” już zniknęła za północnym cyplem.

3

CZARNY NIEZNAJOMY

Błękitna mgiełka skupiała się w słabo widoczną i niezbyt wyraźną, monstrualną, czarną

postać, która wypełniła bliższą część jaskini, zasłaniając siedzące nieruchomo postacie.

Conanowi zdawało się, iż dostrzega włochaty tułów, sterczące uszy i parę osadzonych blisko siebie rogów.

W tej samej chwili, gdy wielkie łapska śmignęły niczym macki ku jego gardłu,

Cymeryjczyk, szybki jak błyskawica, ciął w nie swym piktyjskim toporem. Miał wrażenie, że uderza w pień hebanowca. Siła ciosu złamała stylisko toporka, sprawiając, że miedziane ostrze wyleciało w powietrze i ze szczękiem uderzyło o ścianę tunelu; jednak — o ile mógł zauważyć — nawet nie przebiło skóry przeciwnika. Trzeba czegoś więcej niż zwykłego oręża, aby przebić skórę demona. Conan nie zaznał tak potężnego uścisku, od czasu gdy w świątyni Hanumana w Zambouli walczył z dusicielem Baal–pteorem.

Gdy włochate palce dotknęły jego skóry, barbarzyńca napiął grube postronki mięśni swego masywnego karku, chowając głowę w ramiona, aby niesamowity wróg miał jak najmniejsze pole działania. Wypuścił z rąk nóż i trzonek złamanego topora, chwycił za ogromne czarne przeguby, po czym wybił się nogami w górę i w przód, a rozprostowując się z całej siły, uderzył bosymi piętami w pierś potwora.

Uderzenie, w które włożył całą siłę potężnych mięśni pleców i nóg, wyrwało

Cymeryjczyka ze śmiertelnego uścisku i odrzuciło go gwałtownie do tyłu, w korytarz, z którego przyszedł. Wylądował na plecach na kamiennej podłodze i wykonawszy

błyskawiczny przewrót w tył zerwał się na równe nogi, nie zwracając uwagi na sińce, gotowy uciekać lub walczyć — zależnie od okoliczności.

Stał przed drzwiami, szczerząc zęby w groźnym grymasie, lecz czarny, monstualny stwór nie wyłonił się z komnaty. Niemal w tej samej chwili, gdy Conan wyrwał się z jego objęć, demon zaczął rozwiewać się w błękitną mgielkę, z której powstał. Teraz już zniknął zupełnie.

Cymeryjczyk stał i czekał, w każdej chwili gotowy obrócić się i uciec. Poczł przesądny strach, właściwy wszystkim barbarzyńcom. Chociaż był nieustraszony aż do zuchwalstwa w

obliczu ludzi czy bestii, wciąż panicznie lękał się wszelkich zjawisk nadprzyrodzonych.

A więc to dlatego Piktowie odeszli! Powinien był spodziewać się czegoś takiego.

Przywołał na pomoc całą swą skąpą wiedzę o demonach, którą zebrał w młodości w chmurnej Cymerii i później, w trakcie wędrówek po większości cywilizowanych krajów. Powiadano, iż ogień i srebro są zabójcze dla diabelskich stworów, ale w tej chwili nie miał ich pod ręką.

Niemniej jednak, jeśli duch przybiera materialną postać, to w pewnej mierze podlega ograniczeniom właściwym dla tej formy. Na przykład ten niezdarny potwór nie mógł biegać szybciej od zwierzęcia o jego kształtach i rozmiarach, więc Cymeryjczyk sądził, że w razie potrzeby zdoła mu umknąć.

Odzyskując wiarę w swoje siły, barbarzyńca zawołał z chłopięcą fanfaronadą:

— Hej, ty wstrętna mordo, nie zamierzasz wyjść?

Żadnej odpowiedzi; niebieskawa mgiełka nadal kłębiła się w komnacie, lecz pozostawała rzadkim oparem. Masując swój posiniaczony kark, Cymeryjczyk przypomniał sobie piktyjską opowieść o demonie wysłanym przez czarownika, by zabić grupę obcych ludzi przybyłych z morza. Demon ten został potem zamknięty przez swego pana w jaskini, gdyż raz przywołany z mrocznych otchłani i obleczonej w materialną postać, mógłby obrócić się przeciw tym, którzy wyrwali go z ojczystych piekieł.

Wzrok Cymeryjczyka ponownie przykuły kufry stojące wzdłuż ścian tunelu...

Tymczasem w forcie hrabia warknął:

— Na zewnątrz, szybko! — po czym chwycił za sztaby ryglujące wrota, krzycząc: —

Wciągnijcie tu tę tarczę, zanim tamci wylądują!

— Przecież Strombanni uciekł — zawołał Galbro — a to jest zingarański statek!

— Rób, co każę! — ryknął Valenso. — Nie wszyscy moi wrogowie są cudzoziemcami!

Wyjdźcie, psy, we trzydziestu i wciągnijcie osłonę za palisadę!

Zanim zingarański statek rzucił kotwicę prawie w tym samym miejscu, gdzie kotwiczył

statek piratów, trzydziestu krzepkich zuchów przywlokło machinę z powrotem do bramy i bokiem przepchnęło ją przez wrota.

W oknie głównego budynku Tina pytała ze zdziwieniem:

— Dlaczego hrabia nie otwiera wrót i nie wychodzi im na spotkanie? Czy przeczuwa, że na tym statku może znajdować się człowiek, którego się lęka?

— O czym ty mówisz, Tino? — spytała niepewnie Belesa. Chociaż hrabia nie był człowiekiem, który ucieka przed wrogiem, to jednak nigdy nie wyjaśnił jej powodów, dla których udał się na to dobrowolne wygnanie. Przekonanie brzmiące w głosie Tiny było niepokojące, niemal niesamowite. Ale dziewczynka zdawała się nie słyszeć pytania.

— Ludzie wrócili za palisadę — powiedziała. — Bramę zamknięto i podparto. Żołnierze zostali na swoich stanowiskach.

Jeśli ten statek ścigał Strombanniego, to dlaczego za nim nie popłynął? To nie jest wojenna galera, lecz karaka, taka sama jak tamta. Spójrz, do brzegu płynie szalupa. Na dziobie widzę jakiegoś człowieka w czarnym płaszczu.

Kiedy szalupa przybiła do brzegu, człowiek ten, wysoki, żyłasty mężczyzna odziany w czarne jedwabie i polerowaną stal, niespiesznym krokiem ruszył przez plażę; za nim szli trzej inni.

— Stać! — ryknął hrabia. — Będę mówił tylko z waszym przywódcą!

Rosły nieznajomy zdjął hełm i machnął nim dwornie. Jego towarzysze stanęli i owinęli się obszernymi płaszczami, a marynarze za ich plecami wsparli się na wiosłach, spoglądając na flagę powiewającą nad palisadą.

Kiedy przywódca podszedł na tyle blisko, że mógł być słyszany, nie podnosząc głosu, rzekł:

— Sądzę, iż na tym odludziu szlachetnie urodzeni nie powinni zachowywać się względem siebie tak podejrzliwie!

Valenso przypatrywał mu się czujnie. Przybysz był smągłokóry, miał wyrazistą twarz o

drapieżnych rysach i cienki, czarny wąsik. Nosił żabot, a koronki ozdabiały także mankiety.

— Znam cię — rzekł powoli Valenso. — Jesteś Czarny Zarono, bukanier.

Przybysz ponownie skłonił się z godnością i odparł elegancko:

— A któż nie poznałby czerwonego sokoła z Korzetty!

— Wygląda na to, że to wybrzeże stało się miejscem spotkań wszystkich zbójów południowych mórz — burknął Valenso. — Czego chcesz?

— Ależ spokojnie, spokojnie! — mitygował go Zarono. — Niezbyt miło witacie kogoś, kto właśnie oddał wam przysługę. Czy to nie ten argijski pies, Strombanni, łomotał przed chwilą do waszych wrót? I czyż nie wziął nóg za pas, kiedy zobaczył, że wpływam do zatoki?

— To prawda — mruknął niechętnie hrabia. — Chociaż kiepski to wybór między piratem a renegatem.

Zarono zaśmiał się bez urazy i podkreślił wąsa.

— Mówisz bez ogródek, mój panie. Jednak ja pragnę jedynie rzucić kotwicę w twojej zatoce, aby moi ludzie mogli zaopatrzyć się w twoich lasach w dziczyznę i wodę pitną, a samemu, być może, wypić z tobą kielich wina.

— Nie wiem, jak mógłbym ci przeszkodzić — odparł opryskliwie Valenso. — Jednak zapamiętaj jedno, Zarono; żaden członek twojej załogi nie zostanie wpuszczony za palisadę. Jeśli któryś podejdzie bliżej niż na odległość trzydziestu kroków, dostanie strzałę w bebechy. I ostrzegam cię przed wyrządzaniem szkód w moich ogrodach czy w oborach. Możecie wziąć sobie jednego byczka, ale nie więcej. A gdybyś sądził inaczej, potrafimy obronić ten fort przed twoimi łotrzykami.

— Niezbyt wam szła ta obrona, gdy atakował Strombanni — odparł bukanier z kpiącym uśmiechem.

— Teraz nie znaleźlibyście już drewna na tarcze, chyba że zaczęlibyście rąbać las lub

rozbierać własny statek — zapewnił go ponuro hrabia. — A twoi ludzie to nie barachańscy łucznicy; strzelają nie lepiej od moich. Ponadto łup, jaki znalazłbyś w tej warowni, nie byłby tego wart.

— A kto mówi o grabieży i walce? — zaproponował Zaron. — Nie, moi ludzie chcieliby tylko rozprostować nogi na brzegu i pokosztować świeżego mięsa, zamiast tej paskudnej solonej wieprzowiny. Czy mogą zejść na brzeg? Gwarantuję, że będą spokojni.

Valenso niechętnie wyraził zgodę. Zaron odrobinę drwiąco skłonił się, po czym oddalił się równym i majestatycznym krokiem, jakby stąpał po błyszczącym parkiecie królewskiego pałacu w Kordawie — gdzie, jak głosiły plotki, był niegdyś dobrze znaną postacią.

— Niech nikt nie wychodzi poza palisadę — rzekł Valenso do Galbra. — Nie ufam temu renegatowi. To, że odpędził Strombanniego sprzed naszych wrót, wcale nie gwarantuje, że sam nie poderżnie nam gardeł.

Galbro skinął głową. Dobrze znał wrogość panującą między piratami a zingarańskimi bukanierami. Piraci byli w większości wyjętymi spod prawa argijskimi marynarzami; w przypadku bukanierów odwieczną waśń między Argos i Zamorą pogłębiał jeszcze konflikt interesów. Oni również płądrowali przystanie i nadbrzeżne miasta, a z równą zajadłością napadali na siebie nawzajem.

Tak więc nikt nie wyszedł zza palisady, gdy na brzegu pojawili się bukanierzy — smągłokórzy mężczyźni w jaskrawych szatach, polerowanych pancerzach, z głowami obwiązanymi szarfami i z kolczykami w uszach. Było ich ponad stu siedemdziesięciu. Rozbili obóz na płazy; Valenso zauważył, iż Zaron wystawił warty z obu jego stron. Nie wyrządzili żadnych szkód w ogrodach i wzięli tylko jednego, obiecane im byczka, którego wyprowadzili z obory i zarżnęli. Rozpalili ogniska i wybili szpunt ze zniesionej na brzeg beczułki piwa.

Napełnili naczynia wodą ze źródła bijącego niedaleko fortu, po czym z kuszami w rękach udali się w kierunku lasu. Widząc to, Valenso zawołał do Zaron przechadzającego się tam i z

powrotem po obozowisku.

— Nie pozwól swoim ludziom wchodzić do lasu! Jeśli nie wystarczy ci mięsa, weź jeszcze jednego cielaka z obory. Jeżeli oni zaczną włóczyć się po puszczy, mogą natknąć się na Piktów. W tych lasach roi się od tych wymalowanych diabłów. Kiedy tylko wylądowaliśmy, musieliśmy odeprzeć ich atak, a od tego czasu już sześciu moich ludzi zginęło z ich rąk. Teraz panuje między nami pokój, ale wojna wisi na włosku. Lepiej nie ryzykujcie!

Zarono rzucił szybkie spojrzenie na cieniste lasy, jakby spodziewał się ujrzeć horde przyczajonych dzikusów, po czym skłonił się i rzekł:

— Dziękuję za ostrzeżenie, panie.

Zawołał swoich ostrym tonem, dziwnie kontrastującym z łagodnością jego głosu, gdy zwracał się do hrabiego.

Gdyby Zarono mógł przebić się wzrokiem przez zasłonę liści, byłby jeszcze bardziej niespokojny. Ujrzałby zaczajoną tam groźną postać, obserwującą przybyszów nieprzeniknionymi, czarnymi oczami — odrażająco pomalowanego wojownika, odzianego jedynie w przepaskę biodrową z jeleniej skóry, z piórem dzioboroźca zatkniętym we włosy nad lewym uchem.

Gdy zaczął zapadać zmierzch, rzadkie pasmo szarości wypełzło zza horyzontu i zasnuło niebo. Słońce utonęło w kłębach szkarłatu, barwiąc krwawo grzbiety czarnych fal. Znad morza nadciągnęła mgła, sięgając skraju lasu i snując się siwymi pasmami wokół palisady.

Ognie na plaży jarzyły się czerwono przez mgłę; stłumiony śpiew bukanierów zdawał się dochodzić ze znacznej odległości. Przewieźli na brzeg stare płótna żaglowe i postawili z nich namioty na piasku. Piekli wołowinę, oszczędnie popijając ją piwem wydanym przez kapitana.

Wielkie wrota były zamknięte i zabarykadowane. Żołnierze, z pikami na ramionach i z błyszczącymi pod okapami hełmów kroplami potu, czujnie strzegli palisady. Niespokojnie zerkali na ogniska palące się na plaży, a z jeszcze większym niepokojem w kierunku puszczy, wyglądającej teraz jak niewyraźna, ciemna linia w snującej się mgle. Dziedziniec fortu —

naga, mroczna przestrzeń — stał pusty. Przez szpary w ścianach chat i okiennice dworu sączyło się światło świec. Wszędzie panowała cisza, mącona jedynie krokami straży, kapaniem wody z okapów i cichym śpiewem bukanierów.

Słabe echo tej pieśni docierało do wielkiej sali, gdzie Valenso siedział ze swoim nieproszonym gościem przy kielichu wina.

— Twoi ludzie dobrze się bawią — mruknął hrabia.

— Cieszą się z tego, że znów mają ład pod nogami — odparł Zaron. — To była długa podróż... Tak, długa i nużąca pogoń.

Uprzejmie przepił do nie reagującej na to dziewczyny, która siedziała po prawej ręce gospodarza, i ceremonialnie wychylił kielich. Pod ścianami stali nieruchomi dworacy: pikinierzy w hełmach i słudzy w atłasowych szatach. Domostwo hrabiego w tej dzicy było niewyraźnym odbiciem jego wspaniałego zamku w Kordawie.

Dwór, jak kazał nazywać ten budynek, wyglądał na istny cud w tak odludnym miejscu. Stu ludzi pracowało przez kilka miesięcy od świtu do nocy, żeby go postawić. Chociaż z zewnątrz zbudowane z bali ściany były pozbawione wszelkich ozdób, w środku dwór stanowił niemal wierną kopię zamku Korzetta. Bale tworzące ściany były ukryte pod grubymi jedwabnymi gobelinami przetykanymi złotem. Wręgi statku, bejcowane i pokostowane, tworzyły wyniosłe sklepienie. Na podłogach leżały puszyste dywany. Wiodące na górę szerokie schody, których masywna balustrada niegdyś była relingiem galeonu, również pokrywał dywan.

Płonący na kominku ogień rozpraszał nocny chłód. Świece wielkiego srebrnego kandelabru stojącego na środku mahoniowego stołu oświetlały komnatę, rzucając długie cienie na schody.

Hrabia Valenso siedział u szczytu stołu; pełnił rolę gospodarza w towarzystwie złożonym z bratanicy, pirata, Galbro oraz kapitana straży. Nieliczne towarzystwo niemal niknęło za ogromnym stołem, przy którym z łatwością mogło zasiąść pięćdziesięciu gości.

— Tropiłeś Strombanniego? — spytał Valenso. — Zagnałeś go aż tutaj?

— Tropiłem Strombanniego — roześmiał się Zaron. — Jednak on nie przede mną uciekał. Strombanni nie należy do ludzi, którzy by przed kimkolwiek umykali. Nie; przybył tu w poszukiwaniu czegoś — czegoś, czego i ja pragnę.

— Co może sprowadzać pirata czy bukaniera na to pustkowie? — mruknął Valenso, spoglądając w roziskrzoną zawartość swojego pucharu.

— A co zwabiło tu zingarańskiego hrabiego? — odparował Zaron z chciwym błyskiem w oku.

— Zgnilizna królewskiego dworu może obrzydnąć człowiekowi honoru — odparł Valenso.

— Honorowi Korzettowie spokojnie znosili tę zgniliznę od kilku pokoleń — rzekł bez ogródek Zaron. — Panie, zaspokój moją ciekawość. Czemu sprzedałeś swoje ziemie, wyładowałeś galeon dobrami ze swego zamku i odpłynąłeś w nieznane, znikając z oczu zingarańskiemu regentowi i szlachcie? I dlaczego osiadłeś tutaj, skoro twój miecz i sława mogły zapewnić ci miejsce w każdym cywilizowanym królestwie?

Valenso bawił się złotym łańcuchem, który nosił na szyi.

— Dlaczego opuściłem Zingarę — rzekł — to moja prywatna sprawa. A osiedliłem się tutaj przypadkiem. Sprowadziłem na brzeg moich ludzi i część sprzętów, o których wspomniałeś, zamierzając zbudować tymczasowe schronienie. Jednak mój statek, stojący na kotwicy w tej zatoce, został rzucony na skały północnego cypla i rozbity przez gwałtowny sztorm, który nadciągnął z zachodu. Takie burze są dość częste w pewnych porach roku. Później nie było innego wyjścia, jak tylko pozostać tu i urządzić się jak najwygodniej.

— A więc wróciłbyś do cywilizacji, gdybyś mógł?

— Nie do Kordawy. Jednak może do jakiegoś odległego kraju — na przykład do Vendhji, a nawet Kitaju...

— Czy życie tutaj nie nuży cię, pani? — spytał Zaron, po raz pierwszy zwracając się

bezpośrednio do Belesy.

Dziewczynę sprowadziła do sali chęć zobaczenia nowej twarzy i usłyszenia nowego głosu, lecz teraz żałowała, iż nie została w swojej komnacie razem z Tiną. Spojrzenia, jakie rzucał jej Zaron, nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Choć jego wymowa była dystygowana i ceremonialna, a wyraz twarzy poważny i pełen szacunku, była to jedynie maska skrywająca gwałtowną i złą naturę tego człowieka. Spoglądając na arystokratyczną, młodą piękność w wydekoltowanej, atłasowej sukni ściągniętej wysadzaną klejnotami opaską, nie potrafił ukryć tłęcego się w oczach pożądania.

— Mamy tu trochę rozrywek — odparła cicho.

— Gdybyś miał statek — Zaron spytał wprost swego gospodarza — czy opuścilibyście to miejsce?

— Być może — przyznał hrabia.

— Ja mam statek — rzekł Zaron. — Jeżeli dojdziemy do porozumienia...

— Jakiego porozumienia? — Valenso podniósł głowę i spojrzał podejrzliwie na gościa.

— Równy podział — odparł Zaron, kładąc na stole dłoń z szeroko rozłożonymi palcami, podobnymi do nóg olbrzymiego pająka. Palce bukaniera drżały w nerwowym napięciu, a w oczach zapalił się nowy, dziwny błysk.

— Podział czego? — Valenso patrzył nań z wyraźnym niedowierzaniem. — Złoto, które zabrałem ze sobą, poszło na dno razem z moim statkiem, a w przeciwieństwie do potrzaskanych desek nie zostało wyrzucone przez fale na brzeg.

— Nie o tym mówię! — rzekł Zaron z niecierpliwym gestem. — Bądźmy szczerzy, mój panie. Czy chcesz udawać, że tylko przypadek sprawił, iż wylądowałeś właśnie w tym miejscu, mając do wyboru tysiąc mil wybrzeża?

— Nie muszę udawać — odparł zimno Valenso. — Moim szyprem był Zingelito, dawny bukanier. On znał te brzegi i namówił mnie, aby tu wylądować. Powód miał wyjawic mi

później, jednak nigdy go nie wyjawiał, ponieważ nazajutrz po przybyciu zniknął w puszczy, a po kilku dniach myśliwi znaleźli jego bezgłowe ciało. Najwidoczniej wpadł w zasadzkę zastawioną przez Piktów i został przez nich zabity.

Zarono przez chwilę przenikliwie przyglądał się hrabiemu.

— Niech mnie zatopia! — wykrzyknął w końcu. — Wierzę ci, panie. Korzettowie, mimo swych licznych umiejętności, nie potrafią kłamać. Zaproponuję ci coś. Przyznaję, że kiedy rzuciłem kotwicę w zatoce, miałem inne plany. W przypadku gdybyście już zdobyli skarb, zamierzałem zdobyć fort i poderżnąć wam gardła. Jednak okoliczności sprawiły, że zmieniłem zdanie...

Rzucił spojrzenie na Belesę, która zaczerwieniła się i wyprostowała z godnością, po czym mówił dalej:

— Mam statek, który może zabrać was z tego wygnania razem z dobytkiem i tymi domownikami, których wybierzesz. Pozostali mogą zatroszczyć się o siebie sami.

Stojący pod ścianami słudzy wymienili niespokojne, szybkie spojrzenia. Zarono mówił dalej, zbyt cyniczny, aby skrywać swoje zamiary.

— Jednak najpierw musisz pomóc mi zdobyć skarb, po który żeglowałem tysiąc mil.

— Na Mitrę, jaki skarb? — spytał ze złością hrabia. — Teraz bredzisz jak ten pies Strombanni.

— Czy słyszałeś kiedyś o Krwawym Tranikosie, największym z barachańskich piratów?

— A któż nie słyszał? To on zdobył warowną wyspę wygnanego księcia Tothmekriego ze Stygii, wyciął mieszkańców w pień i zagarnął skarb, który książę zabrał ze sobą, uchodząc z Khemi.

— Tak! I ta opowieść zwabiła członków Czerwonego Bractwa — piratów, bukanierów, a nawet czarnych korsarzy z południa — niczym stado sępów zlatujących się do ścierwa.

Obawiając się, że zostanie zdradzony przez swoich kapitanów, Tranikos umknął z jednym statkiem na północ i zniknął z ludzkich oczu. Zdarzyło się to prawie sto lat temu. Jednak

wieść głosi, że jeden człowiek przeżył tę ostatnią podróż i wrócił na Wyspy Barachańskie, gdzie został schwytany przez zingarańską galere wojenną. Zanim go powieszono, własną krwią spisał swoją historię i nakreślił mapę na pergaminie, który jakoś udało mu się przemyścić z więzienia. Oto, co napisał:

Tranikos pożegłował daleko od uczęszczanych szlaków żeglugi, aż wpłynął do zatoki na odludnym brzegu, gdzie rzucił kotwią. Zszedł na ląd, nabierając swój skarb i jedenastu najbardziej zaufanych kapitanów, którzy towarzyszyli mu w podróży. Wykonując jego rozkazy, statek odpłynął, aby po tygodniu wrócić po Tranikosa i jego towarzyszy.

Tymczasem mieli oni ukryć skarb gdzieś w pobliżu zatoki. Statek wrócił w wyznaczonym terminie, ale nie natknięto się na żaden ślad Tranikosa i jego jedenastu kapitanów, oprócz topornej chaty, jaką zbudowali na plaży. Wokół zburzonego szałas pełno było odcisków

bosych stóp, Lecz nic nie wskazywało na to, że stoczono tu walkę. Nie było też ani śladu po skarbie, ani żadnych wskazówek, gdzie został ukryty. Piraci zagłębili się w las w

poszukiwaniu swojego wodza. Prowadzeni przez Bossończyka wprawnego w sztuce tropienia i obytego z puszcza, poszli śladami zaginionych, które wiodły kilka mil w głąb lasu, na wschód. Zmęczeni, nie widząc nigdzie swego admirała, piraci kazali jednemu z majtków wspiąć się na drzewo i rozejrzeć wokół. Marynarz zameldował, że tuż przed nimi znajduje się wielka, stroma skała lub głaz, sterczący nad lasem jak wieża. Znow ruszyli naprzód, lecz zostali zaatakowani przez Piktów i zmuszeni do powrotu na statek.

Zrozpaczeni, podnieśli kotwicę i odpłynęli. Jednakże Zanim dotarli do Wysp Barachańskich, straszliwy sztorm rozbił statek i tylko ten jeden człowiek ocalał.

Oto opowieść o skarbie Tranikosa, którego ludzie daremnie szukali od blisko stu lat.

Wiadomo, że mapa istnieje, ale nie wiadomo, gdzie jej szukać. Kiedyś widziałem ją przez chwilę. Byli ze mną Strombanni i Zingelito oraz Nemedyczyk, który pływał z

Barachańczykami. Oglądaliśmy ją w Messantii, gdzie ukrywaliśmy się w przebraniu. Ktoś

wywrócił lampę, ktoś zawył w ciemności i kiedy znów zapaliliśmy światło, stary sknera, który przyniósł mapę, leżał martwy z puginałem w sercu.

Pergamin zniknął, a nocna straż już nadciągała, szczękając pikami, żeby zbadać przyczynę zamieszania. Rozbiegliśmy się, każdy w swoją stronę. Od tej pory Strombanni i ja przez całe lata pilnowaliśmy się czujnie, a każdy z nas sądził, że to ten drugi ma mapę. No cóż, jak się okazało, żaden z nas jej nie miał, jednak ostatnio dowiedziałem się, iż Strombanni wyruszył na północ, więc udałem się za nim. Widziałeś zakończenie tej pogoni. Zdążyłem jedynie zerknąć na mapę leżącą na stole u starego sknery, więc nic nie mogę o niej powiedzieć, lecz zachowanie Strombanniego dowodzi, iż on wie, że Tranikos rzucił kotwicę właśnie tutaj.

Sądzę, że ukryli skarb na szczycie albo w pobliżu tej samotnej, stromej skały, którą widział zwiadowca, a kiedy wracali, zostali zaatakowani i zabici przez Piktów. Pewne jest, że dzicy nie dostali skarbu. Ludzie jednak trochę handlują na tym wybrzeżu, a u żadnego z mieszkających tu plemion nigdy nie widziano złotych ozdób. Oto co proponuję: połączmy nasze siły. Strombanni czeka tu gdzieś niedaleko. Uciekł, ponieważ obawiał się, że weźmiemy go w krzyżowy ogień, ale jeszcze wróci. Jednak jako sprzymierzeńcy możemy z niego drwić. Możemy działać poza fortem, zostawiwszy tu tylu ludzi, by utrzymali go w razie ataku. Jestem przekonany, że skarb znajduje się gdzieś w pobliżu. Dwunastu ludzi nie mogło przenieść go daleko. Znajdziemy skarb, załadujemy go na statek i pożeglujemy do jakiegoś zamorskiego portu, gdzie złoto skryje moją przeszłość. Mam dość tego życia. Chcę wrócić do cywilizowanych krajów i żyć jak szlachcic, posiadający bogactwa, niewolników, zamek — oraz żonę ze szlacheckiego rodu.

— Tak? — spytał hrabia, patrząc nań podejrzliwie zwężonymi oczami.

— Oddaj mi twoją bratanicę za żonę — zażądał śmiało bukanier.

Belesa krzyknęła i zerwała się na równe nogi. Valenso także się podniósł, kurczowo zaciskając palce na nóżce kielicha, jakby zamierzał cisnąć nim w swego gościa. Zarono nie poruszył się; siedział nieruchomo, trzymając na stole jedną dłoń o palcach zakrzywionych jak szpony. Jego oczy jarzyły się pożądaniem i groźbą.

— Jak śmiesz! — wykrzyknął Valenso.

— Zdajesz się zapominać, że wyszedłeś ze swego wysokiego stanu, hrabio — warknął

Zarono. — Nie jesteśmy na kordawańskim dworze, mój panie. Na tym pustkowiu znaczenie człowieka mierzy się liczbą zbrojnych, a pod tym względem mogę się z tobą równać. Obcy mieszka w zamku Korzettów, a ich fortuna spoczywa na dnie morza. Umrzesz tutaj jako wygnaniec, jeśli nie pozwolę ci skorzystać z mojego statku. Nie będziesz miał powodu żałować tego związku między naszymi domami. Przekonasz się, że z nowym nazwiskiem i nową fortuną Czarny Zarono może zasiadać wśród arystokratów tego świata i być zięciem, którego nie powstydzi się nawet ród Korzettów.

— Musisz być szalony, jeśli tak myślisz! — wykrzyknął gwałtownie hrabia. — Ty... Kto tam?

Jego uwagę odwrócił tupot stóp w miękkich pantofelkach. Tina wpadła do sali, zawahała się, widząc skierowane ku niej gniewne spojrzenie hrabiego, dygnęła nisko i nieśmiało obeszła stół, aby chwycić rączkami palce Belesy. Była lekko zdyszana, miała przemoczone pantofelki, a jasne włosy mokre od deszczu.

— Tino! — zawołała niespokojnie Belesa. — Gdzie byłaś? Myślałam, że już od kilku godzin jesteś w swojej komnacie.

— Byłam — odparła zdyszana dziewczynka. — Ale zgubiłam naszyjnik z koralami, który mi dałaś... — Pokazała tandetną ozdobę, którą niezwykle sobie ceniła, ponieważ był to pierwszy prezent, jaki otrzymała od Belesy. — Bałam się, że mnie nie puścisz, jeśli ci powiem. Żona pewnego żołnierza pomogła mi wyjść za palisadę i wrócić, ale proszę, pani, nie każ mi mówić jej imienia, ponieważ obiecałam, że jej nie zdradzę. Znalazłam naszyjnik nad sadzawką, w której kąpałam się rano. Proszę, ukarż mnie, jeśli źle zrobiłam.

— Tino! — jęknęła Belesa, przyciskając dziecko do piersi. — Nie ukarzę cię, ale nie powinnaś wychodzić za palisadę, kiedy na plaży obozują bukanierzy, a w ciemności może się czaić jakiś Pikt. Zaprowadzę cię do komnaty i zmienisz te mokre rzeczy...

— Tak, pani, ale najpierw pozwól mi powiedzieć o czarnym człowieku...

— Co? — przerwał jej głośny okrzyk, który wyrwał się z ust Valenso. Upuszczony puchar potoczył się z brzękiem po podłodze, a hrabia oburącz chwycił się stołu. Twarz pana fortu nie przybrałaby okropniejszego wyrazu, nawet gdyby raził go grom. Pobladł, a oczy niemal wyszły mu na wierzch.

— Co powiedziałaś? — wysapał, patrząc oszalałym wzrokiem na dziewczynkę, która z lękiem przytuliła się do Belesy.

— Cz... czarny człowiek, panie — wykrztusiła, podczas gdy Belesa, Zarono i służba ze zdziwieniem spoglądali na hrabiego. — Widziałam go, kiedy poszłam do sadzawki po swój naszyjnik. Wiatr dziwnie zawodził, a morze głucho jęczało jakby przestraszone i nagle on się zjawił. Przyplłynął morzem w dziwnej, czarnej łodzi, świecącej błękitnym światłem, chociaż nie widziałam pochodni. Wciągnął łódź na piasek koło południowego cypla i pomaszerował w las. Wyglądał w tej mgle na olbrzyma, wysoki, ogromny człowiek, czarny jak Kuszyta... Valenso zatoczył się, jakby otrzymał śmiertelny cios. Podniósł dłonie do gardła, gwałtownym ruchem rozrywając złoty łańcuch. Z twarzą wykrzywioną grymasem szaleństwa obiegł stół i wyrwał wrzeszczącą dziewczynkę z objęć Belesy.

— Ty mała flądrowo! — wysapał. — Kłamiesz! Słyszałaś, jak mamrotałem we śnie i kłamiesz, żeby mnie dręczyć! Przyznaj się, że skłamałaś, zanim zedrę z ciebie skórę!

— Wuju! — krzyknęła Belesa z gniewem i niedowierzaniem, próbując uwolnić Tinę z jego rąk. — Czyś oszalał? Co chcesz zrobić?

Z gniewnym warknięciem oderwał jej dłoń od swego ramienia, aż zatoczyła się, wpadając w ramiona Galbro, który przyjął to z ledwie skrywanym obleśnym uśmiechem.

— Litości, panie! — szlochała Tina. — Ja nie kłamię!

— Mówię, że kłamiesz! — ryknął Valenso. — Gebellez!

Obojętny służący złapał drżącą dziewczynkę i jednym brutalnym szarpnięciem zdarł z niej

skąpe odzienie. Obracając się, przerzucił sobie jej ręce przez ramiona, tak że wierzgające stopy ofiary oderwały się od podłogi.

— Wuju! — zawołała Belesa, daremnie szarpiąc się w lubieżnym uścisku Galbro. —

Oszalałeś! Nie możesz... Och, nie możesz..!

Głos zamarł jej w gardle, gdy Valenso chwycił pejcz o wysadzanej klejnotami rękojeści i z wściekłością opuścił go na wątłe ciało dziecka, zostawiając czerwoną pręgę na nagich ramionach.

Belesa jęknęła, słysząc bolesny krzyk Tiny. Świat zupełnie oszalał. Jak w sennym koszmarze, widziała obojętne, zwierzęce twarze żołnierzy i służących, nie zdradzające ani litości, ani współczucia. Szyderczo uśmiechnięte oblicze Zarono było częścią tej wizji. W przesłaniającej oczy purpurowej mgłę wszystko wydawało się nierealne oprócz nagiego, białego, pociętego czerwonymi pręgami od ramion do kolan ciała Tiny, jej przeraźliwych okrzyków bólu oraz zdyszanego oddechu Valenso, który smagał ją, tocząc dookoła wzrokiem szaleńca i krzycząc:

— Kłamiesz! Kłamiesz! Kłamiesz, przekłeta! Przyznaj się albo zedrę z ciebie skórę! On nie mógł śledzić mnie aż tutaj...

— Och, litości, panie! — błagała dziewczynka, daremnie wijąc się na szerokich plecach sługi, zbyt przerażona, aby ratować się kłamstwem. Krew ciekła kropelkami po jej drżących udach. — Widziałam go! Nie kłamie! Litości! Proszę! Ach!

— Ty głupcze! Głupcze! — wrzasnęła Belesa. — Nie widzisz, że ona mówi prawdę? Ty bestio! Bestio!

W końcu hrabia Valenso z Korzetty odzyskał odrobinę rozsądku. Upuścił bat, zatoczył się i oparł o stół, ściskając jego krawędź. Trząsł się jak w febrze. Wilgotne pasma włosów przyłgnęły mu do czoła, krople potu spływały po pobielalej twarzy, zamienionej w nieruchomą maskę Strachu. Uwolniona przez Gabelleza Tina z jękiem osunęła się na

podłogę. Belesa wyrwała się Galbro, podbiegła do niej ze szlochem i uklękła przy dziewczynce. Objęła nieszczęsne dziecko ramionami i spojrzała z wściekłością na wuja, zamierzając wylać na niego potok gniewnych słów — lecz hrabia wcale na nią nie patrzył. Zdawał się nie pamiętać o istnieniu zarówno Belesy, jak i Tiny. Z bezgranicznym zdumieniem usłyszała, jak mówi do bukaniera:

— Przyjmuję twoją propozycję, Zaron. Na Mitrę, znajźmy ten przeklęty skarb i opuścimy ten diabelski brzeg!

Słyszając te słowa, Belesa zapomniała o gniewie. W oszłamiającej ciszy wzięła na ręce szlochające dziecko i wniosła je na górę. Zerkając przez ramię, ujrzała Valenso zgarbionego nad stołem i pijącego wino z ogromnego pucharu, który trzymał obiema drżącymi rękami.

Zaron wisiał nad hrabią jak sęp — zdumiony obrotem spraw, lecz zamierzający wykorzystać tę szokującą zmianę, jaka zaszła w zachowaniu hrabiego. Zwracał się do Valenso cichym, stanowczym głosem, a ten przytakiwał niemo, jak ktoś niezbyt zdający sobie sprawę z tego, co się doń mówi. Galbro trzymał się w cieniu, skubiąc brodę palcami, a słudzy pod ścianami spoglądali niespokojnie po sobie, zaskoczeni załamaniem nerwowym ich pana.

Na górze Belesa położyła na pół omdlałą dziewczynkę na łożu, po czym zaczęła przemywać i smarować rany oraz pręgi znaczące delikatną skórę kojącym bólem mazidłem. Tina posłusznie poddawała się tym zabiegom, słabo pojękując. Belesa czuła się tak, jakby cały świat runął jej na głowę. Była oszołomiona, wstrząśnięta, niesłychanie zdenerwowana i roztrzęsiona wydarzeniami, których stała się świadkiem. W jej duszy narastał strach przed wujem i nienawiść do niego. Nigdy nie kochała tego twardego, szorstkiego i chciwego człowieka, niezdolnego do głębszych uczuć. Jednak uważała go za sprawiedliwego i nieustraszonego. Na wspomnienie jego wytrzeszczonych oczu i pobielełej twarzy Belesa poczuła odrazę. Jakiś przeraźliwy lęk doprowadził go do szaleństwa i z powodu tego strachu Valenso skrzywdził jedyną istotę, którą Belesa mogła kochać. Pod wpływem tego lęku sprzedawał ją, swoją bratanicę, wyjętemu spod prawa łotrzykowi. Co kryło się za jego

szaleństwem? Kim był czarny człowiek, którego widziała Tina? Dziewczynka mamrotała półprzytomnie:

— Ja nie kłamałam, pani! Naprawdę nie kłamałam! Tam był czarny człowiek w czarnej łodzi, która jarzyła się na wodzie niebieskim płomieniem! Wysoki mężczyzna, prawie tak czarny jak Kuszyta, owinięty w czarny płaszcz! Kiedy go ujrzałam, przestraszyłam się i krew zastygła mi w żyłach. Zostawił łódź na piasku i zniknął w lesie. Dlaczego hrabia wychłostał mnie za to, że go widziałam?

— Cicho, Tino — uspokajała ją Belesa. — Leż spokojnie, pieczenie zaraz minie.

Za jej plecami otworzyły się drzwi — Belesa obróciła się błyskawicznie, chwytając za wysadzany drogimi kamieniami sztylet. W progu stanął hrabia. Na jego widok Belesie dreszcz przebiegł po plecach. Postarzał się o wiele lat; twarz miał szarą i ściągniętą, a wyraz jego oczu nappełnił ją lękiem. Nigdy nie byli sobie bliscy; teraz miała wrażenie, że dzieli ich nieprzebyta otchłań. To nie jej wuj stał w drzwiach, lecz obcy człowiek, który przyszedł, aby jej grozić. Podniosła sztylet.

— Jeśli znowu ją dotkniesz — szepnęła wyschniętymi wargami — to przysięgam na Mitrę, że zatopię to ostrze w twojej piersi.

Nie zwracał na nią uwagi.

— Wystawiłem przed dworem silne straże — rzekł. — Jutro Zarono przyprowadzi tu swoich ludzi. Nie odpłynie bez skarbu. Kiedy go odnajdzie, natychmiast wyruszymy do jakiegoś portu. Jakiego później zadecydujemy.

— Zamierzasz mnie sprzedać temu piratowi? — szepnęła. — Na Mitrę...

Zwrócił na nią ponure spojrzenie, w którym nie było niczego prócz troski o własny interes. Wzdrygnęła się, widząc w tym zapamiętałe okrucieństwo człowieka, którego opętała tajemnicza bojaźń.

— Zrobisz, co każe — rzekł w końcu, głosem równie wypranym z wszelkich ludzkich uczuć jak brzęk stali uderzającej o krzemień, po czym odwrócił się i opuścił komnatę.

Ogarnięta nagłym przyływem przerażenia Belesa upadła zemdlona na posłanie Tiny.

4

PONURY ŁOSKOT BĘBNA

Belesa nie wiedziała, jak długo leży bez przytomności. Najpierw uświadomiła sobie, że obejmuje ją Tina, szlochając do jej ucha. Belesa usiadła bezwiednie i przytuliła dziewczynkę. Siedziała tak z suchymi oczami, patrząc niewidzącym spojrzeniem na migoczącą świecę. W forcie panowała głęboka cisza. Obozujący na plaży bukanierzy przestali śpiewać. Chłodno, niemal bezosobowo, Belesa rozważała swoją sytuację.

Valenso zwariował, doprowadzony do szaleństwa opowieścią o tajemniczym czarnym człowieku. Aby uciec przed nieznanym, chciał puścić osadę i odpłynąć z Zaronu. To było oczywiste, równie oczywiste jak fakt, iż był gotów poświęcić ją w zamian za umożliwienie mu tej ucieczki. Belesa wpadła w ponury nastrój, którego nie rozjaśniała nawet najmniejsza iskierka nadziei. Dworacy hrabiego to tępi lub gruboskórni brutale z głupimi i apatycznymi żonami. Nie ośmielą się i nie zechcą jej pomóc. Czuła się zupełnie bezradna.

Tina uniosła zalaną łzami twarz, jakby słuchając jakiegoś wewnętrznego głosu. Sposób, w jaki dziewczynka czytała w najbardziej skrytych myślach Belesy, robił niesamowite wrażenie, podobnie jak to, że uznawała nieuchronność wyroków Losu, jedyne wyjście pozostające słabym.

— Musimy uciekać, pani! — szepnęła. — Zaronu nie dostanie cię. Pójdziemy głęboko w las. Będziemy szły, póki starczy nam sił, a potem położymy się i umrzemy razem.

Belesa poczuła ten nagły przyływ energii, będącej ostatnią nadzieją słabych. Tylko w ten sposób mogła ujść widmom, otaczającym ją od dnia, kiedy umknęli z Zingary.

— Tak zrobimy, dziecko.

Wstała i zaczęła szukać płaszcza, lecz cichy okrzyk Tiny sprawił, że odwróciła się ku łożu.

Dziewczynka zerwała się na równe nogi i stała z palcem przyciśniętym do ust oraz z szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczami.

— Co się dzieje, Tino?

Strach malujący się na twarzy dziecka sprawił, że Belesa ściszyła głos do szeptu, czując przyływ dziwnego niepokoju.

— Ktoś jest na zewnątrz — szepnęła Tina, kurczowo chwytając ją za rękę. — Przystanął przed naszymi drzwiami, a potem poszedł na drugi koniec korytarza, do komnaty hrabiego.

— Masz lepszy słuch ode mnie — powiedziała półgłosem Belesa. — Ale nie ma w tym nic dziwnego. To pewno hrabia albo Galbro.

Miała zamiar podejść i otworzyć drzwi, lecz Tina kurczowo objęła ją za szyję. Belesa poczuła, jak gwałtownie bije serce dziewczynki.

— Nie, nie, pani! Nie otwieraj drzwi! Boję się! Nie wiem, dlaczego, ale czuję, że obok nas czai się coś złego!

Przejęta tym Belesa pogłaskała ją uspokajająco i sięgnęła do metalowego krążka zasłaniającego otwór na środku drzwi.

— On wraca! — zatrzęsa się Tina. — Słyszę go!

Belesa również coś usłyszała — dziwny, ukradkowy szmer kroków, które, jak rozpoznała w przyływie niewytłumaczalnego lęku, nie były krokami żadnego z mieszkańców fortu. Z pewnością nie był to też Zarono ani inny obuty człowiek. Czyżby bukanier skradał się na

bosaka korytarzem, żeby zabić śpiącego gospodarza? Belesa przypomniała sobie żołnierzy stojących na warcie na dole. Jeżeli bukanier został w forcie na noc, pod drzwiami jego pokoju na posterunku postawiono zbrojnych. A więc któż mógł skradać się korytarzem? Oprócz niej w pomieszczeniach na górze spali jedynie hrabia, Galbro i Tina.

Belesa szybkim ruchem zgasła świecę, tak aby jej blask nie był widoczny przez otwór w drzwiach, i odsunęła miedziany krążek. Wszystkie światła na korytarzu — zazwyczaj oświetlonym świecami — zostały zgaszone. Ktoś szedł powoli w ciemnościach. Belesa raczej wyczuła, niż zobaczyła niewyraźny kształt przesuwanego się obok jej drzwi, jednak nie

zdołała dostrzec żadnych szczegółów poza tym, że przypominał człowieka. Czując

gwałtowny przyływ przerażenia, skuliła się przy drzwiach, a krzyk zamarł jej na ustach. Nie był to taki strach, jaki teraz budził w niej wuj, ani lęk przed Zarono czy mroczną ścianą lasu.

To było okropne, obezwładniające przerażenie ściskające lodowatą ręką jej duszę i sprawiające, że język przy — sechł jej do podniebienia.

Postać doszła do szczytu schodów, gdzie przez moment oświetlił ją słaby blask sączący się z dołu. Belesa ujrzała, iż przybysz był mężczyzną, lecz takim, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie spotkała. Dostrzegła ogoloną głowę, twarz o spokojnych, orlich rysach oraz błyszczącą, brązową skórę, ciemniejszą niż u jej smagłych rodaków. Głowa spoczywała na szerokich, masywnych ramionach, okrytych czarnym płaszczem. W następnej chwili intruz zniknął.

Belesa skuliła się w mroku, oczekując na wrzawę zwiastującą, że żołnierze w wielkiej sali zauważyli intruza. Jednak we dworze panowała cisza. Gdzieś cicho zaskomlił wiatr — to wszystko.

Spoconymi rękami, po omacku Belesa próbowała zapalić świecę. Nadal trzęsła się z grozy, chociaż nie potrafiła powiedzieć, dlaczego widok czarnej sylwetki rysującej się na tle czerwonego blasku wzbudził w niej tak gwałtowną odrazę. Wiedziała tylko, iż widok ten pozbawił ją całej świeżo odzyskanej energii. Była wystraszona, niezdolna do czynu.

Świeca zapłonęła, oświetlając białą twarz Tiny żółtym płomieniem.

— To był czarny człowiek! — szepnęła Tina. — Wiem! Krew zastygła mi w żyłach tak samo jak wtedy, gdy ujrzałam go na plaży. Na dole są żołnierze; czemu go nie zauważyli? Czy mamy tam iść i powiedzieć hrabiemu?

Belesa potrząsnęła głową. Wolą nie stać się ponownie świadkiem sceny, jaka miała miejsce, gdy Tina po raz pierwszy wspomniała o czarnym człowieku. A ponadto nie ośmieliłaby się zapuszczać w ten mroczny korytarz.

— Nie odważymy się uciec do lasu! — zadrżała Tina. — On będzie się tam czał.

Belesa nie pytała dziewczynki, skąd ta wie, że czarny człowiek kryje się w lesie;

wydawało się logiczne, że tam kryły się wszelkie złe stwory i źli ludzie. I wiedziała też, że Tina ma rację; teraz nie odważą się opuścić fortu. Jej zdecydowanie, nie osłabione

perspektywą rychłej śmierci, minęło, gdy stanęła przed perspektywą wędrówki po tych

cienistych lasach, w których włóczyło się takie tajemnicze, złowieszcze stworzenie. Belesa opadła na łoże i skryła twarz w dłoniach.

Tina w końcu zasnęła. Łzy skrzyły się na jej długich rzęsach; niespokojnie rzucała, się we śnie. Belesa czekała.

Zbliżał się świt, gdy zdała sobie sprawę z tego, że zrobiło się duszno; od strony morza

dobiegł daleki łoskot gromu. Zgasiwszy świecę, która wypaliła się niemal do cna, Belesa

podeszła do okna, skąd mogła obserwować zarówno ocean, jak i pas lasu za fortem.

Mgła zniknęła i na wschodzie, wzdłuż horyzontu, widać było cienkie, blade pasmo

zapowiadające świt. Jednak nad morzem unosiły się gęste kłęby chmur. Wśród nich błysnęła

błyskawica i przetoczył się grom. Z mrocznej puszczy odpowiedział mu głuchy pomruk.

Belesa odwróciła się i spojrzała na puszcę otaczającą fort mrocznym półkolem. Do uszu

dziewczyny doleciał dziwny, rytmicznie pulsujący dźwięk — monotonne dudnienie, które z

całą pewnością nie było odgłosem piktyjskiego werbla.

— Bęben! — zaszlochała przez sen Tina, spazmatycznie otwierając i zaciskając dłonie. —

Ten czarny człowiek... On bije w czarny bęben w mrocznym lesie! Och, Mitro, ratuj nas!

Belesa wzdrygnęła się. Ciężka chmura na zachodzie kłębiła się i falowała, wzdymając się i

rozprzestrzeniając. Belesa patrzyła na to ze zdumieniem, ponieważ poprzedniego lata o tej

porze nie było tu żadnych burz, a ponadto jeszcze nigdy nie widziała takiej chmury.

Obłok nadciągał, podnosząc się nad widnokrąg kipiącymi masami ciemności,

przetykanymi błękitnym ogniem. Toczył się i kłębił gnany podmuchami wiatru. Od

nieustannych grzmotów wibrowało powietrze. Z ich echemi mieszał się inny, okropny dźwięk

— szum gnającego wichru. Atramentowo—czarny horyzont rozdzierały konwulsje błyskawic.

Daleko na morzu Belesa ujrzała białe grzywy pędzonych wiatrem fal; dudniący ryk narastał w miarę

zbliżania się do brzegu.

Jednak na razie jeszcze żaden podmuch nie musnął lądu. Powietrze było gorące, zapierało dech. Ten kontrast zdawał się wprost nierealny; tam wicher, pioruny i chaos pędzący ku wyspie; tu — głucha cisza. Gdzieś na dole, przerywając ciszę, trzasnęła okiennica, a przenikliwy kobiecy głos zawołał coś ostrzegawczo. Jednak większość mieszkańców fortu była pogrążona we śnie, nie zdając sobie sprawy z nadciągającego huraganu.

Belesa uświadomiła sobie, że nadal słyszy to tajemnicze, monotonne bębnienie. Spojrzała w kierunku mrocznego lasu i dreszcz przebiegł jej po plecach. Niczego nie dostrzegła, lecz intuicja podsunęła jej wizję czarnej, odrażającej postaci przycupniętej pod baldachimem liści i wybijającej dziwne zakłęcie na egzotycznym instrumencie.

Rozpaczliwym wysiłkiem otrząsnęła się z tego koszmaru. Popatrzyła na morze w tej samej chwili, gdy pierwsza błyskawica rozdarła niebiosa. Zobaczyła równie wyraźne jak za dnia oblane blaskiem piorunów maszty statku Zarono, rozbite na plaży namioty bukanierów, piaszczysty południowy brzeg zatoki i strome skały północnego cypla. Ryk wichru stawał się coraz głośniejszy i mieszkańcy dworu obudzili się wreszcie. Na schodach zadudniły kroki i rozległ się donośny głos Zarono, w którym było słyhać strach. Trzasnęły drzwi i Valenso odpowiedział krzykiem, aby tamten usłyszał go pośród ryku burzy.

— Czemu nie ostrzegłeś mnie przed burzą z zachodu? — wołał bukanier. — Jeżeli kotwice nie wytrzymają...

— Sztorm jeszcze nigdy nie nadchodził tu z zachodu i o tej porze roku! — wrzeszczał

Valenso, wybiegając w nocnej koszuli ze swej sypialni. Miał bladą twarz i włosy zjeżone na głowie. — To robota...

Jego słowa utonęły w hałasie, gdy pognał jak szalony po drabinie wiodącej do wieży strażniczej, a przeklinający bukanier poszedł w jego ślady.

Belesa skuliła się przy oknie, ogłuszona i zdjęta strachem. Wiatr wiał mocniej i mocniej, aż utonęły w nim wszelkie inne dźwięki — wszystkie oprócz doprowadzającego do szaleństwa

bicia w bęben, które teraz brzmiało niczym jakiś nieludzki, triumfalny hymn. Sztorm z

rykiem runął na wybrzeże, gnając przed sobą spienioną, długą na milę grzywę piany. W

następnej chwili na brzegu rozpętało się piekło. Deszcz lał się strumieniami, ze ślepą furią siekąc plażę. Wicher uderzył z hukiem gromu, aż zatrząśły się ściany fortu. Przybój

przetoczył się po plaży, gasząc węgle ognisk rozpalonych przez marynarzy.

W blasku błyskawicy Belesa ujrzała za kurtyną siekącego deszczu namioty bukanierów

poszarpane na strzępy i rozrzucone przez wicher; ich mieszkańcy, zataczając się, szli w stronę fortu, przygnieceni niemal do ziemi przez wściekłe dujący wiatr. A na tle błękitnej poświaty dostrzegła statek Zarono, zerwany z cum, który pędził ku czekającym na niego, poszarpanym

skałom.

5

CZŁOWIEK Z DZICZY

Burza wytraciła swą furję, wstał jasny, błękitny, słoneczny ranek. Jaskrawo upierzone

ptaki chóralnie śpiewały wśród drzew, a na szerokich liściach krople rosy lśniły jak diamenty, drżąc w łagodnych podmuchach porannego wiatru.

Przy małym strumyczku wijącym się wśród piasków po drodze do morza, pewien człowiek ukryty za zasłoną krzaków i drzew, pochylił się, żeby przemyć sobie ręce i twarz. Dokonywał tych ablucji w sposób typowy dla swej rasy — parszając z lubością i chlapiąc się jak bizon.

Jednak w trakcie tych zabiegów nagle uniósł głowę, aż woda pociekła mu z mokrych strąków kasztanowych włosów na brązowe ramiona. Przez moment zastygł, nasłuchując, a potem jednym zwinnym ruchem porwał swój miecz i stanął twarzą do brzegu. Znieruchomiał, szeroko otwierając oczy i rozdziawiając usta.

Mężczyzna jeszcze większy niż on maszerował ku niemu przez piaski, nawet nie usiłując się skradać. Pirat spoglądał szeroko otwartymi oczyma na obcisłe jedwabne bryczesy, wysokie buty z wywiniętymi cholewami, płaszcz o długich połach i hełm, składające się na strój modny przed stu laty. Przybysz trzymał w ręku kord o szerokiej klindze i nie ukrywał swoich zamiarów. Pirat, poznawszy nadchodzącego, zbladł jak ściana.

— To ty! — wykrzyknął z niedowierzaniem. — Na Mitrę, to ty!

Z pianą ciekącą z ust podniósł kord do ciosu. Ptaki wielobarwną chmurą wzbiły się w powietrze, gdy brzęk stali przerwał ich pieśń. Z siekących ostrzy trysnęły błękitne iskry, a piach skrzypiał i chrzęścił pod ich obcasami. Potem szczęk stali przerwało głucho chrupnięcie i jeden z mężczyzn ze zduszonym jękiem osunął się na ziemię. Rękojeść kordu wysunęła się z pozbawionej czucia dłoni; runął na piach, który zaczerwienił się od jego krwi. Ostatnim

wysiłkiem wygrzebał coś zza pasa i próbował podnieść do ust, lecz zadrżał konwulsyjnie i zeszywniał.

Zwycięzca pochylił się i brutalnie wyrwał ten przedmiot z mnących go rozpaczliwie, sztywniejących palców.

Zarono i Valenso stali na plaży, spoglądając na zbierane przez ludzi drewniane szczątki — reje, kawałki masztu, połamane wręgi. Burza tak wściekle rzucała statkiem Zarono o skały, że większość wyrzuconego przez fale drewna nadawała się jedynie na podpałkę. Opodal stała

Belesa, obejmując jednym ramieniem Tinę i słuchając ich rozmowy. Była pobladła i apatyczna, zobojętniała na wszystko, co niósł jej Los. Bez nadmiernego zainteresowania przysłuchiwała się temu, co mówili ci dwaj. Przygniatała ją świadomość tego, iż była jedynie pionkiem w tej grze, jakkolwiek się ona potoczy — czy jako nędzny żywot pędzony na tym pustym wybrzeżu, czy też powrót do jakiegoś cywilizowanego kraju.

Zarono klął wściekle, a Valenso wydawał się oszołomiony.

— O tej porze roku nie nadchodzą burze z zachodu... — mamrotał hrabia, spoglądając z przygnębieniem na ludzi wyciągających szczątki na brzeg. — To nie przypadek sprowadził wiatr, żeby rozbił w drzazgi okręt, którym zamierzałem uciec. Uciec? Teraz siedzę w pułapce jak szczur. Nie, wszyscy siedzimy tu jak szczury w pułapce.

— Nie wiem, o czym mówisz — burknął Zarono, energicznie tarmosząc swoje wąsy. —

Od kiedy zeszłej nocy ta żółtowołosa flądra rozgniewała cię opowieścią o czarnych ludziach wychodzących z morza, nie byłem w stanie wydobyć z ciebie niczego sensownego. Jednak nie zamierzam spędzić reszty życia na tym zakazanym wybrzeżu. Dziesięciu moich ludzi

poszło do piekła razem ze statkiem, ale mam jeszcze stu sześćdziesięciu. Ty masz stu. W

forcie są narzędzia, a w tym lesie mnóstwo drzew. Zbudujemy statek. Gdy tylko moi ludzie poukładają te szczątki poza zasięgiem fal, wyślę ich do ścinania drzew.

— To zajmie kilka miesięcy — mruknął Valenso.

— A cóż innego mamy do roboty? Jeśli nie zbudujemy statku, nigdy się stąd nie

wydostaniemy. Będziemy musieli zbudować prowizoryczny tartak, ale jeszcze nigdy nie

napotkałem trudności, które zdołałyby mnie na długo powstrzymać. Mam nadzieję, że sztorm

rozbił w drzazgi statek tego argijskiego psa, Strombanniego! Budując statek, będziemy szukać łupów starego Tranikosa.

— Nigdy nie zbudujemy tego statku — rzekł ponuro Valenso.

Zarono spojrzał nań ze złością.

— Może zaczniesz wreszcie mówić do rzeczy? Kim jest ten przeklęty czarny człowiek?

— Istotnie przeklęty — odpadł Valenso, spoglądając na morze. — To cień mojej krwawej

przeszłości, który powstał, żeby ścigać mnie choćby do Piekieł. Z jego powodu uciekłem z

Zingary, mając nadzieję, że zgubię go na wielkim oceanie. Jednak powinienem był wiedzieć,

że w końcu mnie wytropi.

— Jeśli ten człowiek zszedł na brzeg, musi ukrywać się w lasach — warknął Zarono. —

Przeczemy puszcę i wykurzymy go.

Valenso zaśmiał się ochryple.

— Równie dobrze możesz szukać cienia rzucanego przez chmurę zasłaniającą księżyc,

chwytać żmiję w ciemnościach lub tropić mgłę snującą się o północy na moczarach.

Zarono spojrzał na niego niepewnie, najwidoczniej wątpiąc, czy hrabia jest przy zdrowych

zmysłach.

— Kim jest ten człowiek? Skończ z tymi zagadkami.

— Cieniem zrodzonym z mojego okrucieństwa i ambicji, upiorem z minionych czasów —

nie zwykłym człowiekiem z krwi i kości, lecz...

— Żagiel na horyzoncie! — krzyknął wartownik na północnym cyplu.

Zarono odwrócił się i zawołał:

— Poznajesz statek?

— Tak! — usłyszał słabą odpowiedź. — To „Czerwona Ręka”!

Zarono zaklął wściekle.

— Strombanni! Diabeł troszczy się o swoje sługi! Jak udało mu się wyjść cało z tego sztormu?

Bukancier podniósł głos do krzyku, który usłyszano na całej plaży:

— Wracać do fortu, psy!

Zanim „Czerwona Ręka”, która wyglądała na trochę pokiereszowaną przez sztorm,

opłynęła cypel, plaża opustoszała a na palisadzie zaroilo się od połyskujących hełmów i

obwiązanych szarfami głów. Bukancierzy przyjęli przymierze ze swobodą właściwą łatwo

przystosowującym się do różnych sytuacji awanturnikom, zaś ludzie hrabiego z apatią typową dla sług.

Zarono zgrzytnął zębami, gdy na dziobie powoli nadpływającej szalupy piratów ujrzał

brązową głowę rywala. Łódź dobiła do brzegu i Strombanni powoli ruszył w kierunku fortu,

sam.

Znalazłszy się w pewnej odległości od palisady, stanął i ryknął potężnie głosem, który

niósł się wyraźnie w porannej ciszy.

— Ahoj, tam w forcie! Chcę paktować!

— Zatem czemu tego nie robisz, do diabła? — warknął Zarono.

— Kiedy ostatnio przyszedłem tu z białą flagą, powitano mnie strzałami! — odkrzyknął

pirat.

— Sam tego chciałeś — rzekł Valenso. — Ostrzegałem cię, żebyś zostawił nas w spokoju.

— Chcę obietnicy, że to się już nie powtórzy!

— Masz moją obietnicę! — zawołał Zaron z szyderczym uśmiechem.

— Do diabła z twoimi obietnicami, ty zingarański psie! Chcę słowa Valenso.

Hrabia zachował jeszcze resztę godności. W jego głosie zabrzmiały stanowcze nuty.

— Podejdź, ale niech twoi ludzie trzymają się z daleka. Nie będziemy do ciebie strzelać.

— To mi wystarczy — odparł natychmiast Strombanni. — Cokolwiek zarzuciłoby się Korzettom, można ufać ich słowu.

Ruszył naprzód i stanął przed bramą, śmiejąc się w wykrzywioną wściekłością twarz Zaron, który patrzył nań zza palisady.

— No cóż, Zaron — zakpił. — Masz jeden statek mniej niż wtedy, gdy widzieliśmy się ostatnio. Jednak wy, Zingarańczycy, nigdy nie byliście dobrymi żeglarzami.

— Jak udało ci się uratować statek, ty argijski śmieciu? — burknął Zaron.

— Kilka mil na północ znajduje się zaciszna zatoczka, osłonięta wysoką skałą, o którą rozbił się sztorm — odpowiedział Strombanni. — Wpłynąłem za nią. Kotwice wlokły się po dnie, ale wytrzymały.

Zaron zmarszczył brwi, Valenso nic nie powiedział. Hrabia nie znał tej zatoczki, ponieważ słabo zbadał swoje włości. Strach przed Piktami, brak zainteresowania i konieczność prowadzenia prac trzymały hrabiego i jego ludzi w pobliżu fortu.

— Przychodzę zaproponować wam wymianę — rzucił swobodnie Strombanni.

— Nie mamy dla ciebie nic prócz ciosów miecza — odparł opryskliwie Zaron.

— Sądzę, że jest inaczej — pirat uśmiechnął się z zaciśniętymi wargami. — Zdradziłeś swoje zamiary, kiedy zamordowałeś i obrabowałeś Galakusa, mojego zastępcę. Do tej pory przypuszczałem, że to Valenso ma skarb Tranikosa. Jednak gdyby któryś z was go miał, nie zadawalibyście sobie trudu, żeby mnie śledzić i zabijać mojego mata, aby zdobyć mapę.

— Mapę? — wykrzyknął Zarono.

— Och, nie udawaj! — zaśmiał się Strombanni, lecz w jego oczach zapalił się gniewny błysk. — Wiem, że ją macie. Piktowie nie noszą butów!

— Ale... — zaczął hrabia, lecz Zarono szturchnął go w bok.

— A gdybyśmy mieli tę mapę — rzekł Zarono. — Cóż ty posiadasz takiego, czego moglibyśmy potrzebować?

— Pozwólcie mi wejść do fortu — zaproponował Strombanni. — Wtedy porozmawiamy.

Nawet nie spojrzał na ludzi przyglądających mu się zza palisady, lecz ci, którzy słyszeli jego słowa, dobrze go zrozumieli. Strombanni miał statek. Ten fakt należało wziąć pod uwagę zarówno podczas targów, jak i w bitwie. Jednak, niezależnie od tego kto będzie nim dowodził, statek nie zabierze wszystkich. Ktokolwiek nim popłynie, inni będą musieli pozostać.

Milczący tłum na galerii pograżył się w pełnych napięcia rozważaniach.

— Niech twoi ludzie zostaną na swoich miejscach — ostrzegł Zarono, wskazując łódź wciągniętą na brzeg i statek stojący na kotwicy.

— Tak. Jednak nie myślcie, że schwytnacie mnie i zatrzymacie jako zakładnika! — zaśmiał się ponuro Strombanni. — Chcę, żeby Valenso dał słowo, iż z ciągu godziny będę mógł zdrów i cały opuścić fort, obojętnie, czy dojdziemy do porozumienia, czy nie.

— Masz moje słowo — odparł hrabia.

— A więc w porządku. Otwórzcie bramę i pogadajmy szczerze.

Wrota otwarły się i zamknęły, przywódcy zniknęli z oczu zebranych. Członkowie obu oddziałów w milczeniu obserwowali się nawzajem. Ludzie za palisadą i ci siedzący obok szalupy spoglądali na siebie nad szerokim pasem piasku; za nimi rozlewały się błękitne wody zatoki, gdzie stała zakotwiczona karaka, zaś za jej relingiem lśnił długi rząd stalowych hełmów.

Belesa i Tina przysiadły na szerokich schodach nad wielką salą, ignorowane przez

zajmujących miejsca za szerokim stołem mężczyzn: Valenso, Galbro, Zarono i

Strombanniego. Oprócz nich w komnacie nie było nikogo.

Strombanni wypił wino i odstawił pusty kielich na stół. Szczerości sugerowanej przez wyraz twarzy przeczyły okrutne i zdradliwe błyski w jego oczach. Jednak mówił otwarcie.

— Wszyscy chcemy skarbu, który stary Tranikos ukrył gdzieś w pobliżu tej zatoki — rzekł gwałtownie. — Każdy z nas ma coś, czego potrzebują pozostali. Valenso ma robotników, zapasy i fortyfikacje, mogące obronić nas przed Piktami. Ty, Zarono, masz moją mapę. Ja mam statek.

— Jedno chciałbym wiedzieć — wtrącił Zarono. — Skoro przez te wszystkie lata miałeś mapę, dlaczego wcześniej nie przybyłeś tu po skarb?

— Nie miałem jej. To ten pies Zingelito zadźgał w ciemności starego sknerę i ukradł ją.

Jednak nie miał ani statku, ani załogi i stracił prawie rok, zanim je zdobył. Kiedy przybył po skarb, Piktowie nie pozwolili mu wylądować, a jego załoga zbuntowała się i zmusiła do powrotu do Zingary. Jeden z nich ukradł mu mapę i niedawno sprzedał ją mnie.

— To dlatego Zingelito rozpoznał zatokę — mruknął Valenso.

— Czy to ten pies sprowadził cię tutaj, hrabio? — spytał Strombanni. — Mogłem się tego domyślać. Gdzie on jest?

— Z pewnością w piekle, ponieważ nigdy był bukanierem. Piktowie zabili go, kiedy przemierzał puszcę, najwidoczniej w poszukiwaniu skarbu.

— To dobrze! — stwierdził z przekonaniem Strombanni. — No cóż, nie spodziewałem się, że wiecie, iż mapę ma mój mat. Ufałem mu, a moi ludzie ufali mu bardziej niż mnie, więc dałem mu ją na przechowanie. Jednak dziś rano powędrował w głąb lądu razem z kilkoma innymi, po czym odłączył się od nich. Znaleźliśmy go przeszytego mieczem w pobliżu plaży, a mapa zniknęła. Moja załoga była gotowa oskarżyć mnie o to zabójstwo, ale pokazałem tym

głupcom ślady pozostawione przez zabójcę i udowodniłem, że nie są to ślady moich stóp.

Wiedziałem też, iż nie zostawił ich nikt z mojej załogi, ponieważ żaden nie nosi takich butów.

A Piktowie w ogóle nie noszą butów. Czyli musiał to być Zingarańczyk. Tak więc macie

mapę, ale nie macie skarbu. Gdybyście mieli, nie wpuścilibyście mnie za palisadę. Ja

okrążyłem was w forcie. Nie możecie wydostać się, żeby poszukać skarbu, a nawet gdybyście

zdołali, nie macie statku, którym moglibyście odpłynąć. Oto moja propozycja: Zarono, daj mi mapę, a ty, Valenso, daj mi świeże mięso i inne zapasy. Po tej długiej podróży moi ludzie są głodni jak wilki. Ja w zamian zabiorę was trzech, lady Belesę oraz jej dziewczynę i wysadzę was na brzeg w pobliżu jakiegoś zingarańskiego portu albo wysadzę Zarono gdzieś opodal

miejsca spotkań bukanierów; jeśli tego zechce, bo w Zingarze z pewnością czeka na niego

szubienica. Ponadto odstąpię każdemu z was znaczny udział w skarbie.

Bukanier w zadumie tarmosił wąsy. Wiedział, że Strombanni nigdy nie respektowałby

takiego paktu.

Zarono wcale nie brał pod uwagę jego propozycji. Jednak otwarta odmowa oznaczałaby

zbrojne starcie. Przebiegły Zingarańczyk szukał sposobu przechytrzenia pirata. Równie silnie jak zaginionego skarbu pragnął statku Strombanniego.

— A co nas powstrzyma od uwięzienia cię i zmuszenia twoich ludzi, aby w zamian za

ciebie oddali nam twój statek? — zapytał.

Strombanni roześmiał się.

— Uważacie mnie za głupca? Nakazałem moim ludziom, aby podnieśli kotwicę i

odpłynęli, jeśli nie wrócę za godzinę albo jeśli będą podejrzewać zdradę. Nie oddadzą wam

statku, nawet gdybyście obdarli mnie żywcem ze skóry. Ponadto mam słowo hrabiego.

— Nie łamię danego słowa — rzekł ponuro Valenso. — Daj spokój groźbom, Zarono.

Zarono nie odpowiedział. Jego myśl zaprzętał problem, w jaki sposób wejść w posiadanie

statku Strombanniego i jak kontynuować rozmowę, nie wyjawiając, że nie posiada mapy.

Zastanawiał się, kto, na Mitrę, naprawdę ma tę mapę.

— Pozwól mi zabrać na pokład moich ludzi — rzekł. — Nie mogę opuścić mojej wiernej załogi...

Strombanni prychnął wzgardliwie.

— Czemu nie zażadasz mojego pugiuału, żeby mi nim poderznąć gardło? Opuścić twoją wierną ...phi! Zostawiłbyś swego brata w piekle, gdybyś coś przez to zyskał. Nie! Nie zabierzesz na pokład tylu ludzi, żeby mieć szansę wzniecenia buntu i przejęcia mojego statku.

— Daj nam dzień lub dwa na przemyślenie tej propozycji — nalegał Zaron, usiłując zyskać na czasie.

Strombanni rąbnął ciężką pięścią w stół, aż wino wytrysnęło z pucharów.

— Nie, na Mitrę! Dajcie mi odpowiedź teraz!

Zaron zerwał się na równe nogi, a szewska pasja wzięła w nim górę nad sprytem.

— Ty barachański psie! Dam ci odpowiedź — prosto w bebechy...!

Zerwał z ramion płaszcz i chwycił za rękojeść miecza. Strombanni podniósł się z rykiem, wywracając krzesło. Valenso skoczył ku nim, rozkładając ręce, gdy mierzyli się groźnym spojrzeniem z zaciśniętymi zębami, twarzami wykrzywionymi grymasem wściekłości i z mieczami na wpół wydobytymi z pochew.

— Przestańcie! Zaron, obiecałem mu...

— Niech demony zeżrą twoją obietnicę! — warknął bukanier.

— Odejdź, panie — burknął pirat głosem zdradzającym żądzę mordy. — Dałeś słowo, że nie zostanę podstępnie zamordowany. Nie będzie pogwałceniem danej przez ciebie obietnicy, jeśli ja i ten pies skrzyżujemy ostrza w równym pojedynku.

— Dobrze powiedziane, Strom! — rzekł głęboki, donośny głos, przepojony ponurą uciechą. Wszyscy odwrócili się gwałtownie, wytrzeszczając oczy i otwierając usta. Siedząca na schodach Belesa podskoczyła z mimowolnym okrzykiem.

Jakiś człowiek wyszedł zza kotary zasłaniającej wejście do sąsiedniej komnaty i bez śladu

wahania czy pośpiechu podszedł do stołu. Zdawało się, że natychmiast zdołał zapanować nad zebranymi, którzy poczuli, że sytuacja uległa nieoczekiwanej zmianie.

Nieznajomy był wyższy i potężniej zbudowany od obu piratów, a jednak mimo swego wzrostu i wagi poruszał się z kocią zwinnością. Na nogach miał wysokie buty o wywiniętych cholewach i obcisłe bryczesy z białego jedwabiu. Rozpięty pod szyją, błękitny płaszcz o szerokich połach ukazywał białą jedwabną koszulę i szkarłatną szarfę opasującą go w talii. Płaszcz ozdabiały srebrne guziki w kształcie żółędzi, pozłacane mankiety i wyłogi oraz aksamitny kołnierz. Niemodnego od blisko stu lat stroju dopełniał lakierowany kapelusz. U boku przybysza wisiał ciężki kord.

— Conan! — wykrzyknęli obaj piraci, a słysząc to imię Valenso i Galbro wstrzymali oddech.

— A któż by inny?

Olbrzym podszedł do stołu, śmiejąc się szyderczo z ich zdziwienia.

— Co... Co ty tu robisz? — wyjąkał seneszał. — Jak się tu dostałeś, nie proszony i nie zapowiedziany?

— Wspiąłem się na palisadę od wschodniej strony, wtedy gdy wy, głupcy, spieraliście się przy bramie — odparł Conan po zingarańsku z barbarzyńskim akcentem. — Wszyscy w forcie wyciągali szyje na zachód. Dostałem się do dworu, kiedy Strombanni przechodził przez bramę. Od tej pory siedziałem w pokoju obok, słuchając waszej rozmowy.

— Sądziłem, że nie żyjesz — rzekł powoli Zaron. — Przed trzema laty zauważono na przybrzeżnych rafach roztrzaskany kadłub twojego statku i od tej pory nikt już o tobie nie słyszał.

— Nie poszedłem na dno razem z moją załogą — odpowiedział Conan. — Trzeba większego oceanu niż ten, żeby mnie utopić. Dopłynąłem do brzegu i próbowałem trochę żołnierki w czarnych królestwach, potem służyłem w armii króla Akwilonii. Można powiedzieć, że zdobyłem pewną pozycję — uśmiechnął się wilczym uśmiechem. —

Przynajmniej do chwili, gdy pokłóciłem się z tym osłem, Numedidesem. A teraz do rzeczy, bracia złodzieje.

Na schodach podekscytowana Tina ścisnęła Belesę i szeroko otwartymi oczami chłonęła tę scenę zza balustrady.

— Conan! Pani, to Conan! Spójrz! Och, spójrz!

Belesa spoglądała na niego jak na żywą legendę. Któż spośród mieszkańców wybrzeży nie słyszał okropnych, krwawych opowieści o Conanie, straszliwym rozbójniku, niegdyś kapitanie barachańskich piratów i jednym z naj słynniejszych morskich zbójów? Tuzin ballad opiewał jego gwałtowne, zuchwałe czyny. Tego człowieka nie sposób było lekceważyć; niespodziewanie wkroczył na scenę, tworząc nowy, niezwykle ważny wątek zagmatwanej fabuły. Przestraszona i zafascynowana Belesa w typowo kobiecy sposób zastanawiała się, jaki będzie jego stosunek do niej. Czy będzie to brutalna obojętność Strombanniego, czy gwałtowne pożądanie Zarono?

Valenso dochodził do siebie po szoku, jakim był widok obcego w jego dworze. Wiedział, że Conan jest Cymeryjczykiem, urodzonym i wychowanym na pustkowiach dalekiej północy, a zatem jego fizycznych możliwości nie można mierzyć miarą cywilizowanych ludzi.

Hrabiego nie dziwił fakt, iż tamten zdołał niepostrzeżenie wtargnąć do fortu, ale drżał na myśl o tym, że ten wyczyn mogą powtórzyć inni barbarzyńcy — na przykład ciemnoskórzy, milczący Piktowie.

— Co tu robisz? — zapytał. — Czy przybyłeś morzem?

— Przyszedłem z lasu — odparł Cymeryjczyk, ruchem głowy wskazując na wschód.

— Żyłeś wśród Piktów? — zapytał zimno Valenso. W oczach olbrzyma błysnął gniew.

— Nawet Zingarańczyk powinien wiedzieć, że między Piktami a Cymeryjczykami nigdy nie było i nie będzie pokoju — odparł. — Nasza waśń jest starsza niż ten świat. Gdybyś powiedział to jednemu z moich dzikich braci, rozłupałby ci czaszkę. Jednak ja żyłem

dostatecznie długo wśród was, cywilizowanych ludzi, żeby zrozumieć waszą ignorancję i brak zwykłej uprzejmości; grubiaństwo każące pytać o cel przybycia człowieka, który zjawia się u waszych drzwi, przeszedłszy tysiąc mil głuszy. Nie szkodzi.

Zwrócił się do dwóch piratów, którzy stali, patrząc na niego w ponurym milczeniu.

— Z tego, co podsłuchałem — rzekł — wynika, że spieracie się tu o mapę.

— To nie twoja sprawa — burknął Strombanni.

— Czy to ta? — Conan uśmiechnął się złośliwie i wyjął z kieszeni kawałek pogniecionego pergaminu, pokrytego szkarłatnymi liniami.

Strombanni podskoczył poblądły.

— Moja mapa! — wykrzyknął. — Skąd ją masz?

— Zabrałem ją twojemu zastępcy, Galakusowi, kiedy go zabiłem — odparł Conan z ponurą uciechą.

— Ty psie! — Strombanni wrzasnął na Zarono. — Nie miałeś mapy! Okłamałeś...

— Wcale nie mówiłem, że ją mam — warknął Zarono. — Sam siebie oszukałeś. Nie bądź głupcem. Conan jest sam; gdyby miał tu swoich ludzi, już poderżnęliby nam gardła.

Odbierzemy mu mapę...

— Nawet jej nie dotkniecie! — zaśmiał się dziko barbarzyńca.

Obaj piraci skoczyli na niego, klnąc wściekle. Zrobił krok w tył, zmiął pergamin w kulę i cisnął go w rozzarzone węgle na kominku. Strombanni z nieartykułowanym rykiem rzucił się w tę stronę, ale otrzymał potężny cios w ucho, który rozciągnął go półprzytomnego na podłodze. Zarono wyrwał swój miecz, lecz nim zdołał złożyć się do pchnięcia, kord Conana wytrącił mu broń z ręki.

Zarono zatoczył się i wpadł na stół, tocząc dokoła nienawistnym spojrzeniem. Strombanni podniósł się z trudem; miał szklisty wzrok, a krew kapąca mu z rozbitego ucha. Conan lekko pochylił się nad stołem i końcem korda lekko dotknął piersi hrabiego Valenso.

— Nie wołaj swoich żołnierzy, hrabio — rzekł łagodnie. — Trzymaj język za zębami... I

ty też, psi pysku! — rzucił do Galbro, który nie zdradzał ochoty, by narazić się na jego gniew.

— Mapa spłonęła i nie ma już sensu przelewać krwi. Siadajcie, wszyscy.

Strombanni zawahał się, niezdecydowanie sięgnął ku rękojeści, po czym wzruszył ramionami i w ponurym milczeniu opadł na fotel. Pozostali poszli za jego przykładem. Conan nadal stał, górując nad wrogami, którzy spoglądali na niego z nienawiścią.

— Targowaliście się — rzekł. — Ja również przyszedłem w tym celu.

— A co możesz nam zaproponować? — prychnął Zaron.

— Tylko skarb Tranikosa.

— Co?

Wszyscy czterej zerwali się na równe nogi z wytrzeszczonymi oczami.

— Siadać! — ryknął Cymeryjczyk, waląc płazem korda w blat stołu.

Usiedli z powrotem, spięci i pobladli ze wzburzenia. Conan wyszczerzył zęby ubawiony efektem swoich słów i ciągnął:

— Tak! Znalazłem skarb, zanim zdobyłem mapę. Właśnie dlatego ją spaliłem. Nie potrzebuję jej, a nie odnajdziecie skarbu, jeśli ja was do niego nie zaprowadzę.

Patrzyli na niego z żądzą mordy w oczach.

— Kłamiesz — rzekł Zaron bez przekonania. — Już raz skłamałeś. Mówiłeś, że przyszedłeś z lasów, a także, iż nie żyłeś wśród Piktów. Każdy wie, że ta kraina to zupełnie pustkowie, zamieszkałe jedynie przez dzikusów. Najbliższe przyczółki cywilizacji to akwilońskie osady nad Rzeką Gromu, setki mil na wschód.

— Stamtąd właśnie przybywam — odparł nieporuszony Conan. — Sądzę, iż jestem pierwszym białym człowiekiem, który przebył Puszczę Piktyjską. Kiedy uciekłem z Akwilonii do krainy Piktów, natknąłem się na ich oddział i zabiłem jednego, ale w trakcie utarczki zostałem ogłuszony kamieniem wyrzuconym z procy. Wzięli mnie żywcem; należeli do klanu Wilka i wymienili mnie z Orłami na swojego wodza, którego tamci trzymali w

niewoli. Orły zaniósły mnie prawie sto mil na zachód, aby spalić mnie w swojej największej wiosce, jednak pewnej nocy zabiłem ich wodza oraz trzech innych wojowników i uciekłem.

Nie mogłem wrócić, ponieważ odcięli mi drogę i przez cały czas spychali na zachód. Kilka dni temu udało mi się ich zgubić i — na Croma! — miejsce, gdzie znalazłem schronienie,

okazało się skarbcem starego Tranikosa! Znalazłem go; kufry pełne strojów i oręża —

właśnie stamtąd wzięłem ten ubiór i kord — stopy monet, drogich kamieni i złotych ozdób, a pośród tego wszystkiego klejnoty Tothmekriego lśniące jak światło gwiazd! Stary Tranikos i jego jedenastu kapitanów siedzą tam wokół hebanowego stołu i spoglądają na łupy — już od

stu lat!

— Co takiego?

— Właśnie! — roześmiał się Conan. — Tranikos został wśród swych skarbów, a pozostali

umarli razem z nim! Ich ciała nie rozłożyły się i nie wyschły. Siedzą tam w swych wysokich butach, długich płaszczach i lakierowanych kapeluszach, trzymając w dłoniach szklance, jak przed stu laty!

— To niesamowite! — mruknął niespokojnie Strombanni, zaś Zarono parsknął:

— I co z tego? Chcemy zdobyć ten skarb. Mów dalej, Conanie.

Conan usiadł za stołem, napełnił sobie puchar, osuszył go, po czym znów zaczął mówić:

— Na Croma, to pierwszy puchar wina, jaki wypilem od opuszczenia Akwilonii! Te

przeklęte Orły tak deptały mi po piętach, że ledwie miałem czas na zbieranie w lesie jakichś orzechów i korzonków. Czasem udało mi się złapać żabę, którą zjadałem na surowo,

ponieważ ogień mógłby mnie zdradzić.

Zniecierpliwieni słuchacze poinformowali go nieuprzejmie, że nie interesują ich szczegóły jego jadłospisu w dniach poprzedzających znalezienie skarbu.

Conan uśmiechnął się zuchwale i na nowo podjął opowieść.

— Tak więc kiedy natrafiłem na kryjówkę, odpocząłem tam przez kilka dni, zastawiając

sidła na króliki i pozwalając zagoić się moim ranom. Zauważyłem dym unoszący się na

zachodzie, ale myślałem, że to jakaś przybrzeżna wioska Piktów. Znajdowała się blisko, ale skarb ukryto w miejscu omijanym przez nich. Jeśli nawet mnie szpiegowali, to żaden się nie pokazał. Zeszłej nocy ruszyłem na zachód, zamierzając dotrzeć na brzeg kilka mil na północ od miejsca, gdzie

widziałem dym. Byłem blisko morza, kiedy nadciągnął sztorm. Schowałem się za osłoną skał i czekałem, aż burza przejdzie. Potem wdrapałem się na drzewo, żeby rozejrzeć się za Piktami, i zobaczyłem karakę Stroma stojącą na kotwicy oraz jego ludzi schodzących na ląd. Szedłem w kierunku obozowiska na plaży, kiedy spotkałem Galakusa. Ponieważ od dawna mieliśmy ze sobą porachunki, przebiłem go mieczem.

— Co on ci zrobił? — spytał Strombanni.

— Och, kilka lat temu ukradł mi dziewczkę. Nawet nie wiedziałbym, że miał mapę, gdyby nie próbował jej zjeść przed śmiercią. Domyśliłem się, co to jest, i zastanawiałem się, jak to wykorzystać, gdy wy, psy, nadeszliście i znaleźliście ciało. Leżałem w chaszczach tuzin jardów dalej, kiedy spierałeś się ze swoją załogą. Uznałem, że to nieodpowiednia chwila, aby się pokazać! — Roześmiał się, widząc wściekłość i żal za straconą okazję malujące się na twarzy Strombanniego. — No cóż, leżąc i słuchając waszej rozmowy, zorientowałem się w sytuacji i dowiedziałem się, że Zaroni i Valenso są kilka mil dalej na południe. Tak więc gdy usłyszałem, jak mówisz, że to Zaroni musiał zabić Galakusa i zabrać mapę, co oznacza, iż musisz pójść i paktować z nim, czekając na sposobność, żeby go zamordować i odzyskać mapę...

— Ty psie! — warknął Zaroni.

Blady jak płótno Strombanni zaśmiał się ponuro.

— Czy myślisz, że grałbym uczciwie z takim podstępny kundlem jak ty? Mów dalej, Conanie.

Cymeryjczyk wyszczerzył zęby. Nie ulegało wątpliwości, że celowo podsycił nienawiść między tymi dwoma.

— Niewiele pozostało do opowiedzenia. Poszedłem przez las, podczas gdy wy pozęglowaliście wzdłuż brzegu, i dotarłem do fortu przed wami. Dobrze odgadłeś, że sztorm musiał rozbić statek Zaroni — bo przecież dobrze znałeś położenie tej zatoki. No cóż, oto cała opowieść. Ja mam skarb, Strom ma statek, Valenso ma zapasy. Na Croma, Zaroni, nie

widzę dla ciebie miejsca w tym planie, ale włączę cię także, żeby uniknąć spieć. Moja

propozycja jest prosta. Podzielimy skarb na cztery części. Strom i ja odpłyniemy z naszymi łupami na pokładzie „Czerwonej Ręki”. Ty i Valenso weźmiecie swoje i pozostaniecie

panami tego pustkowia albo zbudujecie sobie statek, jeśli zechcecie.

Valenso potrząsnął głową, a Zarono zaklął, podczas gdy Strombanni uśmiechał się w milczeniu.

— Chyba nie jesteś taki głupi, żeby samemu wchodzić na pokład statku Strombanniego?

— burknął Zarono. — Poderżnie ci gardło, zanim stracicie z oczu ląd!

Conan roześmiał się szczerze.

— To jak w tej zagadce z wilkiem, owcą i główką kapusty — przyznał. — Jak przewieźć je przez rzekę tak, żeby owca i kapusta nie zostały pożarte!

— To przemawia do twego cymeryjskiego poczucia humoru — skarżył się Zarono.

— Nie zostanę tu! — krzyknął Valenso z błyskiem szaleństwa w czarnych oczach. —

Skarb czy nie skarb, muszę się stąd wydostać!

Conan zerknął nań z ukosa, zastanawiając się.

— No dobrze — rzekł w końcu. — A co powiecie o takim rozwiązaniu. Podzielimy łup tak, jak mówiłem. Potem Strombanni odpłynię z Zarono, Valenso i tyloma ludźmi hrabiego, ilu ten zabierze, pozostawiając mi dowodzenie fortem, pozostałymi ludźmi hrabiego oraz bukanierami Zarono. Ja sam zbuduję sobie statek.

Zarono wyglądał tak, jakby zrobiło mu się niedobrze.

— Mam do wyboru: albo pozostać tu na wygnaniu, albo porzucić moją załogę i samemu wsiąść na pokład „Czerwonej Ręki”, gdzie poderżną mi gardło.

Serdeczny śmiech Conana odbił się echem w sali. Barbarzyńca jowialnie poklepał po plecach bukaniera, ignorując morderczy błysk w jego oczach.

— Tak jest, Zarono! — rzekł. — Zostaniesz tu, podczas gdy ja odpłynę ze Strombannim,

albo popłyniesz z nim, zostawiając mi swoich ludzi.

— Wolałbym zabrać Zarono — szczerze stwierdził Strombanni. — Ty zbuntowałeś moich ludzi przeciwko mnie i poderżnąłbyś mi gardło, zanim dotarlibyśmy do Wysp Barachańskich.

Pot ściekał z pobladłej twarzy Zarono.

— Ani ja, ani hrabia czy jego bratanica nigdy nie dotrzemy żywi do lądu, jeśli popłyniemy z tym diabłem — powiedział. — Teraz mam was obu w mojej mocy. Moi ludzie otoczyli dwór. Co może mnie powstrzymać przed zabiciem was?

— Nic — odparł spokojnie Conan. — Oprócz faktu, że jeśli to zrobisz, załoga Strombanniego odpłynie i zostawi was tutaj, a Piktowie w końcu pozabiją wszystkich; że jeśli ja umrę, nigdy nie znajdziesz skarbu; i w końcu, że jeśli spróbujesz zawołać swoich ludzi, rozłupię ci czaszkę na dwoje.

Conan mówił to z uśmiechem, jakby bawiąc się sytuacją, lecz nawet Belesa czuła, że nie żartował. Obnażony kord trzymał na kolanach, podczas gdy miecz Zarono leżał pod stołem, poza zasięgiem rąk bukaniera. Galbro nie był wojownikiem, a Valenso zdawał się niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

— Racja! — rzekł Strombanni, dodając jeszcze przekleństwo. — My dwaj nie sprzedalibyśmy tanio swej skóry. Zgadzam się na propozycję Conana. A co ty na to, Valenso?

— Muszę stąd odpłynąć! — szepnął hrabia, spoglądając wokół pustym wzrokiem. — Jak najszybciej... Muszę odpłynąć, daleko... i szybko!

Strombanni zmarszczył brwi zdumiony dziwnym zachowaniem gospodarza i ze złośliwym uśmiechem zwrócił się do Zarono.

— A co ty na to, Zarono?

— A co mogę powiedzieć? — prychnął Zingarańczyk. — Pozwólcie mi zabrać moich

trzech oficerów i czterdziestu ludzi na pokład „Czerwonej Ręki” i interes ubity.

— Oficerów i trzydziestu ludzi!

— Dobrze.

— Zgoda!

Nie było uścisków dłoni ani toastów dla przypieczętowania zawartej umowy. Dwaj kapitanowie spoglądali na siebie jak wygłodniałe wilki. Hrabia targał węża drżącą dłonią, pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Conan przeciągał się jak wielki kot, pił wino i uśmiechał się do zebranych, lecz był to złowrogi uśmiech przyczajonego tygrysa.

Belesa wyczuwała mordercze intencje i zdradę kryjące się w duszy każdego z nich. Żaden — może oprócz Valenso — nie miał zamiaru dotrzymać umowy. Każdy z bukanierów zamierzał zdobyć nie tylko cały skarb, ale i statek. Żaden nie zadowolił się mniejszym łupem. Tylko jak? Jakie plany knuli przeciw pozostałym? Belesa była przygnieciona i przygnębiona panującą w sali atmosferą nienawiści i zdrady. Cymeryjczyk, mimo swej otwartości dzikusa, nie był wcale mniej bystry od pozostałych — a znacznie bardziej niepohamowany. Choć jego ogromne bary i potężne ramiona wydawały się zbyt duże nawet w tej wielkiej komnacie, przewyższał pozostałych nie tylko fizyczną siłą. Jego nieposkromiona witalność przyćmiła wigor pozostałych piratów.

— Prowadź nas do skarbu! — domagał się Zaronno.

— Zaczekaj chwilę — odparł Conan. — Musimy wyrównać nasze siły, tak by żaden nie mógł zdobyć przewagi nad pozostałymi. Zrobimy to tak: załoga Stroma zejdzie na brzeg, wszyscy oprócz pół tuzina wachty, i rozbije obóz na plaży. Ludzie Zaronno wyjdą z fortu i też postawią namioty na brzegu, tak aby mieć się na oku. Oba oddziały będą się obserwować oraz pilnować, czy kiedy wyruszymy po skarb, nikt nie skrada się za nami i nie próbuje zastawić na nas zasadki. Ci, którzy zostaną na pokładzie „Czerwonej Ręki”, wyprowadzą statek z zatoki, aby był nieosiągalny dla obu oddziałów. Ludzie Valenso pozostaną w forcie, ale zostawią bramę otwartą. Pójdiesz z nami, hrabio?

— Iść do lasu? — Valenso zadrżał i owinął się płaszczem. — Nawet za całe złoto

Tranikosa!

— W porządku. Potrzeba około trzydziestu ludzi do przeniesienia skarbu. Weźmiemy po piętnastu z każdej załogi i wyruszymy jak najszybciej.

Belesa, czujnie chłonna każdy szczegół rozgrywającego się w dole dramatu, zauważyła, jak Zarono i Strombanni obrzucają się ukradkowymi spojrzeniami, po czym szybko odwracają wzrok i chwytają za kielichy, aby ukryć wyzierające z oczu mroczne zamiary.

Dostrzegła zgubną słabość planu Conana i zastanawiała się, jak mógł on tego nie zauważyć.

Może był zbyt zadufany w swoje męstwo. Jednak wiedziała, że barbarzyńca nigdy nie wyjdzie żywy z wyprawy w głąb puszczy. Kiedy tylko skarb znajdzie się w ich rękach, obaj

zboje zawrą przymierze, mające trwać tylko do chwili, gdy pozbędą się człowieka, którego

obaj nienawidzą. Wzdrygnęła się, spoglądając ponuro na człowieka, który — jak wiedziała —

był już zgubiony. Dziwnie było patrzeć na tego potężnego wojownika — siedzącego tam,

śmiejącego się i pijącego wino — ze świadomością, że został już skazany na okropną śmierć.

Cała sytuacja była brzemienne w okropne i krwawe wydarzenia. Zarono, jeśli tylko zdoła,

oszuka i zabije Strombanniego, a Belesa wiedziała, że i Strombanni zamierza zabić

Zingarańczyka, tak samo jak jej wujka i ją. Jeśli Zarono wygra tę walkę okrutnych intelektów, ich życie będzie bezpieczne. Jednak, spoglądając na siedzącego tam i gryzącego wąsa

bukaniera, na wypisane na twarzy całe zło kryjące się w jego duszy, dziewczyna nie

wiedziała, co gorsze — śmierć czy Zarono.

— Jak daleko musimy iść? — spytał Strombanni.

— Jeśli wyruszymy za godzinę, powinniśmy wrócić przed północą — odparł Conan.

Opróżnił kielich, wstał, poprawił pas i zerknął na hrabiego.

— Valenso — powiedział. — Czy zwariowałeś, żeby zabijać Pikta w barwach myśliwego?

Valenso drgnął.

— Co masz na myśli?

— Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, iż twoi ludzie zabili zeszłej nocy piktyjskiego myśliwego?

Hrabia potrząsnął głową.

— Żaden z moich ludzi nie wychodził zeszłej nocy do lasu.

— No cóż, ktoś tam jednak był — mruknął Cymeryjczyk, szperając w kieszeni. —

Znalazłem jego głowę przybitą do pnia na skraju lasu. Nie miał na sobie barw wojennych. Nie znalazłem żadnych śladów butów, z czego wywnioskowałem, że przybito ją przed burzą.

Jednak znalazłem tam inne tropy — odciski mokasynów na mokrej ziemi. Piktowie byli tam i widzieli tę głowę. Musieli należeć do innego klanu, inaczej zabraliby ją ze sobą. Jeśli między nimi a klanem, do którego należał zabity, panuje pokój, pójdą do jego wioski i przekażą wiadomość jego plemieniu.

— Może to oni go zabili — sugerował Yalenso.

— Nie. Jednak wiedzą, kto to zrobił, z tego samego powodu, dla którego ja wiem. Na przeciętej szyi był zaciśnięty ten łańcuch. Chyba zupełnie zwariowałeś, żeby tak znaczyć swoje dzieło.

Cymeryjczyk wyjął coś i rzucił na stół przed hrabią, który się zerwał, krztusząc się i podnosząc dłonie do gardła. Na blacie leżał złoty łańcuch z pieczęcią, który hrabia zwykle nosił na szyi.

— Poznałem pieczęć Korzettów — powiedział Conan. — Ten łańcuch powie każdemu Piktowi, że to dzieło obcych.

Valenso nie odpowiedział. Spoglądał na łańcuch jak na jadowitą zmiję.

Conan zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na pozostałych. Zarono szybkim gestem pokazał, że hrabia nie jest zupełnie zdrowy na umyśle. Conan wepchnął kord do pochwy i założył lakierowany kapelusz.

— No dobrze, chodźmy — rzucił.

Kapitanowie dopili wina i wstali, okręcając pasy. Zarono położył dłoń na ramieniu

Valenso i potrząsnął nim lekko. Hrabia drgnął i spojrzał nieprzytomnie, po czym jak człowiek pogrążony w transie poszedł za tamtymi z łańcuchem w bezwładnie opuszczonej ręce. Jednak nie wszyscy opuścili salę.

Belesa i Tina, o których zupełnie zapomniano, zobaczyły zza balustrady, że Galbro zostaje z tyłu, czekając, aż ciężkie drzwi zamkną się za wychodzącymi. Wtedy skoczył do kominka i ostrożnie rozgarnął dymiące węgle. Opadł na kolana i przez długą chwilę przyglądał się czemuś. Potem wstał i pospiesznie opuścił komnatę innymi drzwiami.

Tina szepnęła:

— Co Galbro znalazł na kominku?

Belesa potrząsnęła głową; potem, wiedzona niezaspokojoną ciekawością, wstała i zeszła do pustej sali. W chwilę później uklękła w tym samym miejscu, w którym klęczał seneszał, i zobaczyła to samo co on.

Były to zwęglone resztki mapy ciśniętej przez Conana w ogień. Pergamin rozpadłby się przy najlżejszym dotknięciu, lecz nadal były na nim widoczne niewyraźne linie i fragmenty słów. Belesa nie potrafiła odcyfrować pisma, lecz zdołała dostrzec zarysy czegoś, co zdawało się rysunkiem wielkiej skały czy głazu, otoczonego znakami oznaczającymi gęsty las. Jej nic to nie mówiło, lecz wnioskując z zachowania Galbra, musiał on rozpoznać to miejsce po jakiś znanych sobie szczegółach topograficznych. Belesa wiedziała, że seneszał spenetrował okoliczne lasy głębiej niż którykolwiek z mieszkających w forcie mężczyzn.

6

ŁUP NIEBOSZCZYKA

Forteca stała dziwnie cicha w skwarze południa, zacierającym wspomnienie porannej burzy. Głosy ludzi za palisadą wydawały się stłumione i ospałe. Taka sama cisza panowała na plaży, gdzie rywalizujące zbrojne załogi obserwowały się podejrzliwie, oddzielone kilkusetmetrową połacią pustego piasku. Daleko od brzegu „Czerwona Ręka” stała na kotwicy z garstką ludzi na pokładzie, gotowa odpłynąć w każdej chwili przy najlżejszym

podejrzeniu zdrady. Karaka była atutową kartą Strombanniego, jego zabezpieczeniem przed podstępami współników.

Belesa zeszła po schodach i przystanęła, widząc hrabiego Valenso siedzącego przy stole i obracającego w dłoniach zerwany łańcuch. Spojrzenie, jakim go obrzuciła, było pozbawione miłości, a pełne wyraźnego lęku. Zmiana, jaka w nim zaszła, napełniała ją odrazą; zdawał się pogrążony we własnym ponurym świecie i ogarnięty strachem pozbawiającym go wszelkich ludzkich cech.

Conan wymyślił sprytny plan, który uniemożliwiał obu oddziałom zastawienie zasadzki w puszczy. Jednak Belesa była przekonana, iż wcale nie zabezpieczył się przed zdradą ze strony swoich kompanów. Zniknął w puszczy, prowadząc obu kapitanów oraz ich trzydziestu ludzi, i zingarańska dziewczyna była zupełnie pewna, że już nigdy nie ujrzy go żywego.

W końcu przemówiła i własny głos wydał jej się zduszony i ochryply.

— Barbarzyńca poprowadził kapitanów do lasu. Kiedy położą ręce na złocie, zabiją go.

Jednak jeśli powrócą ze złotem, co wtedy? Czy wsiądziemy na pokład statku? Czy możemy ufać Strombanniemu?

Valenso w zadumie pokręcił głową.

— Strombanni zamordowałby nas dla naszej części łupu. Jednak Zarono wyjawiał mi w sekrecie swoje zamiary. Nie wejdziemy na pokład „Czerwonej Ręki”, chyba że jako dowódcy statku. Zarono dopilnuje, żeby zmrok zaskoczył tych, którzy wyruszyli po skarb, tak aby musieli nocować w puszczy. Znajdzie sposób, żeby zabić Strombanniego i jego ludzi, kiedy będą pogrążeni we śnie. Wtedy bukanierzy po cichu zakradną się na plażę. Tuż przed świtem wyślę kilku moich rybaków, żeby podpłynęli do statku i przejęli go. Strombanniemu nie przyszło to do głowy, tak samo jak Conanowi. Zarono oraz jego ludzie wypadną z lasu i razem z bukanierami biwakującymi na plaży zaatakują po ciemku piratów, podczas gdy ja wyprowadzę moich żołnierzy z fortu i powiększę zamieszanie. Mniej liczni, pozbawieni

kapitana piraci ulegną demoralizacji i staną się łatwym łupem dla Zarono oraz dla mnie.

Potem odpłyniemy statkiem Strombanniego razem z całym skarbem.

— A co ze mną? — spytała suchymi wargami.

— Obiecałem cię Zarono — odparł szorstko. — Gdyby nie ta obietnica, nie wziąłby nas na pokład.

— Nigdy go nie poślubię — powiedziała bezradnie.

— Poślubisz — stwierdził ponuro Valenso bez cienia współczucia w głosie. Podniósł łańcuch tak, że ogniwa zabłysły we wpadających przez okno promieniach słońca. — Pewnie zgubiłem go na plaży — mruknął. — On był tak blisko — na brzegu...

— Nie zgubiłeś go na plaży — rzekła Belesa głosem równie bezlitosnym jak on; jej serce zdawało się obracać w kamień. — Zeszłej nocy przypadkiem zdarłeś go ze swej szyi w tej komnacie, gdzie chłostałeś Tinę. Zanim wyszłam z sali, zobaczyłam, jak błyszczy na podłodze.

Spojrzał na nią z twarzą poszarzałą ze strachu; zaśmiała się złośliwie, widząc nie wypowiedziane pytanie w załzawionych oczach.

— Tak! To był czarny człowiek! Był tutaj! W tej sali! Musiał znaleźć łańcuch na podłodze. Straże nie zauważyły go, lecz on stał zeszłej nocy pod twymi drzwiami. Widziałam, jak skradał się korytarzem.

Przez chwilę myślała, że hrabia padnie trupem z przerażenia. Wbił się w fotel, a łańcuch wysunął mu się ze zdrtwiałych dłoni i ze szczękiem upadł na stół.

— W samym dworze! — wyszeptał. — Myślałem, że zatrzymają go rygle, kraty i strażnicy

— byłem głupcem! Nie mogę się przed nim ustrzec ani nie mogę uciec! Pod moimi drzwiami!

Pod drzwiami!

Ta myśl napełniała go potwornym lękiem.

— Dlaczego nie wszedł! — wrzasnął, szarpiąc koronkę pod szyją, jakby go dusiła. —

Czemu z tym nie skończył? W koszmarnych snach budziłem się w ciemnej komnacie i widziałem go siedzącego nade mną z łbem otoczonym piekielnym, błękitnym blaskiem!

Dlaczego...

Paroksyzm minął, zostawiając go słabym i drżącym.

— Rozumiem! — wydyszał. — Bawi się ze mną jak kot z myszą. Zabicie mnie w nocy w mojej komnacie byłoby zbyt proste, zbyt miłosierne. Tak więc zniszczył statek, którym mógłbym mu uciec, uśmiercił tego nieszczęsnego Pikta i założył mu mój łańcuch, tak aby dzicy myśleli, że to ja go zabiłem. Wiele razy widzieli ten łańcuch na mojej szyi. Tylko po co? Jaki diabelski podstęp, jaki chytry plan, niepojęty dla ludzkiego umysłu, wymyślił ten demon?

— Kim jest ten czarny człowiek? — spytała Belesa, czując zimny dreszcz przebiegający po krzyżu.

— To demon zrodzony z mojej chciwości i pożądania, który będzie mnie dręczył do końca życia! — szepnął hrabia.

Rozcapierzył na stole długie, chude palce i patrzył na nią pustymi, dziwnie jarzącymi się oczami, które wydawały się wcale nie widzieć bratanicy, lecz spoglądały gdzieś poza nią w jakieś mroczne przestrzenie.

— Za młodu miałem na dworze wroga — powiedział Valenso, jakby do siebie. —

Potężnego człowieka, który stał na drodze moich ambicji. Żądny bogactwa i władzy, zwróciłem się o pomoc do ludzi zajmujących się czarną magią — do czarownika, który na moje życzenie wezwał potwora z innego świata. Ten stwór zgniótł i zabił mojego wroga;

stałem się tak sławny i bogaty, że nikt nie mógł się ze mną równać. Jednak chciałem oszukać czarownika przy zapłacie, jaką musi uiścić każdy śmiertelnik, który wzywa

czarnoksiężników, aby spełnili jego życzenia. To był Thoth–Amon, członek Kręgu, wygnany

ze swej ojczystej Stygii. Umknął stamtąd za panowania króla Mentupherra, a kiedy ten umarł i na alabastrowym tronie Luxuru zasiadł Ctesphon, Thoth–Amon, chociaż mógł wrócić do domu, pozostał w Kordawie i molestował mnie o zwrot długu. Jednak zamiast zapłacić mi większością moich dóbr doczesnych, jak obiecałem, zdradziłem go przed moim monarchą, tak że Thoth–Amon chcąc nie chcąc musiał ukradkiem i pospiesznie wracać do Stygii. Tam, opływając w zaszczyty i bogactwa, powiększał swą magiczną moc, aż stał się rzeczywistym władcą tej ziemi. Dwa lata temu w Kordawie dowiedziałem się, iż Thoth–Amon opuścił swą siedzibę w Stygii. A później, pewnej nocy ujrzałem jego szyderczo uśmiechniętą twarz spoglądającą na mnie z kąta zamkowej sali. To nie był on w materialnej postaci, lecz duch wysłany, aby mnie nastraszyć. Tym razem król nie mógł mnie obronić, ponieważ ze śmiercią Ferdrugo i nastaniem regencji nasz kraj podzielił się na dwa obozy. Zanim Thoth–Amon zdołał osobiście dotrzeć do Kordawy, pożeglowałem za morze. On nie jest wszechmocny; aby popłynąć za mną, musiał przybrać ludzką, cielesną postać. Jednak teraz dzięki swym nadprzyrodzonym mocom wytropił mnie nawet tutaj, w tej dziczy. On jest zbyt chytry, aby można go schwytać czy zabić jak zwykłego śmiertelnika. Kiedy się ukryje, żaden człowiek nie zdoła go odnaleźć. Skrada się w nocy jak cień, drwiąc sobie z zamków i krat. Sprowadza sen na strażników. Rozkazuje duchom nocy, zmijom z bagnisk i potworom z mroków; może wywołać burze zatapiające statki i rozbijające zamki. Miałem nadzieję, że zatrę swoje ślady na szerokim, błękitnym oceanie — lecz wytropił mnie, aby domagać się wyrównania okropnego rachunku...

W niesamowitych oczach Valenso zapalił się słaby błysk, gdy hrabia spojrzął przez ozdobione gobelinami ściany w dal.

— Jeszcze go przechytrzę — szepnął. — Niech tylko odwlecze swój atak o tę jedną noc, a świt zastanie mnie na pokładzie statku i ocean znów uchroni mnie przed jego zemstą...

— Na wszystkie ognie piekieł!

Conan stanął jak wryty, patrząc w górę. Idący za nim żeglarze zatrzymali się — stanęli z łukami w pogotowiu w dwóch zwartych grupkach, spoglądając podejrzliwie na siebie.

Podążali starą ścieżką piktyjskich myśliwych, która wiodła na wschód. Chociaż przeszli nią zaledwie trzydzieści metrów, nie widzieli już plaży.

— Co się stało? — zapytał podejrzliwie Strombanni. — Dlaczego się zatrzymałeś?

— Jesteś ślepy? Spójrz tam!

Z grubej gałęzi drzewa wiszącej nad ścieżką szczyrzyła zęby ludzka głowa; czarna, pomalowana twarz, okolona gęstymi, czarnymi włosami, w których nad lewym uchem tkwiło pióro dzioboroźca.

— Zdjąłem tę głowę i schowałem ją w zaroślach — warknął Conan, spoglądając zwężonymi oczami na otaczający ich gąszcz. — Co za dureń znów ją tam zatknął? Wygląda na to, że ktoś robi, co może, żeby skłonić Piktów do ataku na fort.

Marynarze ponuro popatrzyli po sobie; nowe podejrzenie podsyciło ogień płonący pod wrzącym już kotłem. Conan wspiął się na drzewo, zdjął głowę, zaniósł ją w krzaki, po czym cisnął do strumienia i zaczekał, aż utonie.

— Piktowie, którzy pozostawili ślady wokół drzewa, nie należeli do, klanu Dzioboroźców

— mruknął, wracając przez krzaki. — Wystarczająco długo żeglowałem wzdłuż tych

brzegów, aby dowiedzieć się czegoś o mieszkających tu plemionach. Jeśli dobrze czytam

ślady ich mokasynów, to Kormorany. Mam nadzieję, że toczą wojnę z Dzioboroźcami. Jeśli

między nimi panuje pokój, pójdą prosto do ich wioski i sprowadzą na nas kłopoty. Nie wiem, jak daleko znajduje się ta wioska, ale gdy tylko dowiedzą się o morderstwie, ruszą w las jak stado wygłodniałych wilków. To najgorsza zniewaga, jaka może spotkać Pikta — zabicie

wojownika, który nie jest na wojennej ścieżce, i zatknięcie jego głowy na drzewie na żer

sępom. Piekielnie dziwne rzeczy dzieją się na tym wybrzeżu. Jednak zawsze tak jest, kiedy

cywilizowani ludzie zapuszczają się w dzicz; oni są zupełnie stuknięci. Chodźmy.

Zagłębiwszy się w las, mężczyźni poluzowali klingi w pochwach i strzały w kołczanach.

Jako ludzie morza, przyzwyczajeni do bezmiaru szarych wód, czuli się nieswojo wśród otaczających ich ścian zielonych drzew i pnączy. Ścieżka wiła się i skręcała, tak że większość z nich szybko straciła orientację i nie wiedziała, w gdzie znajduje się plaża.

Conan niepokoił się z innego powodu. Nieustannie szukał śladów, aż w końcu rzekł:

— Ktoś przechodził tędy niedawno — nie więcej jak godzinę przed nami. Ktoś w butach, nie przyzwyczajony do lasu. Czy to ten głupiec, który znalazł głowę Pikta i zatknął ją z powrotem na drzewie? Nie, to nie mógł być on. Nie widziałem odcisków jego stóp pod drzewem. A więc kto? Nie znalazłem tam żadnych śladów oprócz tych, które były tam przedtem, należących do Piktów. Zatem kim jest człowiek, idący przed nami? Czy któryś z was, dranie, z jakiegoś powodu wysłał go przodem?

Zarówno Strombanni, jak i Zarono głośno zaprzeczyli, spoglądając po sobie z widocznym niedowierzaniem. Żaden z nich nie zdołał dostrzec tropu, który pokazywał im Conan; na pozbawionej trawy, wydeptanej ścieżce był on niewidoczny dla ich niewprawnych oczu.

Conan przyspieszył kroku, a oni podążyli za nim — nowe ognie podejrzeń podsyciły płonące ognisko nieufności. Wreszcie ścieżka skręciła na północ i Conan zszedł z niej, kierując się przez gąszcz na południowy wschód. Było już popołudnie, a spoceni mężczyźni nadal przedzierali się przez krzaki i przechodzili przez powalone drzewa. Strombanni, który na chwilę pozostał z tyłu, mruknął do Zarono:

— Myślisz, że prowadzi nas w zasadzkę?

— Możliwe — odparł bukanier. — W każdym razie bez niego nigdy nie znajdziemy powrotnej drogi.

Zarono spojrział znacząco na Strombanniego.

— Rozumiem, o co ci chodzi — odparł ten ostatni. — To może nas zmusić do zmiany planów.

Ich podejrzliwość rosła, w miarę jak zagłębiali się w puszcze; byli już bliscy paniki, gdy wyszli z gęstego lasu i tuż przed sobą ujrzeli ogromną skałę, wznoszącą się nad korony

drzew. Ledwie widoczna ścieżka, wiodąca z lasów na wschodzie, biegła wokół skupiska głazów i pięła się w górę po kamiennych półkach wiodących na występ pod szczytem.

Conan stanął; w swoim pirackim stroju wyglądał niezwykle malowniczo.

— Tym szlakiem podążałem, uciekając przed Piktami z plemienia Orłów — powiedział.

— Prowadzi do jaskini nad tą półką. W tej grocie znajdują się ciała Tranikosa i jego kapitanów oraz skarb, który zagrabili Tothmekriemu. Jednak zanim wejdziemy na górę, chcę wam coś powiedzieć: jeżeli mnie zabijecie, nigdy nie zdołacie odnaleźć powrotnej drogi na

brzeg. Wiem, że jesteście ludźmi morza; w lasach nie dacie sobie rady. Oczywiście, wybrzeże jest na zachodzie, jednak gdybyście musieli przedzierać się przez gąszcz objuczeni łupem,

zajęłoby wam to nie kilka godzin, lecz parę dni. A nie sądzę, aby te puszcze stanowiły

bezpieczne miejsce dla białego człowieka, kiedy Dzioborożce dowiedzą się, że zabito ich myśliwego.

Zaśmiał się, widząc upiorne, pozbawione radości uśmiechy, z jakimi przyjęli fakt, iż zdawał sobie sprawę z ich zamiarów. Znał także myśl, która teraz przyszła do głowy obu piratom: niech barbarzyńca doprowadzi nas do skarbu i do plaży — potem go zabijemy.

— Wszyscy oprócz Strombanniego i Zarono zostaną tutaj — rzekł Conan. — Nas trzech zupełnie wystarczy, żeby zabrać skarby z jaskini.

Strombanni zaśmiał się bez cienia wesołości.

— Mam wejść na górę razem z tobą i Zarono? Czy masz mnie za głupca? Wezmę z sobą co najmniej jednego człowieka!

Wybrał swojego bosmana, smagłego olbrzyma o surowych rysach, nagiego do pasa, ze złotymi kólkami w uszach i szkarłatną szarfę na głowie.

— A ze mną pójdzie mój kat! — warknął Zarono. Skinął na chudego pirata o twarzy przypominającej trupa czaszkę, który niósł na kościstym ramieniu oburęczny jatagan.

Conan wzruszył ramionami.

— Dobrze. Chodźcie za mną.

Deptali mu po piętach, gdy szedł krętą ścieżką i wdrapywał się na półkę. Trzymali się tuż za nim, kiedy przechodził przez wąską szczelinę i cmokali pożądliwie, gdy pokazywał im okute żelazem kufry stojące po obu stronach podobnej do korytarza jaskini.

— Niezły ładunek — rzekł niedbale. — Jedwabie, koronki, stroje, ozdoby, broń — łup z południowych mórz. Jednak prawdziwy skarb znajduje się za tymi drzwiami.

Masywne drzwi były lekko uchylone. Conan zmarszczył brwi. Pamiętał, że zamknął je, zanim opuścił jaskinię. Jednak nie wspomniał o tym kompanom, odsuwając się na bok, żeby ich przepuścić.

Spojrzeli na obszerną jaskinię, oświetloną dziwnym, błękitnym blaskiem sączącym się przez mętny, mglisty opar. Pośrodku groty stał wielki, hebanowy stół, a na rzeźbionym fotelu z wysokim oparciem i szerokim poręczami, który niegdyś mógł należeć do jakiegoś

zingarańskiego barona, siedziała olbrzymia postać — baśniowa i niesamowita. Krwawy

Tranikos z głową opuszczoną na piersi wciąż ścisnął w ręku wysadzany klejnotami puchar —

Tranikos w swoim lakierowanym kapeluszu, szamerowanym płaszczu o perłowych guzikach

lśniących w błękitnym blasku, w wysokich butach i z nabijanym złotem pendentem, na

którym w złotej pochwie wisiał miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści.

Wokół stołu siedziało jedenastu kapitanów, każdy z głową opuszczoną na okrytą

koronkami pierś. Sączący się z ogromnego klejnotu spoczywającego na małym piedestale ze

słoniowej kości niebieski blask oblewał kapitanów oraz ich olbrzymiego admirała

niesamowitą poświatą, krzesząc iskry zimnego ognia na stertach fantastycznie szlifowanych

kamieni leżących wokół fotela Tranikosa — łupie z Khemi, skarbach Tothmekriego!

Klejnotach, których wartość przewyższała cenę wszystkich drogich kamieni świata razem

wziętych!

Twarze Zarono i Strombanniego wyglądały upiornie blado w tym niebieskim blasku.

Stojący za nimi marynarze wytrzeszczali oczy ze zdumienia.

— Idźcie i bierzcie je — zapraszał Conan, odsuwając się na bok.

Zarono i Strombanni przecisnęli się obok niego, popychając się w pośpiechu. Ich obstawa następowała im na pięty. Zarono kopniakiem otworzył drzwi na oścież — i stanął z jedną nogą na progu, zobaczywszy jakąś rozciągniętą na podłodze postać, którą uprzednio zasłaniały masywne drzwi. Jakiś mężczyzna leżał bezwładnie, z głową odrzuconą w tył i twarzą wykrzywioną grymasem agonii.

— Galbro! — wykrzyknął Zarono. — Martwy! Co..? Tknięty nagłym podejrzeniem, wystawił głowę za próg. Natychmiast ją cofnął, wrzeszcząc:

— W tej jaskini czyha śmierć!

Zanim dokończył, błękitna mgiełka zawirowała i zgęstniała. W tej samej chwili Conan z całej siły popchnął czterech mężczyzn stłoczonych w progu, sprawiając, że stracili

równowagę — ale nie wpadli, jak to zaplanował, do zasnutej mgłą komnaty. Podejrzewając

pułapkę, na widok martwego Galbro i materializującego się demona zaczęli się cofać, dlatego też gwałtowne pchnięcie, chociaż zbiło ich z nóg, jednak nie dało pożądanego rezultatu.

Strombanni i Zarono upadli na progu na kolana, bosman runął na ich nogi, a kat odbił się od ściany.

Zanim Conan zdołał przeprowadzić okrutny plan polegający na wepchnięciu leżących do

komnaty i przytrzymaniu drzwi, dopóki demon nie dokończy swego ponurego dzieła, musiał

obrócić się i bronić przed wściekłym atakiem kata, który jako pierwszy odzyskał równowagę i zorientował się w sytuacji.

Bukanier wymierzył zamaszysty cios swym katowskim mieczem, który skrzesał niebieskie skry na kamiennej ścianie, ale Cymeryjczyk uchylił się przed długim ostrzem. W następnej chwili głowa kata potoczyła się po podłodze jaskini, ścięta kordem barbarzyńcy.

W ułamku sekundy, kiedy odbywała się ta błyskawiczna wymiana ciosów, bosman zerwał się z ziemi i runął na Cymeryjczyka, zasypując go gradem ciosów, które powaliłyby każdego

innego przeciwnika. Ostrze ścierało się z ostrzem z brzękiem, który w tej wąskiej przestrzeni był niemal ogłuszający.

Tymczasem obaj kapitanowie, przerażeni czymś nieznanym, co czaiło się w jaskini, wycofali się z progu tak szybko, że demon nie zdążył się w pełni zmaterializować, gdy znaleźli się poza jego zasięgiem, za magicznym kręgiem. Nim podnieśli się z ziemi i sięgnęli po swoje miecze, potwór znów rozpułynał się w niebieską mgłę.

Zajęty zażartą wymianą ciosów z bosmanem, Conan zdwoił wysiłki, aby rozprawić się z przeciwnikiem, zanim ten otrzyma pomoc. Ociekając krwią, bosman cofał się przed gwałtownym atakiem i głośno wzywał kompanów. Zanim Conan zdołał zadać decydujący cios, obaj kapitanowie rzucili się na niego z mieczami w dłoniach, krzykiem przywołując swoich ludzi.

Cymeryjczyk odskoczył i wybiegł z jaskini. Chociaż wiedział, że może ze wszystkimi trzema przeciwnikami — z których każdy był słynnym szermierzem — zmierzyć się naraz, nie chciał czekać, aż pędzące w górę załogi odetną mu drogę ucieczki.

Jednakże marynarze nie przybyli tak szybko, jak oczekiwał. Zdumiały ich wrzaski i stłumione krzyki dobywające się z głębi jaskini, lecz żaden nie kwapił się skoczyć na ścieżkę w obawie, że otrzyma cios w plecy. Obie grupy spoglądały po sobie w napięciu, ściskając broń i nie mogąc podjąć decyzji. Kiedy ujrzeli wyskakującego na półkę Cymeryjczyka, nadal wahali się. Gdy tak stali, trzymając strzały na cięciwach, barbarzyńca po wycięciach w skale szybko wspiał się na szczyt, rzucił na brzuch i zniknął im z oczu.

Kapitanowie wypadli na półkę, pieniać się i wymachując mieczami. Ich załogi, widząc, że przywódcy nie walczą ze sobą, przestały sobie wygrażać i spoglądały na nich ze zdumieniem. — Psie! — wrzeszczał Zaron. — Chciałeś złapać nas w pułapkę i zamordować! Zdrajco! Conan drwił z nich ze swej kryjówki.

— A czego oczekiwaliście? Wy dwaj zamierzaliście poderżnąć mi gardło, jeśli tylko doprowadził was do skarbu. Gdyby nie ten głupiec Galbro, pozbyłbym się całej waszej

czwórki i wyjaśnił waszym ludziom, że bezmyślnie skoczyliście w objęcia śmierci.

— A kiedy my dwaj bylibyśmy martwi, zagarnąłbyś mój statek i cały łup! — pinił się Strombanni.

— Tak! I najlepszych ludzi z obu załóg! Od miesiący zamyślałem wrócić do Main, a to była wspaniała okazja! To ślady Galbro zwidziałem na szlaku, chociaż nie wiem, jak ten dureń dowiedział się o jaskini ani jak zamierzał sam wynieść stąd skarb.

— Gdyby nie widok jego ciała, wpadlibyśmy w pułapkę — mruknął Zaron. Jego smagła twarz wciąż miała barwę popiołu.

— Co to było? — spytał Strombanni. — Jakaś trująca mgła?

— Nie, mgła wiła się jak żywa istota i przybrała jakąś okropną postać, zanim się cofnęliśmy. To jakiś demon przykuty zaklęciem do tej groty.

— No i co zamierzacie teraz zrobić? — pytał niewidoczny szyderca.

— Co zrobimy? — zapytał Zaron Strombanniego. — Nie można wejść do jaskini ze skarbem.

— Nie zdołacie zabrać skarbu — zapewnił ich barbarzyńca ze swej kryjówki. — Demon was udusi. Prawie mnie załatwił, kiedy tam wszedłem. Słuchajcie, opowiem wam historię, którą Piktowie przekazują sobie w swoich chatkach przy dogasających ogniskach! Kiedyś, dawno temu, dwunastu obcych ludzi przybyło z morza. Napadli na piktyjską wioskę i wyrznęli wszystkich mieszkańców oprócz nielicznych, którzy umknęli w porę. Potem znaleźli jaskinię, gdzie złożyli stosy złota i drogich kamieni. Jednak szaman pomordowanych Piktów — jeden z tych, którzy uciekli — odprawił czary i z piekielnych czeluści wezwał demona. Za pomocą swych magicznych umiejętności zmusił go, aby wszedł do pieczary i udusił obcych, gdy ci siedzieli za stołem, pijąc wino. Aby demon nie uwolnił się i nie naprzykrzał się później samym Piktom, szaman rzucił zaklęcie, którym zmusił go do pozostania w głębi jaskini. Tę opowieść plemiona przekazywały sobie wzajemnie i wszystkie klany omijały z daleka to

przekłete miejsce. Kiedy skryłem się w grotcie, uciekając przed wojownikami z plemienia Orłów, przekonałem się, że stara legenda mówiła prawdę i dotyczyła Tranikosa oraz jego ludzi. Skarbu Tranikosa strzeże śmierć!

— Zawołajmy tu naszych! — pieniał się Strombanni. — Wejdziemy na szczyt i usieczemy barbarzyńcę!

— Nie bądź głupi! — warknął Zaron. — Myślisz, że ktokolwiek zdoła wspiąć się na tę skałę, której on pilnuje z mieczem w ręku? Tak, zaraz zawołamy naszych, żeby naszpikowali go strzałami, jeśli ośmieli się wychylić. Jednak dostaniemy te klejnoty. On musiał mieć jakiś plan, jak je stamtąd wydobyć, inaczej nie sprowadziłby tu trzydziestu ludzi, żeby je nieśli.

Jeżeli on mógłby je zabrać, to i my możemy. Wygniemy ostrze korda, tworząc hak, przywiążemy go do liny i zaczepimy za nogę stołu, a potem przyciągniemy stół do drzwi.

— Dobry pomysł, Zaron! — dobiegł ich z góry drwiący głos Conana. — Właśnie to miałem na myśli. Tylko jak zdołacie odnaleźć powrotną drogę do brzegu? Jeżeli będziecie szukać drogi przez puszcze, to zanim dotrzecie na plażę, zapadnie zmrok, a ja pójdę za wami i pozabijam was w ciemnościach, jednego po drugim.

— To nie są czcze przechwałki — mruknął Strombanni. — On umie poruszać się w mroku bezszelestnie i niepostrzeżenie jak duch. Jeśli ruszy za nami, niewielu z nas dożyje świtu.

— Zatem zabijmy go tu — zgrzytnął zębami Zaron. — Część z nas będzie strzelać z łuków, a pozostali wdrapią się na skałę. Jeśli nie trafią go strzały, zarąbiemy go mieczami.

Słyszysz? Dlaczego on się śmieje?

— Bo słyszę, jak trupy spiskują — odparł Conan, śmiejąc się groźnie.

— Nie zwracaj na niego uwagi — zmarszczył brwi Zaron. Podniósł głos i zawołał do ludzi na dole, aby dołączyli do niego i Strombanniego.

Marynarze zaczęli się wspinać stromą ścieżką i jeden z nich otworzył usta do krzyku. W tej samej chwili rozległ się dźwięk przypominający bzyczenie rozzłoszczonej pszczoły,

zakończony głuchym stuknięciem. Bukaniem westchnął i krew trysnęła mu z rozdziawionych ust. Osunął się na kolana z czarną strzałą sterczącą z pleców. Jego kompani wydali ostrzegawczy okrzyk.

— Co się stało? — zakrzyknął Strombanni.

— Piktowie! — ryknął jeden z piratów, napinając cięciwę i szyjąc na oślep. Obok niego następny marynarz jęknął i padł z gardłem przebitym piktyjską strzałą.

— Schowajcie się, głupcy! — wrzasnął Zaron. Z wysoka dostrzegł pomalowane postacie przemykające przez chaszczę. Jeden z piratów umierał na ścieżce. Pozostali pospiesznie schodzili w dół i kryli się za głazami u podnóża skały. Nienawykli do tego rodzaju walki, nieporadnie szukali osłony. Z krzaków wylatywały kolejne strzały, roztrzaskując się na kamieniach. Dwaj piraci na skalnej półce przypadli do ziemi.

— Jesteśmy w pułapce! — rzekł poblady Strombanni. Pirat, zuchwały, gdy miał pod nogami deski pokładu, przestraszył się tej cichej, bezlitosnej potyczki.

— Conan mówił, że oni boją się tej skały — powiedział Zaron. — Kiedy zapadnie noc, nasi ludzie będą musieli wspiąć się do nas. Tutaj możemy się bronić, dzicy tu nie wejdą.

— Tak! — zadrwił Conan nad nimi. — Nie wejdą na skałę żeby was dostać, to prawda. Po prostu otoczą ją i zaczekają, aż umrzecie z głodu i pragnienia.

— Ma rację — rzekł bezradnie Zaron. — Cóż więc zrobimy?

— Zawrzemy z nim układ — odparł półgłosem Strombanni. — Jeżeli ktoś może nas

wybawić z tej opresji, to tylko on. Później będzie dość czasu, żeby poderżnąć mu gardło. — I podnosząc głos, zawołał: — Conanie, na razie porzucmy nasze spory. Wpadłeś w to po uszy tak samo jak my. Zejdź na dół i pomóż nam się stąd wydostać.

— Jak na to wpadłeś? — odpowiedział Cymeryjczyk. — Wystarczy, że poczekam do

zmroku, zejdem z drugiej strony i skryję się w lesie. Mogę prześlizgnąć się przez pierścień Piktów, wrócić do obozu i powiedzieć, że wszyscy zostaliście zabici przez dzikich — co

niebawem będzie prawdą!

Zarono i Strombanni spojrzeli po sobie w milczeniu.

— Jednak nie zrobię tego! — ryknął Conan. — Nie dlatego, że was tak kocham, psy, ale nie zostawię żadnego białego, nawet najgorszego wroga, na pastwę Piktom!

Zza krawędzi skały wyłoniła się zmierzwiona czupryna barbarzyńcy.

— Teraz słuchajcie uważnie. To tylko niewielki oddział. Przed chwilą, kiedy śmiałem się, widziałem, jak przemykali przez zarośla. A zresztą, gdyby było ich tu więcej, wszyscy wasi ludzie u podnóża skały leżeliby już martwi. Myślę, że to grupka szybkonożnych młodych myśliwych, wysłanych przed głównym oddziałem, żeby odciąć nam drogę. Jestem pewien, że w tej chwili zmierza ku nam duża gromada wojowników. Otoczyli skałę od zachodu, ale wydaje mi się, że od wschodniej strony nie ma żadnych Piktów. Zejdę tamtędy, przekradnę się przez las i okrążę ich. W tym czasie wy niepostrzeżenie zejdzicie na dół i dołączycie do waszych marynarzy ukrytych wśród skał. Każcie im odłożyć łuki i chwycić za miecze. Kiedy krzyknę, pobiegniecie do drzew na zachodnim krańcu polanki.

— A co ze skarbem?

— Do diabła ze skarbem! Będziemy mieli szczęście, jeżeli uda nam się wynieść stąd głowy na karkach!

Czarna grzywa włosów zniknęła. Nasłuchiwali odgłosów świadczących o tym, że Conan podczołgał się do wschodniej ściany i zaczął schodzić w dół, ale nie usłyszeli nawet szmeru. Na dole również panowała cisza. Strzały przestały uderzać o kamienie, za którymi schowali się marynarze. Jednak wszyscy wiedzieli, iż z gąszczy cierpliwie obserwują ich czarne oczy dzikich. Strombanni, Zarono i bosman zaczęli ostrożnie skradać się krętą ścieżką w dół. Dotarli do połowy drogi, kiedy zaczęły wokół nich świstać czarne strzały. Bosman jęknął i bezwładnie potoczył się z boczem, trafiony w serce. Strzały odbijały się od hełmów i napierśników obu kapitanów, którzy w gorączkowym pośpiechu podążali do podnóża skały. Dobięgli tam i legli

między głazami, dysząc i klnąc cicho.

— Czy to kolejny podstęp Conana? — zastanawiał się Zarono.

— W tej sprawie możemy mu ufać — zapewnił go Strombanni. — Ci barbarzyńcy mają swój szczególny kodeks honorowy i Conan nigdy nie zostawiłby ludzi ze swojej rasy na pastwę dzikim Piktom. Pomoże nam wyjść cało z opresji, mimo że sam chce nas pozabijać...

Uwaga!

Przeraźliwy wrzask przerwał ciszę. Rozległ się w lesie na zachodnim krańcu polany i nim zdążył przebrzmieć, jakiś przedmiot wyleciał z zarośli, zakreślił łuk nad polaną, upadł na ziemię i podskakując potoczył się w kierunku skał. Była to odrąbana ludzka głowa o obrzydliwie pomalowanej twarzy zastygłej w grymasie agonii.

— To sygnał Conana! — ryknął Strombanni, a zdesperowani bukanierzy wypadli zza skał i pomknęli ile sił w nogach do lasu.

Z chaszczы świsnęły strzały, wypuszczone w pośpiechu i niecelnie — tylko trzech piratów zostało trafionych. W następnej chwili morscy rabusie wpadli między drzewa i runęli na pomalowanych w wojenne barwy dzikusów, którzy wyłonili się z półmroku. Rozpoczęła się

krótka, zażarta walka wręcz. Kordy zderzały się z toporami, buciory tratowały nagie ciała, a bosc stopy tupotały przez gąszcz, gdy ci Piktowie, którzy wyszli cało z tej rzezi, pospiesznie opuszczali pole bitwy, pozostawiając siedem nieruchomych, pomalowanych postaci

rozciągniętych na zakrwawionej ściółce. W głębi zarośli rozległ się głuchy łoskot ciosów; po chwili ustał i na polaną wyszedł Conan — bez lakierowanego kapelusza, w rozdartym płaszczu i ze zboczonym kordem w dłoni.

— I co teraz? — wy sapał Zarono.

Wiedział, że wypadł powiódł się tylko dzięki niespodziewanemu atakowi Cymeryjczyka, który uderzył na Piktów od tyłu, zaskakując dzikich i uniemożliwiając im ucieczkę. Jednak

Zarono zaklął głośno, gdy zobaczył, jak barbarzyńca przebija kordem bukaniera, wijącego się na ziemi ze strzaskanym biodrem.

— Nie możemy go nieść — mruknął Conan. — A oddalibyśmy mu kiepską przysługę,

zostawiając go żywego na pastwę Piktom. Chodźcie!

Trzymali się tuż za nim, gdy biegł w las. Bez niego krążyliby po puszczy godzinami, zanim odnaleźliby drogę do plaży — o ile w ogóle by ją znaleźli. Cymeryjczyk prowadził ich tak pewnie, jakby poruszał się oznakowanym szlakiem, i rabusie krzyknęli z histeryczną ulgą, gdy niespodziewanie wyszli na wiodącą ku zachodowi ścieżkę.

— Głupcze! — Conan położył dłoń na ramieniu pirata, który poderwał się do biegu. —

Pęknie ci serce i padniesz po tysiącu jardach. Do plaży zostało kilka mil. Nie spieszcie się tak.

Może będziemy musieli przebiec bardzo szybko ostatnią milę, więc oszczędzajcie oddech.

No, dalejże!

Ruszył przed siebie miarowym truchtem. Morscy rabusie podążali za nim, dostosowując się do jego tempa.

Słońce dotykało już grzbietów fal. Tina stała przy oknie, z którego Belesa uprzednio oglądała burzę.

— Zachodzące słońce zamieniło wody oceanu w krew — powiedziała. — Żagiel karaki wygląda jak biała plamka na szkarłatnej toni. Lasy już pociemniały od zbierających się cieni.

— A co z marynarzami na plaży? — spytała apatycznie Belesa. Półleżała na kanapie z zamkniętymi oczami i rękami splecionymi za głową.

— Oba obozy szykują kolację — rzekła Tina. — Zbierają drewno, rozpalają ogniska i pokrzykują do siebie... A to co?

Słyszac nagłe napięcie w głosie dziewczynki, Belesa podniosła się z posłania. Tina chwyciła okiennicę, patrząc na coś z pobladłą twarzą.

— Słuchaj! Jakies wycie w oddali, jakby wilcze stado!

— Wilki? — Belesa zerwała się na równe nogi; strach ścisnął jej serce. — O tej porze roku wilki nie polują w stadach..

— Och, spójrz! — pisnęła dziewczyna, wskazując coś palcem. — Z lasu wybiegają jacyś

ludzie!

W okamgnieniu Belesa znalazła się przy niej, patrząc szeroko otwartymi oczyma na małe figurki wyłaniające się z odległego lasu.

— To żeglarze! — wykrztusiła. — Z pustymi rękami! Widzę Zarono... Strombanniego...

— A gdzie Conan? — szepnęło dziecko. Belesa potrząsnęła głową.

— Słuchaj! Och, słuchaj! — jęczała Tina, kurczowo przywierając do swej pani. — To Piktowie!

Teraz słyszeli ich już wszyscy w forcie — z głębi mrocznej puszczy niosło się przepojone szaleństwem i żądzą krwi wycie. Ten dźwięk popędzał zdyszanych, zataczających się piratów.

— Szybciej! — sapał Strombanni o twarzy ściągniętej z wysiłku. — Prawie depczą nam po piętach. Mój statek...

— Jest zbyt daleko, żebyśmy zdołali do niego dotrzeć — wyrzeźił Zarono. — Biegnijmy do palisady. Patrz, ludzie obozujący na plaży już nas zauważyli!

Pomachał rękami, dając bezgłośny sygnał, lecz piraci na brzegu rozpoznali i zrozumieli znaczenie dzikiego wycia, wznoszącego się w triumfalnym crescendo. Marynarze porzucili swoje ogniska oraz garnki i popędzili ile sił w nogach do bramy fortu. Tłoczyli się w niej, gdy uciekający z lasu dobiegli do palisady od południa i z trudem dotarli do wrót — zdyszana, wystraszona grupka, pólżywa z wyczerpania. Bramę zamknięto w panicznym pośpiechu, a żeglarze zaczęli wchodzić na galerię, aby przyłączyć się do obrońców palisady.

Belesa, która wyszła z dworu, stanęła przed Zarono.

— Gdzie Conan?

Bukanier wskazał kciukiem w kierunku ciemnej ściany puszczy. Jego pierś unosiła się w ciężkim oddechu, pot spływał mu po twarzy.

— Ich zwiadowcy następowali nam na pięty, zanim dotarliśmy do plaży. Został, żeby

zabić kilku i dać nam czas na ucieczkę.

Pirat powlókł się na stanowisko przy palisadzie, gdzie wspiął się już Strombanni. Valenso też tam stał; posępna, owinięta płaszczem postać, dziwnie milcząca i obojętna. Hrabia zachowywał się tak, jakby ktoś rzucił nań czar.

— Patrz! — wrzasnął pirat, przekrzykując ogłuszające wycie niewidocznej jeszcze hordy.

Z lasu wypadł jakiś człowiek i pomknął jak strzała przez pas pustej przestrzeni.

— To Conan! — Zarono wyszczerzył zęby niczym wilk morski. — Za częstokołem jesteśmy bezpieczni i wiemy, gdzie jest skarb. Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy naszpikować go teraz strzałami.

— Nie! — Strombanni chwycił go za rękę. — Będziemy potrzebowali jego miecza.

Spójrz!

Za szybkonogim Cymeryjczykiem z lasu wypadła horda wrzeszczących opętańczo dzikusów — setki nagich, pomalowanych Piktów. W kierunku biegnącego barbarzyńcy poleciał deszcz strzał. Jeszcze kilka kroków i Cymeryjczyk dotarł do wschodniej ściany palisady, odbił się, chwycił zaostrzonych pali i trzymając kord w zębach, zwinnie przeskoczył na drugą stronę. W miejscu, gdzie znajdował się jeszcze przed chwilą, kilka piktyjskich strzał z głuchym stukiem wbiło się w drewniane bale. Conan zgubił gdzieś swój świetny płaszcz, a białą koszulę miał podartą i zakrwawioną.

— Zatrzymać ich! — ryknął, nim jeszcze postawił nogi wewnątrz fortu. — Jeśli wedrą się na palisadę, jesteśmy zgubieni!

Piraci, bukanierzy i żołnierze natychmiast posłuchali rozkazu i na nadciągającą hordę runął grad strzał oraz bełtów. Conan dostrzegł Belesę oraz ściskającą jej dłoń Tinę; używając malowniczego języka wyraził, co o tym sądzi.

— Schroń się we dworze — rzekł w końcu. — Ich strzały przelecą nad palisadą... A nie

mówiłem?

U stóp Belesy wbiła się w ziemię czarna strzała, drgając jak rozzłoszczona żmija. Conan chwycił łuk i skoczył na galeryjkę.

— Niech kilku z was przygotuje pochodnie! — wrzasnął, przekrzykując bitewny zgiełk. — Musimy ich widzieć w ciemnościach!

Słońce zachodziło w morzu krwi. Marynarze na pokładzie karaki odcięli kotwicę i „Czerwona Ręka” szybko zniknęła na horyzoncie.

7

LUDZIE PUSZCZY

Zapadła noc, ale na całym brzegu paliły się pochodnie, oświetlając ponurym blaskiem okropne widowisko. Nadzy, pomalowani dzicy tłoczyli się na plaży; białka ich oczu i wyszczerzone zęby lśniły w świetle palących się na częstokole pochodni, gdy raz po raz atakowali palisadę. W czarnych grzywach tkwiły pióra dzioboroźców, kormoranów i sokołów. Niektórzy wojownicy — ci najdzikszy i najbardziej barbarzyńscy — nosili w skołtunionych włosach zęby rekina. Wszystkie nadmorskie plemiona zjednoczyły swe siły przeciw białym najeźdźcom.

Napierali na palisadę, wypuszczając przed siebie deszcz strzał i nie bacząc na szarpiące ich pociski miotane przez obrońców. Chwilami podchodzili tak blisko, że rąbali toporami bramę i dźgali włóczniami w strzelnice. Jednak za każdym razem, nie zdoławszy wdrzeć się na wały cofali się, zostawiając za sobą dywan trupów. Ten sposób walki najbardziej odpowiadał morskim rabusiom. Ich strzały i bełty siały spustoszenie w szeregach atakującej hordy; kordami siekli dzikich usiłujących wspiąć się na palisadę.

Jednak ludzie z puszczy raz po raz wracali i rzucali się w wir bitwy z niegasnącym uporem i zaciekłością.

— Oni są jak wściekłe psy! — wysapał Zarono, opuszczając ostrze na smagłe ręce

chwytające za szczyt palisady i ciemne twarze szczerzące zęby w gniewnym grymasie.

— Jeśli zdołamy utrzymać fort do świtu, stracą serce do walki — mruknął Conan, z wprawą zawodowca rozłupując czaszkę kolejnemu napastnikowi. — Nie zdołają prowadzić długiego oblężenia. Patrz, już się cofają.

Atak załamał się. Mężczyźni na wałach otarli pot z czoł, policzyli swoich zabitych i mocniej ścisnęli w dłoniach śliskie od krwi rękojeści mieczy. Niczym żadne krwi wilki, niechętnie rezygnujące z zagnanej w pułapkę zdobyczy, Piktowie wycofali się za krąg światła pochodni. Przed palisadą pozostały tylko ciała zabitych.

— Odeszli? — Strombanni potrząsnął wilgotnymi, brązowymi lokami. Kord, który trzymał w ręce, był poszczerbiony i zakrwawiony; opalone ramię pirata zbryzgała krew.

— Nadal tam są.

Conan ruchem głowy wskazał na zalegające za pierścieniem pochodni ciemności, które przy jasnym świetle łuczywa wyglądały na nieprzeniknione. W przelocie dostrzegł w mroku ruch cieni, błyski oczu i odblaski lśnienia miedzianych ostrzy.

— Jednak odstąpili na jakiś czas — powiedział. — Wystawcie strażę, a reszta niech się pożywi i ugasi pragnienie. Minęła już północ, a walczyliśmy kilka godzin bez wytchnienia.

Hej, Valenso, jak tam bitwa?

Hrabia, z powyginanym, zakrwawionym hełmem i pancerzem, w ponurym milczeniu podszedł do miejsca, gdzie stał Conan i dwaj kapitanowie. W odpowiedzi mruknął coś niezrozumiale. I nagle w ciemności rozległ się jakiś głos; donośny, wyraźny głos, który było słyhać w całym forcie.

— Hrabio Valenso! Hrabio Valenso z Korzettów! Czy mnie słyszysz? — mówił ze stygijskim akcentem.

Hrabia głośno wciągnął powietrze, jakby zadano mu śmiertelną ranę, zachwiał się i ścisnął belki palisady, a w blasku pochodni widać było, że jego twarz wyraźnie pobladła. Głos

ciągnął:

— To ja, Thoth–Amon, członek Kręgu! Czy sądziłeś, iż znów uda ci się umknąć przede mną? Już na to za późno! Wszystkie twe knowania nie zdadzą się na nic, ponieważ dziś w nocy wyślę do ciebie posłańca. To demon, który strzegł skarbu Tranikosa. Uwolniłem go z jaskini i wziąłem na służbę. Sprowadzi na ciebie zgubę, na którą zasłużyłeś, psie; śmierć powolną, ciężką i haniebną. Zobaczymy, czy teraz zdołasz się wymknąć!

Przemowę zakończył wybuch drwiącego śmiechu. Valenso krzyknął z przerażenia, zeskoczył z galeryjki i zataczając się pobiegł w kierunku dworu.

W czasie przerwy w walce Tina podczołgała się do okna, od którego uprzednio odskoczyła w obawie przed lecącymi strzałami. W milczeniu obserwowała zebranych wokół ogniska mężczyzn. Belesa czytała list przyniesiony jej przez niewolnicę. Oto jego treść:

Hrabia Valenso z Korzetty do swej bratanicy Beksy z pozdrowieniami.

W końcu dosięgła mnie zguba. Teraz, kiedy już się oswoiłem, chociaż nie pogodziłem z tym faktem, chciałbym, abyś wiedziała, iż zdaję sobie sprawę z tego, że wykorzystałem cię w sposób nie przystający honorowi Korzettów. Uczyniłem to, ponieważ okoliczności nie pozostawiały mi innego wyboru. Aczkolwiek już za późno na przeprosiny, proszę, abyś nie myślała o mnie aż tak źle; a jeśli jakimś cudem uda ci się przeżyć tę noc zagłady i jeśli zdobędziesz się na to, zanieś do Mitry modły za zbrukaną duszę swojego wuja. Na razie radzę ci trzymać się z daleka od wielkiej sali, inaczej spotka cię ten sam los, jaki czeka mnie. Żegnaj. Belesie trzęsły się ręce, gdy czytała te słowa. Chociaż nigdy nie kochała wuja, musiała przyznać, że napisanie tego listu było jego pierwszym prawdziwie ludzkim uczynkiem, od kiedy go poznała.

Stojąca przy oknie Tina stwierdziła:

— Na galeriach powinno być więcej ludzi. A jeśli czarni wrócą?

Belesa, która podeszła do niej, zadrżała na samą myśl o tym.

— Boję się — powiedziała półgłosem Tina. — Mam nadzieję, że Strombanni i Zaroni zostali zabici.

— A Conan nie? — spytała ze zdziwieniem Belesa.

— Conan nie zrobi nam krzywdy — odparła z przekonaniem dziewczynka. — On postępuje zgodnie ze swym barbarzyńskim poczuciem honoru, podczas gdy oni zatracili wszelki honor.

— Jesteś zbyt mądra na swój wiek, Tino — rzekła Belesa, czując dziwny niepokój, jaki często budziła w niej przedwczesna dojrzałość tego dziecka.

— Patrz! — zmartwiała Tina. — Z południowej części palisady zniknął strażnik! Przed chwilą widziałam go na galerii — teraz go tam nie ma.

Z ich okna nad spadzistymi dachami chat wznoszących się wewnątrz częstokołu można było dostrzec zaostrome belki południowej ściany palisady. Zwarty szereg chat oraz odległy od nich o trzy lub cztery metry ostrokół tworzyły rodzaj korytarza. W tej części fortu mieszkała służba.

— Gdzie się podział ten strażnik? — szepnęła zaniepokojona Tina.

Belesa obserwowała ostatnie chaty w rzędzie, które stały niedaleko bocznych drzwi do dworu. Mogłaby przysiąc, że zauważyła jakąś niewyraźną postać, która przemknęła za chatami i zniknęła w tych drzwiach. Czyżby to był ten nieobecny wartownik? Dlaczego zszedł z posterunku i tak cicho zakradał się do dworu? Dziewczyna przypuszczała, że nie był to strażnik, którego przedtem widziała na galeryjce. Dziwny lęk zmroził jej krew w żyłach.

— Gdzie hrabia, Tino? — spytała.

— W wielkiej sali, moja pani. Siedzi przy stole sam, owinięty w płaszcz, pije wino, a twarz ma szarą jak popiół.

— Idź i powiedz mu, co zauważyliśmy. Będę czuwać w oknie, inaczej Piktowie

przekradną się przez nie strzeżoną palisadę.

Tina wypadła z komnaty. Nagle przypomniawszy sobie zawartą w liście hrabiego przestrożę, aby trzymać się z daleka od wielkiej sali, Belesa wstała; tupot pantofelków Tiny cichł już na korytarzu i schodach.

Nagle rozległ się straszliwy krzyk, pełen tak okropnego przerażenia, że serce Belesy niemal przestało bić ze zgrozy. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, wybiegła z komnaty i popędziła korytarzem. Zbiegła po schodach — i stanęła jak skamieniała.

Nie krzyknęła tak jak Tina. Nie była w stanie wydać żadnego dźwięku ani poruszyć się.

Widziała dziewczynkę i była świadoma realności ściskających ją szaleńczo małych rączek.

Jednak były one jedyną sensowną realnością tego ponurego, jakby wziętego z sennego koszmaru widowiska szaleństwa i śmierci, nad którym górował monstrualny, człekokształtny cień, otoczony ponurą, piekielną poświatą i wyciągający ku niej ramiona.

Tymczasem na palisadzie Strombanni potrząsnął głową w odpowiedzi na pytanie

Cymeryjczyka.

— Nie, nic nie słyszałem.

— A ja tak!

Conan instynktownie wyczuwał, iż coś się stało; nadstawił ucha, a w oku zapalił mu się groźny błysk.

— To gdzieś przy południowej części palisady, za tymi chatami!

Wyciągnął kord i pomaszerował w kierunku ostrokołu. Chaty zasłaniały przed jego wzrokiem tę część palisady i stojącego na niej wartownika. Strombanni, który podzielał podejrzenia barbarzyńcy, poszedł za nim.

Przed wejściem do korytarza utworzonego przez ściany chat i palisadę, Conan przystanął i rozejrzał się czujnie. Przesmyk był słabo oświetlony blaskiem pochodni płonących w narożach palisady. Pośrodku zaułka na ziemi leżała jakaś skurczona postać.

— Brakus! — zaklął Strombanni, podbiegając do leżącego i przyklękając przy nim. — Na Mitrę, ma gardło poderżnięte od ucha do ucha!

Conan omiół spojrzeniem zaułek, ale nie zauważył nikogo oprócz Strombanniego oraz trupa. Spojrzał przez strzelnicę. Nic się nie poruszało w kręgu światła rzucanego przez pochodnie.

— Kto to mógł zrobić? — zastanawiał się na głos.

— Zarono! — Strombanni, prychając wściekle jak ryś, zerwał się na równe nogi ze zjeżonym włosiem i wykrzywioną konwulsyjnie twarzą. — Wysłał swoich złodziei, żeby zdradziecko mordowali moich ludzi! Chce pozbyć się mnie zdradą! Przeklęty! Mam dosyć tego przymierza!

— Czekaj! — Conan próbował go powstrzymać. — Nie wierzę, żeby Zarono...

Jednak oszalały pirat odtrącił jego ramię i klnąc wściekle, zniknął za rogiem chaty. Conan pobiegł za nim, także miotając przekleństwa. Strombanni zmierzał wprost ku ognisku, przy

którym stał Zarono — wysoka, szczupła postać bukaniera, który właśnie sączył piwo z kufła, była dobrze widoczna na tle płomieni.

Kapitan bukanierów osłupiał, gdy niespodziewany cios wytrącił mu kufel z ręki, oblewając pancierz pianą, i gdy odwrócony gwałtownym szarpnięciem ujrzał przed sobą wykrzywioną gniewem twarz pirata.

— Ty podstępny psie! — ryczał Strombanni. — Będiesz za moimi plecami mordował moich ludzi, którzy walczyli również w obronie twojego zakutego łba!?

Conan pędził ku nim, a znajdujący się w pobliżu członkowie załóg przestali jeść i pić, ze zdumieniem spoglądając na swoich kapitanów.

— O co ci chodzi? — wykrztusił Zarono.

— Kazałeś swoim ludziom mordować moich stojących na posterunkach! — wrzasnął rozwścieczony Barachańczyk.

— Kłamiesz!

Skrywana nienawiść wybuchła nagłym płomieniem. Z nieartykułowanym rykiem

Strombanni uniósł kord i wymierzył cios w głowę bukaniera. Zarono odbił cięcie zakutym w pancerz ramieniem; trysnęły skry, a kapitan zatoczył się w tył, wyciągając swój miecz.

Zaczęli walczyć jak dwaj szaleńcy — ostrza ich kordów migotały w blasku płomieni. Obie

załogi zareagowały natychmiast i bez zastanowienia. Z głuchym pomrukiem piraci oraz

bukanierzy dobyli kordów i runęli na siebie. Ludzie opuszczali swoje posterunki, zeskakując z palisady z bronią w rękę.

W okamgnieniu dziedziniec zmienił się w pole bitwy, na którym gromadki przeklinających

i wrzeszczących żeglarzy rąbały i kłuły się wzajemnie w przyptywie ślepej furii. Część załogi fortu oraz służba przyłączyła się do walki, a żołnierze przy bramie odwrócili się i spoglądali na to ze zdumieniem, zapominając o wrogu czającym się w ciemnościach.

Wszystko potoczyło się tak szybko — skrywana nienawiść nagle przeistoczyła się w

otwarte starcie — że piraci walczyli ze sobą już na całym dziedzińcu, zanim Conan zdołał

dopaść oszalałych z wściekłości kapitanów. Nie zwracając uwagi na ich miecze, rozepchnął

ich z taką siłą, że odlecieli w przeciwne strony, a Zarono potknął się i upadł.

— Wy przekłęci głupcy, chcecie abyśmy wszyscy stracili życie?

Strombanni pienił się ze złości, a Zarono głośno wzywał pomocy. Jakiś bukanier podbiegł

do Conana od tyłu i zamachnął się, mierząc w głowę barbarzyńcy. Cymeryjczyk odwrócił się

i chwycił go za ramię, powstrzymując cios.

— Patrzcie, głupcy! — ryknął, wskazując mieczem jakiś punkt.

Coś w tonie jego głosu zwróciło uwagę ogarniętego bitewnym szaleńcem tłumem. Żeglarze

stanęli jak wryci i popatrzeli w tamtym kierunku. Conan pokazywał im żołnierza na galeryjce, który chwiał się, rozpaczliwie bijąc rękami powietrze, i dławił, daremnie próbując krzyknąć.

W następnej chwili runął w dół i wszyscy ujrzeni czarną strzałę sterczącą mu między

łopatkami.

Na dziedzińcu rozległ się okrzyk zgrozy. Zawtórowało mu przerażające, krwiożercze

wycie i łomot toporów walących we wrota. Płonące strzały przeleciały łukiem nad palisadą i wbiły się w belki chat, wzniecając pasma szarego dymu. Po chwili, zza chat stojących wzdłuż południowej części palisady wyłoniły się półnagie postacie, które pędem ruszyły ku

dziedzińcowi.

— Piktowie w forcie! — wrzasnął Conan.

Po tym krzyku rozpętało się istne piekło. Bukanierzy zaprzestali walki. Jedni zwrócili się przeciw dzikim, inni skoczyli na palisadę. Dzicy wypadali zza chat i rozbiegali się po całym forcie, a ich topory zderzały się z kordami żeglarzy.

Zarono nie zdążył jeszcze podnieść się z ziemi, gdy jakiś pomalowany dzikus doskoczył doń od tyłu i rozwalił mu czaszkę toporkiem.

Conan wraz z gromadką otaczających go żeglarzy walczył z Piktami na dziedzińcu;

Strombanni z większością swoich ludzi wspinał się na palisadę, siekąc czarnych

wdzierających się już do fortu. Piktowie, którzy niepostrzeżenie podpełzli i otoczyli fort, w czasie gdy obrońcy walczyli między sobą, atakowali teraz ze wszystkich stron. Żołnierze

Valenso zebrali się przy bramie, usiłując powstrzymać wyjący tłum dzikusów, którzy walili w nią taranem wykonanym z pnia drzewa.

Coraz więcej dzikich, którzy wspięli się na nie bronioną część umocnień od południa,

wypadało zza chat. Strombanni i jego piraci zostali wyparci z galeryjki i w następnej chwili dziedziniec zaroił się od nagich wojowników. Jak wygłodniałe wilki rzucali się na obrońców; bitwa rozczłonkowała się na wiele potyczek między hordami napierających dzikusów a

małymi grupkami zdesperowanych białych ludzi. Ciała Piktów, żeglarzy i żołnierzy zasłały ziemię, wdeptywane w nią stopami walczących.

Umazani krwią wojownicy z wyciem wpadali do chat i nad bitewny zgiełk wzbiły się

krzyki kobiet i dzieci, które ginęły od zakrwawionych toporów. Słyszając to, żołnierze przy

bramie ruszyli im na pomoc, lecz w następnej chwili Piktowie sforsowali wrota i zaczęli

wlewać się do fortu również tą drogą. Chaty osadników stanęły w płomieniach.

— Do dworu! — ryknął Conan, tuzin obrońców podążył za nim, gdy ostrzem miecza

torował sobie drogę przez hordeę dzikusów.

Strombanni znalazł się u jego boku, machając okrwawionym kordem jak cepem.

— Nie zdołamy utrzymać dworu — mruknął pirat.

— Dlaczego? — Conan był zbyt zajęty swą krwawą pracą, aby obrzucić go choć krótkim spojrzeniem.

— Ponieważ... ach! — nóż trzymany w czarnej dłoni ugodził Barachańczyka w plecy. —

Niech cię diabli porwą, draniu!

Strombanni obrócił się z trudem i rozplątał na dwoje czaszkę dzikusa. Potem zachwiał się i opadł na kolana; krew płynęła mu z ust.

— Dwór płonie! — wychrypiał i osunął się na ziemię.

Conan szybko rozejrzał się na wszystkie strony. Obrońcy, którzy poszli za nim, leżeli wokół w kałużach krwi. Pikt oddający ostatnie tchnienie pod nogami Cymeryjczyka był ostatnim z gromady wojowników, którzy zastąpili mu drogę. Wszędzie wokół wrzała bitwa, ale na razie Conan był sam.

Znajdował się niedaleko południowej części palisady. Kilka kroków i mógłby wspiąć się na galeryjkę, przeskoczyć na drugą stronę i zniknąć w mroku nocy. Jednak przypomniał sobie bezbronne dziewczęta we dworze, z którego teraz unosiły się gęste kłęby dymu. Pobiegnął w tym kierunku.

Ozdobiony pióropuszem wódz stanął w progu dworu z groźnie podniesionym toporem, zastępując drogę barbarzyńcy, zaś szeregi szybko nogich wojowników zbiegały się zewsząd ku niemu. Conan nie wahał się ani chwili. Opadający kord odbił w bok ostrze topora i roztrzaskał czaszkę wodzowi. Conan błyskawicznie skoczył za drzwi, zatrzaskał je i zasunął rygle. Topory Piktów załomotały w drewnianą furtę.

Wielką komnatę zasnuwały pasma dymu, przez który Conan przedzierał się niemal na oślep. Gdzieś płakała kobieta — cichym, urywanym, histerycznym szlochem pełnym

oblędnego przerażenia. Conan wyłonił się z chmury dymu i stanął jak wryty, spoglądając w głąb komnaty.

W sali było ciemno od dymu. Wielki srebrny kandelabr został przewrócony, a świece pogasły; tylko z wielkiego kominka i ze ściany, gdzie było osadzone palenisko, sączył się ponury blask, zaś unoszące się z płonącej podłogi płomienie lizały dymiące belki powały. Na tle tej posępnej poświaty Conan ujrzał ludzką postać kołyszącą się wolno na końcu długiej liny. Obracające się na linie ciało wisielca zwróciło się zniekształconą nie do rozpoznania twarzą w kierunku barbarzyńcy, który poznał hrabiego Valenso, powieszzonego pod dachem własnego domu. Jednak w sali był ktoś jeszcze. Conan dostrzegł go przez zasłonę dymu: monstrualną czarną sylwetkę na tle piekielnej poświaty. Ta postać przypominała człowieka, jednak cień rzucany przez nią na płonąca ścianę nie miał w sobie nic ludzkiego.

— Na Croma — mruknął ze zgrozą Conan, sparaliżowany świadomością tego, iż stanął przed istotą, przeciw której jego miecz jest bezużyteczny. Zobaczył Belesę i Tinę, które obejmowały się kurczowo skulone u podnóża schodów.

Czarny, olbrzymi potwór wyprostował się, szeroko rozkładając wielkie ramiona. Wśród snującego się dymu ukazała się szyderczo wykrzywiona twarz — nieludzka, demoniczna, straszliwa. Conan dostrzegł osadzone blisko siebie różki, rozdziawiony pysk, spiczaste uszy. Stwór ruszył w stronę Cymeryjczyka, który w desperacji przypomniał sobie zasłyszana nigdyś opowieść.

Opodal leżał przewrócony wielki świecznik, nigdyś przedmiot dumy zamku Korzettów, wykonany z dwudziestu kilogramów litego srebra, ozdobiony kunsztownymi rzeźbami bogów i bohaterów. Conan chwycił go i podniósł wysoko nad głowę.

— Srebro i ogień! — zakrzyknął głosem niczym huk wichru i z całą siłą swych potężnych mięśni cisnął kandelabr. Dwadzieścia kilogramów srebra ze straszliwym impetem uderzyło w czarną pierś demona. Nawet ten piekielny stwór nie zdołał oprzeć się takiemu pociskowi.

Został zбитý z nóg i wepchnięty do kominka, który zmienił się w morze szalejących płomieni.

Przerażający ryk wstrząsnął dworem — jęk piekielnego stworu, którego nieoczekiwanie dosięgła ziemská śmierć. Okap kominka popękał, a z komina posypały się kamienie, przysypując czarne, wijące się ciało, w które szalejące płomienie wgryzały się z furią żywiołu. Na ten stos runęły płonące belki sufitu i całość zamieniła się w jeden wielki kłęb ognia.

Conan dotarł do schodów, kiedy języki płomieni już zaczynały lizać ich stopnie.

Barbarzyńca chwycił pod pachę omdlałą dziewczynkę, a Belesę postawił na nogi. Wśród trzasku i syku ognia słychać było, jak drzwi ustępują pod uderzeniami toporów.

Conan rozejrzał się wokół. Dostrzegł drzwi na wprost schodów i pospieszył ku nim, niosąc Tinę i ciągnąc za rękę Belesę, która wydawała się pogrążona w transie. Ledwie weszli do przyległej komnaty, gdy potworny trzask oznajmił im, że sufit wielkiej sali zawalił się za ich plecami. Przez ścianę duszącego dymu Conan dostrzegł otwarte drzwi po drugiej stronie

pomieszczenia. Przechodząc przez nie razem z dziewczynami, barbarzyńca zauważył, że drzwi wisiały na wyrwanych zawiasach, a ich rygle i zamki były wygięte i połamane, jakby uderzył w nie jakiś potężny taran.

— Demon wszedł tymi drzwiami! — zaszlochała histerycznie Belesa. — Widziałam go, ale nie myślałam...

Wyszli na oblany łuną pożaru dziedziniec, kilka stóp od chat stojących wzdłuż

południowej palisady. Jakiś Pikt skradał się do drzwi; w półmroku dojrzeli przekrwione oczy i uniesione ostrze topora. Upuściwszy Tinę i odepchnąwszy Belesę z linii ciosu, Conan

wyrwał miecz z pochwy i wbił go w pierś dzikusa. Potem postawił obie dziewczyny na nogi i pobiegł z nimi w kierunku palisady.

Dziedziniec zasnuły gęste kłęby dymu, które zasłaniały rozgrywające się na nim krwawe widowisko, lecz zbiegowie zostali zauważeni. Nagie postacie czarne jak noc na tle

czerwonych płomieni wychyły z mroku, wymachując błyszczącymi toporami. Piktowie byli

kilka metrów za nimi, gdy Conan wpadł w przejście między chatami a palisadą. Na drugim końcu tego wąskiego korytarza ujrzał następnych dzikusów, usiłujących zastąpić mu drogę. Cymeryjczyk stanął, podrzucił kolejno Belesę i Tinę na galeryjkę, a potem wskoczył tam za nimi. Przerzucił Belesę na drugą stronę palisady i spuścił ją na piasek u podnóża umocnień; później to samo zrobił z Tiną. Ciśnięty topór wbił się w bale tuż nad jego głową, lecz już w następnej chwili barbarzyńca również znalazł się na dole, podnosząc oszołomione i bezradne podopieczne. Kiedy Piktowie wspięli się na galerię, u stóp palisady nie było nikogo prócz trupów.

8

MIECZE AKWILONII

Świt opromienił ciemne wody różaną poświatą. W oddali, pośród jaśniejących fal z mgieł wyłonił się biały punkt — żagiel, który zdawał się unosić na tle perłowego nieba. Na porośniętym krzewami przyładku Conan z Cymerii trzymał postrzępiony płaszcz nad ogniskiem z zielonych gałęzi. Gdy poruszał płaszczem obłoczki dymu wzbijały się w niebo, drżąc na jego różowym tle, po czym znikały.

Belesa przykucnęła opodal, jednym ramieniem obejmując Tinę. Zapytała:

— Czy myślisz, że zobaczą i zrozumieją sygnał?

— Zobaczą i to zaraz — zapewnił ją. — Krążyli w pobliżu przez całą noc, usiłując

wypatrzeć jakiś ocalałych z rzezi. Są śmiertelnie przerażeni; jest ich tylko pół tuzina i żaden nie zna się na tyle na nawigacji, żeby dopłynąć do Wysp Barachańskich. Zrozumieją moje

znaki; to sygnały używane przez piratów. Z radością oddadzą się pod moje rozkazy, ponieważ jestem jedynym ocalałym kapitanem.

— A jeśli dym zauważą Piktowie?

Belesa zadrżała, oglądając się w kierunku zasnutych mgłą plaż i zarośli, za którymi o kilka mil na północ w nieruchomym powietrzu unosił się słup gęstego dymu.

— Mało prawdopodobne, aby go zobaczyli. Kiedy ukryłem was w lesie, podkradłem się z powrotem do fortu i zobaczyłem, jak wytaczają z magazynów beczki wina oraz piwa.

Większość z nich już chwiała się na nogach. Teraz wszyscy leżą pokotem, zbyt pijani, by

ruszyć choćby palcem. Gdybym miał setkę ludzi, mógłbym wybić do nogi całą horde... Na Croma i Mitrę! — zawołał nagle. — Przecież to wcale nie „Czerwona Ręka”, ale okręt wojenny! Które z cywilizowanych państw przysłałoby tu swoją flotę? Chyba że chcą pogadać z twoim wujem; w takim wypadku będą musieli nająć wiedźmę, żeby przywołała jego ducha. Zmarszczył brwi, spoglądając na morze i próbując dostrzec we mgle jakieś szczegóły, które pozwoliłyby zidentyfikować nadpływającą jednostkę. Statek kierował się wprost na niego, tak że mógł dojrzeć jedynie złoconą rzeźbę na dziobie, mały żagiel wydęty na wiejącym w stronę lądu wietrze oraz na każdej burcie po rzędzie wiosł, podnoszących się i opadających w równym rytmie.

— No cóż — rzekł Conan. — Przynajmniej nas stąd zabiorą. Pieszko długo wracalibyśmy do Zingary. Dopóki nie dowiemy się, kim są i czy mają przyjazne zamiary, nie mówcie, kim jestem. Zanim tu dotrą, wymyślę jakąś bajeczkę.

Conan zdeptał ognisko, oddał płaszcz Belesie i przeciągnął się leniwie jak wielki kot. Belesa patrzyła na niego z podziwem. Wcale nie udawał: noc pełna ognia, krwi i rzezi oraz późniejsza ucieczka przez ciemny las nie zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenia. Zachowywał się tak spokojnie, jakby spędził tę noc, biesiadując i bawiąc się. Bandaże z podartej halki Belesy okrywały kilka powierzchownych ran, jakie odniósł, walcząc bez zbroi. Belesa nie obawiała się go; czuła się bezpieczniej niż kiedykolwiek od chwili, gdy wylądowała na tym dzikim wybrzeżu. Nie był taki jak piraci — ludzie, którzy wyzbyli się wszelkiej czci i godności. W przeciwieństwie do nich Conan przestrzegał praw swego ludu — barbarzyńskich i krwawych, lecz tworzących specyficzny kodeks honorowy.

— Myślisz, że on nie żyje? — spytała. Nie pytał, o kogo jej chodzi.

— Tak sędzę — odparł. — Srebro i ogień są jednakowo zabójcze dla złych duchów, a ten dostał solidną porcję jednego i drugiego.

— A co z jego panem?

— Z Thoth–Amonem? Myślę, że wrócił do swojego grobowca, do Stygii. Ci

czarnoksiężnicy to dziwna banda.

Żadne z nich nie wróciło już do tego tematu. Belesa wzdragła się na jakiegokolwiek

wspomnienie tej okropnej sceny, gdy czarny potwór wpadł do wielkiej sali, by dokonać długo odwlekanego dzieła zemsty.

Nadpływający statek rósł w oczach, lecz miała minąć jeszcze dłuższa chwila, zanim dobił do brzegu. Belesa spytała:

— Kiedy pierwszy raz zjawiłeś się w forcie, mówiłeś coś o tym, że byłeś generałem w Akwilonii, a potem musiałeś uciekać. Co to za historia?

Conan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Złóż na karb mojej głupoty to, iż zaufałem temu pigwogłowemu Numedidesowi.

Mianowali mnie generałem ze względu na kilka drobnych sukcesów w walce z Piktami; a

potem, gdy pod Velitrium rozbiłem pięciokrotnie liczniejsze siły i przetrąciłem kręgosłup ich sprzysiężeniu, wezwano mnie do Tarantii, gdzie miałem odprawić swój triumf. To niezwykle

pochlebiające dla męskiej próżności — jechać obok króla podczas gdy dziewczęta sypią

przed nim płatki róż; ale później, w czasie bankietu, stary drań spoił mnie zatrutym winem.

Obudziłem się w łańcuchach w Żelaznej Wieży, czekając na egzekucję.

— Za co?

Wzruszył ramionami.

— Kto wie, co dzieje się w tym, co ten przygłup nazywa swoją głową? Może inni

akwilońscy generałowie, nieprzychylnie spoglądający na nagłe wyniesienie do takiej

godności cudzoziemca i barbarzyńcy, podsycili jego podejrzliwość. A może obraził się za

moje szczere uwagi na temat wydawania pieniędzy z królewskiego skarbcza na zdobienie

Tarantii złotymi posągami władcy, zamiast na obronę granic państwa? — Zanim wypilem

puchar zatrutego wina, filozof Alcemides zwierzył mi się, iż ma nadzieję napisać książkę o wpływie niewdzięczności na politykę państwową, używając króla jako przykładu. Ha! Byłem

zbyt pijany, żeby zdać sobie sprawę z tego, że próbował mnie ostrzec. — Jednakże miałem przyjaciół, przy pomocy których uwolniłem się z Żelaznej Wieży, zdobyłem konia oraz miecz i wydostałem z miasta. Wróciłem do Bossonii, zamyślając wzniecić bunt, rozpoczynając od moich oddziałów. Jednak kiedy tam dojechałem, stwierdziłem, że moi wierni Bossończycy zostali rozpuszczeni do domów, a na ich miejsce wezwano brygadę oślookich tępaków z Tauranu, którzy w większości nigdy o mnie nie słyszeli. Próbowali mnie aresztować, więc musiałem rozbić kilka głów, żeby wydostać się z matni. Przepłynąłem Rzekę Gromu wśród świstu strzał przelatujących mi nad uchem... I znalazłem się tu.

Ponownie zmarszczył brwi, patrząc na nadpływający statek.

— Na Croma, gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłbym, iż na tym proporcu widzę poitańskiego lamparta. Chodźcie.

Sprowadził dziewczyny na plażę w chwili, gdy było już słyhać okrzyki sternika. Ostatnie uderzenie ciężkich wiosł wepchnęło dziób galery na piaszczystą plażę. Gdy pierwsi żeglarze zeskoczyli z dziobu okrętu, Conan zawołał:

— Prospero! Trocero! Co, na wszystkich bogów, tu robicie..?

— Conan! — wrzasnęli i doskoczyli do niego, ściskając go i waląc po plecach. Przy tym wszyscy mówili jednocześnie, ale Belesa i tak nie zrozumiałaby ani słowa, ponieważ nie znała akwilońskiego. Ten, którego Cymeryjczyk nazywał Trocerem — szeroki w barach i wąski w biodrach mężczyzna, mimo posiwiąłych skroni poruszający się z gracją lamparta — musiał być księciem Poitain.

— Co tu robicie? — powtórzył Conan.

— Przybyliśmy po ciebie — rzekł smukły i elegancko odziany Prospero.

— A skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

Krępy, łysy mężczyzna nazywany Publiuszem wskazał innego, noszącego czarną togę kapłana Mitry.

— Dexitheus znalazł cię dzięki swej sztuce. Przysięgał, że nadal żyjesz i obiecał doprowadzić nas do ciebie.

Czarno odziany mężczyzna skłonił się nisko.

— Twój los jest związany z losem Akwilonii, Conanie z Cymerii — powiedział. — Ja jestem jedynie małym ogniwem w łańcuchu twego przeznaczenia.

— No dobrze, ale o co wam chodzi? — rzekł Conan. — Na Croma, cieszę się, że zabieracie mnie z tej zakazanej krainy, ale do czego jestem wam potrzebny?

— Zerwaliśmy z Numedidesem — powiedział Trocero. — Mamy dosyć jego głupoty i ucisku; potrzebujemy generała, który pokierowałby buntem. Wybraliśmy ciebie!

Conan wybuchnął śmiechem, podpierając się pod boki.

— Miło słuchać, kiedy ktoś mówi do rzeczy. Prowadźcie do boju, przyjaciele!

Rozejrzał się wokół i jego wzrok padł na Belesę, stojącą skromnie na uboczu. Z szorstką galanterią wskazał ją gestem ręki.

— Panowie, to lady Belesa z Korzettów. Potem przemówił do dziewczyny w jej języku.

— Możemy cię zabrać do Zingary, ale co będziesz tam robić?

Bezradnie potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Nie mam pieniędzy ani przyjaciół, a nie umiem zarabiać na życie. Może byłoby lepiej, gdyby jedna z tych strzał trafiła mnie w serce.

— Nie mów tak, pani! — błagała Tina. — Będę pracować na nas obie!

Conan wyjął z pasa małą skórzaną sakiewkę.

— Nie zdobyłem klejnotów Tothmekriego — burknął — ale tu mam kilka błyskotek z kufra, z którego wyjąłem rzeczy, jakie mam na sobie.

Wysypał na dłoń kilka skrzących się rubinów.

— Są warte fortunę.

Wsypał je z powrotem do woreczka i podał dziewczynie.

— Nie mogę przyjąć takiego... — zaczęła.

— Oczywiście, że je przyjmiesz! Gdybym zostawił cię bez grosza w Zingarze, to tak jakbym zostawił cię na pastwę Piktom — rzekł. — Wiem, co to oznacza, kiedy ktoś znajdzie się bez grosza w hyboryjskiej krainie. W moim kraju znamy uczucie głodu, lecz ludzie chodzą głodni tylko wtedy, gdy w ogóle nie ma co jeść. Tymczasem w cywilizowanych krajach widziałem ludzi chorych z przeżarcia, podczas gdy inni konali z głodu. Tak, widziałem, jak ludzie upadali i umierali z głodu pod ścianami sklepów i magazynów pełnych żywności. Czasem ja też byłem głodny, lecz wtedy zdobywałem jedzenie pod groźbą miecza. Jednak ty nie mogłabyś tak robić. Weź zatem te rubiny. Możesz je sprzedać i kupić sobie zamek, niewolników i piękne stroje, a z tym bez trudu znajdziesz męża, ponieważ wszyscy cywilizowani ludzie pragną żon posiadających te rzeczy.

— A co z tobą?

Conan uśmiechnął się i wskazał na otaczających go Akwilończyków.

— Oto moja fortuna. Z takimi przyjaciółmi będę miał u swych stóp całą Akwilonię.

Poważny Publiusz wtrącił się do ich rozmowy:

— Twoja hojność przynosi ci zaszczyt, Conanie, ale wolałbym, abyś najpierw omówił to ze mną. Rewolucje robi się nie tylko złymi uczynkami, ale i złotem, a urzędnicy Numedidesa tak zrujnowali Akwilonię, że trudno będzie nam zdobyć pieniądze, aby wynająć wojska.

— Ha! — zaśmiał się Conan. — Dam wam tyle złota, że wystarczy na wynajęcie każdego miecza w Akwilonii!

W kilku słowach opowiedział im o skarbie Tranikosa i zniszczeniu osady Valenso.

— Teraz demona nie ma już w jaskini, a Piktowie rozejdą się do swoich wiosek. Z oddziałem dobrze uzbrojonych ludzi możemy zrobić szybki wypad do groty i wrócić, zanim dzicy połapią się, że tu jesteśmy. Idziecie ze mną?

Zaczęli wiwatować, aż Belesa przeraziła się, że ich krzyki zwrócą uwagę Piktów. Conan spojrział na nią nieśmiało i korzystając z zamętu, mruknął po zingarańsku:

— Jakby ci się podobało, gdyby mówiono do mnie „królu Conanie”? Nieźle brzmi, prawda?

WILKI NA GRANICY

Bunt wybuchł z siłą huraganu. Podczas gdy rycerze i szlachta w lśniących zbrojach walczą na równinach Akwilonii, na piktyjskiej granicy toczy się bezlitosna wojna między zwolennikami Conana a poplecznikami Numedidesa. Piktowie, oczywiście, korzystają z okazji.

Oto opowieść o wydarzeniach, jakie miały miejsce na tej targanej wojną Ziemi, przekazana przez jednego z tych, którzy uszli z życiem. Era Hyboryjska była epoką niezwykłych zdarzeń w różnych miejscach i czasach, nie tylko tam, gdzie pojawiał się Conan.

1

Obudziło mnie dudnienie bębna. Wciąż leżałem w zaroślach, w których się schroniłem i wyteżałem słuch, by umiejscowić źródło dźwięku, gdyż takie odgłosy w głębi puszczy potrafią bardzo mylić. W otaczającym mnie gęstym lesie nie słyszałem nawet szmeru. Nade mną nachylały się splecione pnącza i krzaki jeżyn, tworząc zwarty dach, a nad nimi wznosiły się wysokie, mroczne łuki gałęzi wielkich drzew. Światło gwiazd nie przedzierało się przez sklepienie liści. Nisko wiszące chmury zdawały się ocierać o czubki drzew. Noc była bezksiężycowa, straszna jak nienawiść czarownicy.

Tym lepiej dla mnie. Jeśli nie mogłem dojrzeć moich wrogów, to i oni nie mogli dostrzec mnie. Jednak złowieszczy łoskot bębna niósł się wśród ciemności: bum! bum! bum! — monotonnym rytmem, mruczając i warcząc jakieś okropne tajemnice. Nie miałem wątpliwości.

Tylko jeden instrument wydaje taki głuchy, złowrogi, ponury łomot: piktyjski bęben wojenny, uderzany rękami tych dzikich, pomalowanych barbarzyńców, zamieszkujących głąsę za zachodnią granicą.

A ja znajdowałem się za tą granicą, sam, ukryty w ciernistym gąszczu pośród wielkiego

lasu, który od niepamiętnych czasów był królestwem tych dzikusów.

Wreszcie umiejscowiłem dźwięk; bęben dudnił na zachód od mojej kryjówki i — jak sądziłem — całkiem niedaleko. Po omacku, szybko poprawiłem pas, sprawdziłem, czy topór i nóż łatwo wysuwają się z wyszywanych paciorkami pochw, napiąłem mój tęgi łuk i upewniłem się, że kołczan ze strzałami dobrze trzyma się na lewym biodrze. Potem wyczołgałem się z zarośli i zacząłem się skradać w kierunku, z którego dobiegało bębnienie. Nie sądziłem, żeby miało to coś wspólnego ze mną. Gdyby leśni ludzie odkryli moją obecność, oznajmiliby mi o tym niespodziewanym pchnięciem noża, a nie łoskotem bębna. Jednak żaden tropiciel nie mógł zignorować tego odgłosu. Ten dźwięk niósł ostrzeżenie i groźbę, zapowiedź zguby dla intruzów, których samotne chaty i wyrąbane w lesie poletka zagrażały odwiecznej ciszy lasu. Oznaczał pożogę i tortury, płonące strzały sypiące się z ciemności niczym spadające gwiazdy oraz topory wbijające się w czaszki mężczyzn, kobiet i dzieci.

Tak więc ruszyłem nocą przez ciemny las, ostrożnie wymacując drogę wśród potężnych pni; chwilami pełzłem na czworakach, a czasem czułem serce podchodzące do gardła, gdy jakieś pnącze otarło się o moją twarz lub rękę. W tej puszczy żyją olbrzymie węże, które czasami zaczepiają się ogonem o gałęzie i tak czyhają na swoje ofiary. Jednak stworzenia, które podchodziłem, były groźniejsze od żmij i w miarę jak dudnienie bębna stawało się głośniejsze, szedłem coraz ostrożniej, jakbym stąpał po obnażonych mieczach. I w końcu dostrzegłem czerwony błysk wśród drzew i usłyszałem pomruk głosów mieszający się z monotonnym łoskotem.

Jakakolwiek upiorna ceremonia miała miejsce pod tymi drzewami, było bardzo prawdopodobne, że wokół wystawiono strażę; a wiedziałem, jak cicho i nieruchomo Pikt potrafi stać na warcie, wtapiając się w leśny gąszcz i ujawniając swoją obecność dopiero

wbitym w serce ofiary ostrzem. Dreszcz przebiegł mi po plecach na myśl o spotkaniu z jednym z tych ponurych strażników; wyjąłem nóż i trzymałem go w wyciągniętej ręce.

Jednak wiedziałem, że nawet Pikt nie zdołałby dostrzec mnie w tych ciemnościach, zalegających pod splątanymi konarami drzew i pod zasnutym chmurami niebem.

Światło okazało się blaskiem ogniska, wokół którego kręciły się czarne postacie, jak diabły krążące wśród piekielnych ogni. Wreszcie przyczałem się w gąszczu modrzewi i spojrzałem na okoloną czarnymi ścianami lasu polankę oraz na poruszające się na niej sylwetki.

Czterdziestu lub pięćdziesięciu Piktów, odzianych tylko w przepaski biodrowe i odrażająco wymalowanych, przysiadło tyłem do mnie szerokim półokręgiem, spoglądając na ognisko. Po sokolich piórach w ich gęstych, czarnych włosach poznałem, że należeli do plemienia Sokołów — Onayaga. Na środku polany stał prymitywny ołtarz usypany z kamieni i na ten widok znów dreszcz przebiegł mi po plecach, bowiem widziałem już na odludnych leśnych polanach te piktyjskie ołtarze, osmolone ogniem i zbroczone krwią. I chociaż nigdy nie byłem świadkiem odprawianych przy nich obrzędów, słyszałem opowieści o nich z ust ludzi, którzy byli jeńcami Piktów albo szpiegowali ich tak, jak teraz ja to robiłem.

Ozdobiony piórami szaman tańczył między ogniskiem a ołtarzem powolny, niezgrabny i nieopisanie groteskowy taniec, w którym jego pióropusz kołysał się i zawijał. Twarz miał ukrytą za szczyrzącą zęby, szkarłatną maską, która wyglądała jak oblicze leśnego demona. Jeden z siedzących półokręgiem wojowników trzymał między nogami bęben i gdy uderzał weń zaciśniętą pięścią, instrument wydawał ten niski, warczący pomruk przypominający odgłos odległego grzmotu.

Między wojownikami a tańczącym szamanem stał człowiek, który nie był Piktem. Był równie wysoki jak ja, a w blasku ogniska jego skóra wydawała się niezwykle jasna. Odziany był jedynie w nogawkę i mokasyny z jeleniej skóry, miał pomalowane ciało, a we włosy wetknięte sokole pióro. Domyśliłem się, że musi być jednym z Liguryjczyków, tych

jasnoskórych dzikusów, którzy zamieszkują w małych klanach te rozległe puszcze, zwykle walcząc z Piktami, ale czasem zawierając pokój i sprzymierzając się z nimi. Ich skóra jest równie biała jak Akwilończyków. Piktowie również są biali w tym sensie, że nie mają skóry czarnej, brązowej czy żółtej; jednak są czarnoocy, czarnowłosi i smągłoskórzy. Ani ich, ani Liguryjczyków mieszkańcy Westermarcku, nie uważają za „białych”, pojęcie to rezerwując jedynie dla ludzi należących do hyboryjskiej rasy.

Zobaczyłem, jak trzech wojownicy przywlekli w krąg światła rzucanego przez ognisko innego człowieka — również Pikta, nagiego i zalanego krwią, który wciąż miał we włosach pióro, świadczące, że należy do klanu Kruków, z którymi Sokoły toczyły nieustanną wojnę. Prześladowcy rzucili go na ołtarz. Nieszczęśnik miał związane ręce i nogi; widziałem, jak jego mięśnie napinają się i drżą w blasku płomieni, gdy daremnie próbuje zerwać rzemienne pęta.

Potem szaman znów zaczął tańczyć, kreśląc skomplikowane wzory nad ołtarzem i leżącym na nim mężczyzną; ten, który trzymał bęben, wprowadził się w stan bliski szaleństwa, waląc w instrument jak człowiek opętany przez demony. Nagle z nisko zwieszonych gałęzi zsunęła się jedna z tych ogromnych żmij, o których wspominałem. Gdy pełzła w kierunku ołtarza, jej łuski lśniły w blasku ogniska, paciorkowate ślepia błyszcząły, a rozdwójony język wysuwał się i chował, lecz wojownicy nie okazywali strachu, chociaż minęła ich w odległości dwóch metrów. Zdziwiło mnie to, ponieważ zazwyczaj żmije te są jedynymi żywymi stworzeniami, jakich lękają się Piktowie.

Potwór wygiął szyję i podniósł łeb nad ołtarzem, spoglądając na szamana ponad ciałem więźnia. Czarownik płasał, machając rękami i ledwie poruszając nogami, a wielki wąż wił się razem z nim, kołysząc się i chwiejąc jak zaklęty. Gdy zza maski szamana wydobyło się upiorne wycie, które poniosło się jak szum wiatru wśród suchych trzcina na moczarach, wielki gad powoli uniósł się wyżej i wyżej, oplatając ołtarz i leżące tam człowieka, aż całe ciało Pikta zniknęło pod lśnącymi zwojami i widać było jedynie głowę, nad którą kołysał się ten straszliwy łeb. Pisk szamana podniósł się do przeraźliwego, triumfalnego wrzasku i czarownik cisnął coś w ogień. Gęsta chmura dymu popłynęła w kierunku ołtarza, niemal skrywając gada oraz jego

ofiary i sprawiając, że ich sylwetki stały się niewyraźne i zamglone. Jednak pośród tego dymu dostrzegłem przerażającą przemianę — obie sylwetki jakby zlewały się i stapiały ze sobą, tak że przez chwilę nie byłem w stanie rozróżnić, gdzie znajduje się człowiek, a gdzie żmija.

Piktowie wydali jęk strachu, który zabrzmiał jak świst wichru wśród suchych gałęzi.

Potem dym rozwiął się i widząc węża leżącego bezwładnie na ołtarzu, pomyślałem, że obaj uczestnicy tego ponurego obrzędu nie żyją. Jednak szaman chwycił żmiję za kark i odwinął jej wiotkie cielsko z ołtarza, tak że ześlizgnęło się na murawę, po czym zepchnął leżącego tam człowieka i przeciął mu rzemienie na rękach i nogach.

Później znów zaczął płaszać wokół nich, zawodząc i szaleńczo wymachując rękami. W

końcu mężczyzna poruszył się. Jednak nie podniósł się z ziemi. Kołysał głową na boki i

zobaczyłem, że raz po raz wysuwa i chowa język. I, na Mitrę! — zaczął więc się i uciekać od ognia, pełznąc na brzuchu jak wąż!

Wąż zaś nagle zadrżał konwulsyjnie, wygiął kark i uniósł się niemal na całą swą długość,

po czym znów opadł, zwój za zwojem, i znowu daremnie próbował się podnieść, jak

pozbawiony kończyn człowiek, który na próżno usiłuje wstać i chodzić.

Dziki wycie Piktów przeszło mrok nocy, a ja, ukryty w gąszczu, poczułem gwałtowne

mdłości i z trudem powstrzymywałem wymioty. Teraz zrozumiałem sens tej okropnej

ceremonii. Opowiadano mi o niej. Za pomocą jakiejś czarnej magii, .zrodzonej i uprawianej w tej pierwotnej dżungli, wymalowany szaman przeniósł duszę pojmanego wroga w ciało

obrzydliwego gada. To była potworna zemsta. Wrzask oszalałych od żądzы krwi Piktów niósł

się niczym wycie wszystkich demonów Piekieł.

Ofiary, człowiek i żmija, wiły się i skręcały obok siebie, aż w ręku szamana błysnął miecz i obie głowy spadły jednocześnie, przy czym — o bogowie! — korpus żmii drgał przez

chwilę, by w końcu znieruchomieć, zaś ciało mężczyzny wiło się, skręcało i miotalo jak gad z uciętym łbem. Poczułem się okropnie słaby i chory, bo jakimż cywilizowanym człowiekiem

nie wstrząsnąłby widok takiego diabelstwa? Ci pomalowani na wojenne barwy dzicy, wyjący,

skaczący i triumfujący z powodu okropnej zguby, jaka spotkała ich wroga nie wydawali mi

się ludzkimi istotami, lecz ohydnyimi bestiami ciemności, które należało wybić do nogi.

Szaman podskoczył i obróciwszy się twarzą do kręgu wojowników, zerwał maskę, podniósł głowę i zawył jak wilk. A gdy blask ognia oświetlił jego twarz, rozpoznałem go i całe przerażenie oraz odraza ustąpiły miejsca szewskiej pasji. Zapomniałem o grożącym mi niebezpieczeństwie oraz o zadaniu, które miałem wykonać. Tym szamanem był bowiem stary Teyanoga z plemienia Południowych Sokołów, ten, który spalił żywcem syna mojego przyjaciela, Jona Galtera.

W przypiływie nienawiści działałem niemal instynktownie — w okamgnieniu chwyciłem łuk, założyłem strzałę i wypuściłem ją. Oświetlenie było skąpe, ale odległość niewielka, a my z Westermarcku rodzimy się z łukiem w dłoni. Stary Teyanoga miauknął jak kot i zatoczył się w tył, a jego wojownicy zawyli ze zdumienia, widząc strzałę, która wbiła się w jego pierś.

Wysoki, jasnoskóry wojownik obrócił się błyskawicznie, tak że po raz pierwszy ujrzałem jego twarz i — na Mitrę! — zobaczyłem, że był Hyboryjczykiem.

Szok wywołany tym odkryciem sparaliżował mnie na moment i o mało nie spowodował mojej śmierci. Piktowie natychmiast zerwali się z ziemi i skoczyli w las jak pantery, szukając wroga, który wypuścił strzałę. Dopadli już skraju zarośli, gdy otrząsnąłem się z odrętwienia spowodowanego zdumieniem i odrazą. Skoczyłem w ciemność i pognałem jak szalony, klucząc wśród drzew, które w tych kompletnych ciemnościach omijałem tylko instynktownie. Wiedziałem, że Piktowie nie znaleźli moich śladów, lecz ścigają mnie na oślep. Po chwili, biegnąc na północ, usłyszałem za plecami przeraźliwe wycie, tak przepojone żądzą krwi, że mogło zmrozić krew w żyłach nawet zahartowanego tropiciela. Domyśliłem się, że wyjęli moją strzałę z piersi szamana i poznali hyboryjską robotę. Teraz ruszą za mną ze zdwojoną zaciekłością.

Gnałem przed siebie, a serce waliło mi jak młotem ze strachu, wzburzenia i zgrozy wywołanej koszmarną sceną, której byłem świadkiem. Fakt, że Hyboryjczyk mógł być mile widzianym i najwidoczniej szanowanym — bowiem widziałem nóż i topór u jego pasa — gościem Piktów, wydał mi się tak potworny, że zastanawiałem się, czy wszystko to nie było tylko sennym koszmarem. Jeszcze żaden biały człowiek nie był bowiem świadkiem tańca

Przemiany, oprócz jeńców lub szpiegów takich jak ja. Nie miałem pojęcia, o czym to świadczy, jednak na samą myśl naszły mnie złe przeczucia i obawy.

Przerażenie sprawiło, iż nie poruszałem się tak ostrożnie jak zwykle, rezygnując z rozwagi na korzyść pośpiechu, więc od czasu do czasu wpadałem na drzewo, które mógłbym ominąć, gdybym bardziej uważał. Nie wątpię, iż to odgłosy tej pospiesznej ucieczki ściągnęły mi na kark tego Pikta, ponieważ inaczej nie zdołałby mnie wypatrzeć w tych ciemnościach.

Z tyłu nie słyszałem już kolejnych wrzasków, lecz wiedziałem, że Piktowie jak żądne krwi wilki pędzą szerokim półkolem, przeczesując las. Cisza wskazywała na to, że wpadli na mój ślad, gdyż dzicy wrzeszczą tylko wtedy, kiedy czują, iż ofiara jest tuż przed nimi i gdy są pewni, że im nie ujdzie.

Wojownik, który usłyszał odgłosy mojej ucieczki, nie mógł uczestniczyć w obrzędzie, ponieważ znajdował się zbyt daleko od polany. Musiał być zwiadowcą, krążącym po lesie na północ od polany i pilnującym, aby nikt nie zaskoczył jego kamratów.

W każdym razie usłyszał, jak przebiegłem blisko niego i ruszył za mną jak demon ciemności. Zdałem sobie sprawę z jego obecności, gdy doszedł do moich uszu szybki tupot jego bosych stóp, a kiedy odwróciłem się, nawet nie zdołałem dostrzec jego sylwetki, słyszałem tylko cichy szelest, zbliżający się do mnie w mroku.

Dzicy widzą w ciemności jak koty i ten na pewno zdołał mnie zauważyć, chociaż musiałem być dlań jedynie niewyraźną plamą. Machnąłem na oślep toporem, odbijając cios noża i rozpędzony Pikt sam nadział się na mój nóż, a jego agonalne wycie odbiło się tysiąckrotnym echem wśród drzew. Odpowiedziała mu dzika wrzawa dobiegająca z południa, zaledwie kilkaset metrów ode mnie; w następnej chwili dzicy pędzili ku mnie przez chaszczę, wyjąc jak wilcze stado pewne swojej zdobyczy.

Teraz biegłem, ile sił w nogach, zapominając o wszelkiej ostrożności i ufając, że me szczęście nie dopuści, abym rozbił sobie czaszkę o pień jakiegoś drzewa.

Jednak las tutaj jakby się przerzedził; nie było już zarośli, a przez gałęzie sączyło się słabe światło, gdyż niebo zaczęło się przecierać z chmur. Pędziłem przez ten las jak potępiona

dusza ścigana przez demony, słysząc, jak wyją coraz głośniejsze, ogarnięci szałem i żądzą krwi, a potem gniewem i wściekłością, gdy zaczęli zostawać w tyle, gdyż w takim wyścigu żaden

Pikt nie może dorównać tropicielowi. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że gdyby przede mną znajdowali się inni ich zwiadowcy lub oddziały wojowników, bez trudu odcięliby mi drogę, lecz takie ryzyko musiałem podjąć. Jednak żadna pomalowana postać nie wyłoniła się z krzaków przede mną i w końcu przez gęstniejące zarośla, które zapowiadały bliskość strumienia, dojrzałem w oddali błysk światła i zrozumiałem, że to fort Kwanyara, najdalej wysunięty na południe przyczółek Schohiry.

2

Może zanim przejdę do dalszych wydarzeń tych krwawych lat, powinienem powiedzieć coś więcej o sobie oraz o powodach, dla których samotnie nocą przekroczyłem piktyjską granicę.

Jestem synem Gaulta Hagara. Urodziłem się w prowincji Conajohara. Jednak dwa lata przed opisywanymi tu wydarzeniami Piktowie przedarli się przez Czarną Rzekę, napadli na fort Tuscelan, zabijając wszystkich jego obrońców prócz jednego, i zepchnęli wszystkich osadników na wschód, za Rzekę Gromu. Conajohara znów stała się częścią dziczy, zamieszkaną jedynie przez dzikie zwierzęta i jeszcze dzikszych ludzi. Lud Conajohary rozproszył się po Westermarcku, Schohirze, Conawadze lub Oriskonie; jednak wielu z nas — a pośród nich moja rodzina — udało się na południe i osiadło w pobliżu fortu Thandhara, samotnym posterunku nad Rzeką Bojowego Rumaka. Później dołączyli do niej inni osadnicy, dla których stare prowincje okazały się zbyt gęsto zaludnione. W rezultacie powstał obszar zwany Wolną Prowincją Thandary, ponieważ w przeciwieństwie do innych prowincji, które były królewskim podarunkiem dla wielkich panów i zostały przez nich zasiedlone, nasza została wyrwana głuszy przez samych pionierów, bez pomocy akwilońskich wielmożów. Nie płaciliśmy podatków żadnym baronom. Naszym rządcą nie był człowiek wyznaczony przez

jakiegoś lorda, lecz wybrany przez nas i spośród nas, odpowiadający jedynie przed królem.

Sami budowaliśmy i obsadzaliśmy nasze forty, radząc sobie tak w czasie pokoju, jak i wojny.

A Mitra wie, iż wojna toczyła się tu nieustannie, ponieważ między nami a naszymi sąsiadami — dzikimi Piktami ze szczepów Panter, Aligatorów i Wydr — nigdy nie panował pokój.

Jednak dobrze nam się wiodło i rzadko zastanawialiśmy się nad tym, co dzieje się we wschodnich prowincjach królestwa, skąd przybyli nasi dziadowie. Lecz ledwie zdołaliśmy się tam usadowić, gdy wypadki mające miejsce w Akwilonii wpłynęły i na nasze życie w tej dziczy. Nadeszły wieści o wojnie domowej i wojowniku, który powstał, aby zrzucić z tronu przedstawiciela prastarej dynastii. Od iskier tych starc cała granica stanęła w ogniu, sąsiad zwrócił się przeciw sąsiadowi, a brat przeciw bratu. Rycerze w lśniących zbrojach walczyli i umierali na równinach Akwilonii, a ja podążałem samotnie przez połacie dziczy dzielącej

Thandarę od Schohiry z wieścią, która miała wpłynąć na dzieje całego Westermarcku.

Fort Kwanyara był małym posterunkiem, prostokątnym budynkiem otoczonym palisadą z

bali, który stał na brzegu Strumienia Noża. Ujrzałem flagę łopoczącą na tle blad różowego, porannego nieba, ale oprócz sztandaru prowincji na maszcie nie było żadnego innego

proporca. Królewski sztandar, który powinien tam powiewać, nie został wciągnięty. Mogło to oznaczać wiele albo zupełnie nic. My, mieszkańcy pogranicza, niezbyt dbamy o zachowanie manier i etykiety, które tak wiele znaczą dla rycerzy na równinach.

Wczesnym świtem, brodząc przez mielizny, przechodziłem przez Strumień Noża, gdy

wartownik na drugim brzegu — wysoki mężczyzna w stroju z jeleniej skóry — krzyknął, bym się zatrzymał. Kiedy dowiedział się, że przybywam z Thandary, zawołał „Na Mitrę!” i dodał:

— Musisz przybywać w pilnej sprawie, skoro przeszedłeś przez puszcę, a nie dłuższą drogą.

Thandara bowiem — jak już wspomniałem — leżała z dala od innych prowincji, a między nią i stepami Bossonii ciągnęła się Mała Puszcza. Wokół niej wiódł szlak prowadzący ku stepom i dalej, do innych prowincji, lecz ta droga była znacznie dłuższa i niedogodna.

Potem wartownik zapytał mnie o wieści z Thandary, lecz odpowiedziałem mu, że niewiele

wiem o ostatnich wydarzeniach, ponieważ właśnie wróciłem z długiej wyprawy do Krainy Wydr. Kłamałem, ale nie miałem pojęcia, kogo popierają mieszkańcy Schohiry, więc nie miałem zamiaru wyjawiać swoich poglądów, dopóki się tego nie dowiem. Później zapytałem go, czy syn Hakona Stroma jest teraz w formie, a on odpowiedział, że człowieka, którego szukam, nie ma teraz w Kwanyarze, lecz znajdę go w Schondarze — mieście leżącym kilka mil dalej na wschód.

— Mam nadzieję, że Thandara opowie się za Conanem — rzekł, dodając przekleństwo — ponieważ nie ukrywam, że takie są nasze sympatie. Tylko moje przekłete szczęście zatrzymuje mnie tu z garstką strażników pilnujących granicy przed napadami Piktów.

Oddałbym mój łuk i strój myśliwski, aby być z naszą armią, która w tej chwili znajduje się pod Theniteą nad strumieniem Ogaha, czekając na atak Brocasa z Torh i jego przeklętych renegatów.

Nic nie odparłem, ale zdumiałem się. Dowiedziałem się naprawdę ważnych wieści. Baron Torh był panem Conawagi, a nie Schohiry, którą rządził lord Thasperas z Kormon.

— A gdzie jest Thasperas? — spytałem, a strażnik odpowiedział mi, zanim zdążył pomyśleć:

— W Akwilonii, walczy u boku Conana.

I zaraz spojrzał na mnie zwężonymi oczami, jakby zastanawiając się, czy nie jestem szpiegiem.

— Czy znajdzie się w Schohirze człowiek — zacząłem — który jest w takich stosunkach z Piktami, że może nagi i wymalowany przebywać pośród nich i uczestniczyć w ich krwawych rytuałach?

Urwałem, widząc wściekłość wykrzywającą twarz rozmówcy.

— Niech cię diabli — rzekł, dławiąc się ze złości. — Czy przychodzisz tutaj, aby nas obrażać?

Istotnie, nazwanie kogoś renegatem było najgorszą zniewagą dla każdego mieszkańca

Westermarcku, chociaż wcale nie to miałem na myśli. Jednak widząc, że ten człowiek nic nie wie o spotkanym przeze mnie zdrajcy, i nie mając ochoty zdradzać mu tej informacji,

wyjaśniłem tylko, że źle mnie zrozumiał.

— Dobrze cię rozumiałem — odparł, trzęsąc się ze złości. — Gdyby nie twoja smagła skóra i południowy akcent, uznałbym cię za szpiega z Conawagi. Jednak szpieg czy nie szpieg, nie masz prawa obrażać w taki sposób mieszkańców Schohiry. Gdybym nie był na służbie, zdjąłbym mój pas z bronią i pokazałbym ci, jacy ludzie tu mieszkają.

— Nie szukam zwady — powiedziałem. — Jednak udaję się do Schondary, gdzie nietrudno będzie mnie znaleźć, jeśli ktoś zechce. Jestem synem Gaulta Hagara.

— Przybędę tam niebawem — odparł ponuro. — Jestem synem Otho Gorma i znają mnie w Schohirze.

Zostawiłem go przechadzającego się wzdłuż brzegu oraz macającego rękojeść swego miecza i topora, jakby miał ochotę wypróbować ich ostrza na mojej głowie. Szerokim łukiem ominąłem mały fort, aby uniknąć innych zwiadowców i patroli, bowiem w tych niespokojnych czasach z łatwością mogłem zostać wzięty za szpiega. Nawet w tępej głowie tego syna Otho Gorma zaczęła się rodzić taka myśl, zanim nie zapomniał o niej pod wpływem urazy wywołanej wymagowaną obelgą. A kiedy się ze mną pokłócił, poczucie honoru nie pozwoliłoby mu zaarrestować mnie jako podejrzanego o szpiegostwo — nawet gdyby mu to przyszło do głowy. W normalnych okolicznościach nikt nie próbowałby zatrzymywać czy przesłuchiwać Hyboryjczyka przekraczającego granicę — ale teraz panowało okropne zamieszanie; najwyraźniej namiestnik Conawagi napadał na domeny swoich sąsiadów. W promieniu kilkuset metrów wokół fortu wycięto drzewa i krzewy, które w tej odległości otaczały go zwartym murem. Szedłem ukryty za tą ścianą zieleni, omijając otwartą przestrzeń; nie napotkałem nikogo, nawet gdy przecinałem ścieżki prowadzące do fortu.

Kierowałem się na wschód, unikając pól i farm. Słońce stało już nisko na niebie, kiedy ujrzałem dachy Schondary.

Las kończył się około pół mili od miasta, dość sporego jak na pogranicze — z porządnymi domami, przeważnie z ociosanych bali, lecz także z kilkoma zrębowymi budynkami, jakich nie ma u nas, w Thandarze. Jednak wokół osady nie zauważyłem nawet rowu czy palisady, co mnie bardzo zdziwiło. My w Thandarze budujemy nasze siedziby zarówno jako domostwa, jak i warownie, i chociaż w całej prowincji nie znalazłbyś osady większej od wioski — gdyż kraina ta została dopiero niedawno zasiedlona — to każda chata jest jak mała forteca.

Na prawo od wioski ujrzałem stojący pośród łąk, otoczony palisadą i fosą fort oraz balistę zamocowaną na wysokiej platformie. Forteca była trochę większa od fortu Kwanyara, jednak na palisadzie nie zauważyłem wielu strażników. Nad palisadą powiewał jedynie proporzec z rozkładającym skrzydła sokołem Schohiry. Zastanawiałem się, dlaczego — jeśli Schohira opowiedziała się za Conanem — nie wywiesili jego flagi ze złotym lwem na czarnym tle, sztandaru regimentu, którym dowodził jako generał akwilońskich najemników.

Po przeciwnej stronie, na skraju lasu, dostrzegłem duży, kamienny dom stojący pośród ogrodów i sadów. Domyśliłem się, iż jest to posiadłość lorda Valeriana, najbogatszego ziemianina w zachodniej Schohirze. Nigdy go nie spotkałem, ale wiedziałem, że jest bogaty i potężny. Jednak teraz dwór — jak nazywano siedzibę — wyglądał na opuszczony.

Miasto, chociaż widziałem wiele kobiet i dzieci, również wydawało się dziwnie opustoszałe; doszedłem do wniosku, że w tym bezpiecznym miejscu mężczyźni umieścili swoje rodziny. Nie zauważyłem wielu zdolnych do noszenia broni. Gdy szedłem ulicą, towarzyszyło mi wiele podejrzliwych spojrzeń, ale nikt nie odezwał się do mnie, chyba żeby krótko odpowiedzieć na moje pytania.

W tawernie siedziało tylko kilku starców i kalek, którzy kulili się za zalanymi piwem stołami i rozmawiali ściszym głosem. Kiedy stanąłem w progu gospody w moim znoszonym stroju z kozłej skóry, rozmowy ucichły i wszyscy spojrzeli na mnie w milczeniu.

Jeszcze głębsza cisza zapadła, kiedy spytałem o syna Hakona Stroma. Gospodarz odpowiedział mi, że Hakon zaraz po wschodzie słońca pojechał do Thenitei, gdzie obozowały oddziały pospolitego ruszenia, ale niebawem wróci. Ponieważ byłem głodny i zmęczony, zjadłem posiłek, czując skierowane na mnie spojrzenia, a potem położyłem się w kącie na dostarczonej przez karczmarza niedźwiedziej skórze i zasnąłem. Spałem jeszcze, gdy tuż przed zachodem słońca wrócił syn Hakona Stroma.

Był wysokim mężczyzną, smukłym i barczystym jak większość mieszkańców Zachodu, odzianym — podobnie jak ja — w myśliwską bluzę z kozłej skóry, obszyte frędzlami nogawice i mokasyny. Razem z nim przybyło pół tuzina strażników, którzy zasiedli przy stole w pobliżu drzwi, obserwując jego i mnie znad swoich dzbanów z piwem.

Kiedy wyjaśniłem, kim jestem i powiedziałem, że mam dla niego wiadomość, spojrzał na mnie uważnie i zaprosił do swego stołu w rogu izby, gdzie gospodarz przyniósł nam naczynie pełne pianistego piwa.

— Czy otrzymaliście jakieś wiadomości o tym, jak mają się sprawy w Thandarze? — zapytałem.

— Nic pewnego, tylko plotki.

— Bardzo dobrze — rzekłem. — Przynoszę ci wieści od syna Branta Drago, zarządcy Thandary, oraz rady kapitanów, a ten znak upewni cię, że jestem tym, za kogo się podaję. Mówiąc to, zanurzyłem palec w pianistym piwie i nakreśliłem na blacie stołu znak, który natychmiast starłem. Mój rozmówca skinął głową, a w jego oczach pojawiło się zainteresowanie.

— Oto wieści, które ci przynoszę — powiedziałem. — Thandara opowiedziała się za Conanem i jest gotowa wspomóc jego przyjaciół oraz zniszczyć jego wrogów.

Słyszając to, syn Hakona Stroma uśmiechnął się radośnie i mocno uściskał mi dłoń swoimi ciepłymi, stwardniałymi palcami.

— Dobrze! — zakrzyknął. — Jednak tego właśnie się spodziewałem.

— Któryż mieszkaniec Thandary mógłby zapomnieć Co — nana? — zauważyłem. — W Conajoharze byłem ledwie niedorostkiem, ale pamiętam go jako zwiadowcę i tropiciela.

Kiedy jego jeździec przybył do Thandary, obwieszczając, iż Poitain zbuntowało się, a Conan sięga po tron i prosi o nasze poparcie — a nie prosił o ochotników do swojej armii, tylko o naszą lojalność — odpowiedzieliśmy mu krótko: „Nie zapomnieliśmy Conajohary”. Potem ruszył przeciw nam baron At — elius, ale zastawiliśmy zasadzkę w Małej Puszczy i rozbiliśmy jego oddziały w puch. Myślę, że Thandara nie musi obawiać się teraz żadnej inwazji.

— Chciałbym to samo powiedzieć o Schohirze — rzekł ponuro. — Baron Thasperas przysłał nam wiadomość, iż możemy sami wybrać stronę, po której chcemy się opowiedzieć — on przyłączył się do Conana i jego armii buntowników. Jednak nie domagał się posiłków z Zachodu. Nie, zarówno on, jak i Conan dobrze wiedzą, że Westermarck potrzebuje każdego mężczyzny do obrony granicy. — Jednak wycofał swoje oddziały z fortów, więc obsadziliśmy je naszymi zwiadowcami. Mieliśmy tu kilka potyczek, szczególnie w takich miastach jak Coyaga, gdzie mieszka wielu ziemian, ponieważ niektórzy z nich trwali przy Numedidesie... No cóż, ci lojaliści albo umknęli do Conawagi ze swymi poplecznikami, albo poddali się i przysięgli, że pozostaną neutralni w swoich zamkach, tak jak lord Valerian z Schondary. Lojaliści, którzy uciekli, przysięgali, że wrócą i poderzną nam gardła. A ostatnio nadciągnął lord Brocas. — W Conawadze właściciele ziemscy i lord Brocas są po stronie Numedidesa. Słyszeliśmy okropne wieści o tym, jak traktują zwykłych ludzi, którzy wolą Conana.

Kiwnąłem głową, wcale tym nie zdziwiony. Conawaga była największą, najbogatszą i najgęściej zaludnioną prowincją całego Westermarcku, ze stosunkowo liczną oraz bardzo wpływową klasą utytułowanych właścicieli ziemskich, których w Thandarze nie było i — jeśli Mitra pozwoli — nigdy nie będzie.

— To jawna inwazja — rzekł Hakon. — Brocas rozkazał nam przysiąc wierność

Numedidesowi — temu psu! Sądzę, że ten czarnogęby dureń zamierza podporządkować sobie cały Westermarck i rządzić nim jako namiestnik Numedidesa. Z armią Akwilończyków, bossońskich łuczników, lojalistów z Co — nawagi oraz renegatów z Schohiry obozuje pod Coyagą, dziesięć mil za strumieniem Ogaha. Thenitea jest pełna uchodźców ze spustoszonego przez niego wschodu. — Nie obawiamy się go, chociaż ma przewagę liczebną. Żeby na nas uderzyć musi przekroczyć strumień, ale my ufortyfikowaliśmy zachodni brzeg Ogaha i zablokowaliśmy drogę jego konnicy.

— Dochodzimy do celu mojej misji — rzekłem. — Jestem upoważniony, aby zaproponować wam pomoc stu pięćdziesięciu thandarskich strażników. My w Thandarze jesteśmy jednomyślni i nie toczymy wewnętrznych sporów, jednak prowadzimy wojnę z piktyjskim plemieniem Panter i tylko tylu ludzi możemy tu przysłać.

— Ta wiadomość ucieszy komendanta fortu Kwanyara!

— Co? — zdziwiłem się. — To nie ty jesteś komendantem?

— Nie — odparł. — To mój brat, syn Dirka Stroma.

— Gdybym wiedział, jemu przekazałbym tę wiadomość — powiedziałem. — Syn Branta Drago sądził, iż ty dowodzisz Kwanyara. Jednak to nie ma znaczenia.

— Jeszcze jedno piwo — zawołał Hakon. — Potem ruszymy do fortu, żeby Dirk usłyszał przyniesione przez ciebie wieści z pierwszej ręki. Niech licho porwie dowodzenie fortem! Mnie wystarczy oddział strażników.

I w rzeczy samej Hakon jako człowiek zbyt lekkomyślny i gwałtowny, chociaż dzielny i wesoły towarzysz, nie nadawał się na dowódcę fortu ani żadnego większego oddziału.

— Zostało wam bardzo mało ludzi do pilnowania granicy — powiedziałem. — Co z Piktami?

— Dotrzymują zawartego pokoju — odparł. — Od kilku miesięcy oprócz normalnych potyczek na granicy panuje spokój.

— Dwór Valeriana wygląda na opuszczony.

— Lord Valerian mieszka w nim sam z kilkorgiem służby. Nikt nie wie, gdzie podziali się jego zbrojni. Jednak odprawił ich. Gdyby nie złożył przysięgi uważalibyśmy za konieczne umieszczenie go pod strażą, gdyż jest jednym z niewielu Hyboryjczyków, którzy mają posłuch u Piktów. Gdyby przyszło mu do głowy podburzyć ich do ataku na nas, byłoby nam trudno obronić się jednocześnie przed Piktami i armią Brocasa. Valerian ma posłuch u Sokołów, Rysi oraz Żółwi; często też odwiedzał wioski plemienia Wilków i powracał z życiem.

Jeśli Hakon mówił prawdę, było to niezwykle dziwne, gdyż wszyscy wiedzieli, jak dzikie są szczepy należące do sprzysiężenia znanego pod nazwą Wilków, zamieszkującego na zachodzie za terenami łowieckimi trzech pomniejszych plemion, które wymienił. Wilki przeważnie trzymały się z dala od granicy, lecz stanowiły stałe zagrożenie dla osad Schohiry. Hakon spojrzał na wchodzącego do gospody wysokiego mężczyznę w obcisłych spodniach, butach i szkarłatnym płaszczu.

— Oto lord Valerian — rzekł.

Popatrzyłem, drgnąłem i zerwałem się z ławy.

— To ten człowiek? — wykrzyknąłem. — Widziałem go zeszłej nocy na terytorium Piktów, w obozie Sokołów, jak oglądał taniec przemiany zmi!

Valerian usłyszał mnie i obrócił się błyskawicznie, blady jak ściana. Oczy zabłysły mu niczym ślepie pantery. Hakon też zerwał się na równe nogi.

— Co mówisz? — zawołał. — Lord Valerian przysiągł...

— Nie zważam na to! — krzyknąłem z wściekłością, ruszając ku wysokiemu szlachcicowi.

— Widziałem go ukryty w gąszczu modrzewi. Poznaję tę orlą twarz. Mówię wam, że był tam, nagi i pomalowany jak Pikt...

— Kłamiesz, przeklęty! — wrzasnął Valerian i odrzucając poły płaszcza, złapał za rękojeść miecza. Jednak zanim zdołał go wydobyć, doskoczyłem do niego i powaliłem na podłogę; złapał mnie oburącz za gardło, klnąc wściekle. Usłyszałem tupot nóg i widzowie rozdzielili nas, mocno przytrzymując pana, który stał blady i zdyszany, nadal ściskając chustę, zdartą z mojej szyi w czasie walki.

— Puśćcie mnie, psy! — szalał. — Zabierzcie ode mnie wasze brudne ręce! Rozpłatom łeb temu kłamcy!

— To nie kłamstwo — — powiedziałem nieco spokojniej. — Zeszłej nocy leżałem wśród modrzewi i patrzyłem, jak stary Teyanoga wyrwał duszę z ciała wodza Kruków i przeniósł ją do cielska nadrzewnej żmii. To moja strzała zabiła szamana. I widziałem tam ciebie — Hyboryjczyka — nagiego, pomalowanego i traktowanego jak członka plemienia.

— Jeśli to prawda... — zaczął Hakon.

— To prawda i tu macie dowód! — wykrzyknąłem. — Spójrzcie tu! Na jego pierś! Spod kubraka i koszuli, które rozdarły się podczas szamotaniny, na odsłoniętej piersi szlachcica widać było słaby ślad białej czaszki, malowanej przez Piktów tylko wtedy, gdy zamierzają wyruszyć przeciw Hyboryjczykom. Usiłował zmyć malunek, lecz piktyjskie farby nie schodzą tak łatwo.

— Rozbroić go — rozkazał blady jak płótno Hakon.

— Oddaj mi moją chustę — zażądałem, lecz jego lordowska mość splunął na mnie i wepchnął sobie ją za pazuchę.

— Dostaniesz ją z powrotem jako powróż na szyję, buntowniku — warknął.

Hakon stał niezdecydowany.

— Zabierzmy go do fortu — powiedziałem. — Oddamy go w ręce dowódcy. Jego udział w tańcu żmii z pewnością nie zwiastuje nic dobrego. Ci Piktowie byli pomalowani w barwy wojenne. Ten symbol na jego piersi oznacza, że zamierzał wziąć udział w walce, do jakiej się szykowali.

— Na Mitrę, to niewiarygodne! — zakrzyknął Hakon. — Hyboryjczyk napuszczający tych dzikusów na swoich sąsiadów i przyjaciół?

Valerian nie odezwał się słowem. Stał poblady między trzymającymi go za ramiona strażnikami; a jego cienkie, ściągnięte w wilczym grymasie wargi odsłaniały wyszczerzone zęby, a oczy pały piekielnym blaskiem, w którym dostrzegłem błyski szaleństwa.

Jednak Hakon nadal nie mógł się zdecydować. Nie odważył się wypuścić Valeriana, lecz obawiał się, jakie wrażenie zrobi na ludziach widok ich pana prowadzonego jako więźnia do fortu.

— Będą chcieli znać powód — argumentował. — A kiedy dowiedzą się, że spiskował z Piktami pomalowanymi w barwy wojenne, może wybuchnąć panika. Zamknijmy go w areszcie i sprowadźmy Dirka, żeby go przesłuchał.

— W takich sytuacjach jak ta wszelkie wahania są niebezpieczne — odparłem śmiało. — Jednak decyzja należy do ciebie. Ty tu dowodzisz.

Tak więc wyprowadziliśmy lorda ukradkiem tylnymi drzwiami. Było już ciemno, więc dotarliśmy do aresztu, nie zwracając uwagi ludzi, którzy przeważnie siedzieli już w swoich domach. Areszt, stojący nieco na uboczu mały barak z bali, składał się z czterech cel, przy czym tylko jedna była zajęta — przez tłustego łotrzyka zamkniętego na noc za pijaństwo i bijatykę na ulicy. Wytrzeszczył oczy na widok naszego więźnia.

Lord Valerian nie odezwał się ani słowem, gdy Hakon zamykał za nim kratę i wyznaczał jednego ze swych ludzi, aby stał na straży. Jednak w czarnych oczach lorda palił się piekielny błysk, jakby za maską swej bladej twarzy śmiał się z nas w demonicznym triumfie.

— Zostawiasz na warcie tylko jednego człowieka? — spytałem Hakona.

— A po co więcej? — rzekł. — Valerian nie zdoła się wydostać, a nikt mu nie pomoże.

Wydało mi się, że Hakon zbyt wiele rzeczy uznaje za oczywiste; jednakże nie była to moja sprawa, więc o nic więcej nie pytałem.

Poterp razem z Hakonem poszedłem do fortu i rozmawiałem tam z synem Dirka Stroma, dowódcą, który sprawował władzę w miasteczku pod nieobecność syna Jona Marko, namiestnika wyznaczonego przez lorda Thasperasa. Syn Jona Marko dowodził teraz pospolitym ruszeniem, stacjonującym w Thenitei. Wysłuchawszy mojej opowieści, Dirk

zasepił się i powiedział, że gdy tylko pozwolą mu na to jego obowiązki, pójdzie do więzienia przesłuchać lorda Valeriana, chociaż wątpił, aby ten coś wyjawiał, gdyż więzień pochodził z upartego i wyniosłego rodu. Dirk ucieszył się z pomocy zaoferowanej przez Thandarę i rzekł, że może znaleźć kogoś, kto zanieś tam odpowiedź, w której przyjmuje ofertę, jeśli ja chcę zostać przez jakiś czas w Schohirze — co też uczyniłem.

Potem wróciłem z Hakonem do tawerny, ponieważ zamierzaliśmy spędzić tam noc, a rankiem wyruszyć do Thenitei. Zwiadowcy śledzili ruchy oddziałów Brocasa i Hakon, który był tego dnia w thenitejskim obozie, powiedział, że Brocas nie zdradza ochoty, aby wyruszyć przeciwko nam, tak więc uznałem, iż czeka na uderzenie Valeriana i Piktów na granicę.

Jednak Hakon mimo tego, co mu powiedziałem, nadal w to wątpił przekonany, iż Valerian był u Piktów tylko z przyjacielską wizytą. Ja zauważyłem, że żaden Hyboryjczyk, choćby nie wiedzieć jak zaprzyjaźniony z Piktami, nigdy nie bywał dopuszczany do takich ceremonii jak taniec zmił — chyba że łączyło go z danym plemieniem braterstwo krwi.

3

Obudziłem się nagle i usiadłem na łóżku. Zarówno okno, jak i okiennice mojej komnaty były otwarte z powodu gorąca, ponieważ pokój był na poddaszu, a wokół gospody nie rosły żadne drzewa, po których złodziej mógłby dostać się na górę. Jednak zbudził mnie jakiś dźwięk i patrząc w okno, zobaczyłem na tle usianego gwiazdami nieba jakąś ogromną, niekształtną postać. Wyskoczyłem z łóżka, pytając kto tam i szukając po omacku topora — jednak stwór zaatakował mnie z przerażającą szybkością. Zanim zdążyłem dobrze stanąć na nogach, coś oplotło mi szyję, dusząc i dławiąc. Tuż przed oczami miałem okropny, zwierzęcy pysk

potwora, lecz ciemnościach mogłem dojrzeć jedynie parę czerwono gorejących ślepi i spiczasty łeb. W nozdrzach poczułem straszliwy, zwierzęcy smród.

Chwyciłem za jeden z przegubów potwora — nabrzmiały postronkami mięśni, był gruby i włochaty jak u małpy. Jednak w tej samej chwili znalazłem rękojeść topora i jednym ciosem rozplątałem czaszkę bestii. Puściła mnie i upadła, a ja odskoczyłem, krztusząc się i dygocząc na całym ciele. Znalazłem krzesiwo oraz hubkę i skrzesawszy ogień, zapaliłem świeczkę — po czym utkwiłem wzrok w stworzeniu leżącym na podłodze.

Wyglądem przypominało ono człowieka, poskręcane, zniekształconego i porośniętego gęstym futrem. Pazury miało długie i czarne, jak szpony bestii, a jego pozbawiona podbródka czaszka o niskim czole przypominała małpią. To był czakan, jeden z tych na półludzkich stworów mieszkających w głębi puszczy.

Usłyszałem pukanie do drzwi i głos Hakona pytającego, co się stało, więc otworzyłem mu drzwi. Wpadł do środka z toporem w dłoni i wytrzeszczył oczy na widok potwora.

— Czakan! — szepnął. — Widziałem je daleko na zachodzie, szukające naszych śladów w lasach — przeklęte ludojady! Co on ma w ręce?

Dreszcz zgrozy przebiegł mi po krzyżu, gdy zauważyłem, że stwór ścisnął w ręku kawał materiału — chustę, którą usiłował zacisnąć mi na szyi jak wisielczą pętlę.

— Słyszałem, że piktyjscy szamani chwytają te stworzenia, oswajają je i używają do tropienia swoich wrogów — rzekł wolno Hakon. — Tylko jak Valerian mógł przysłać tu tego czakana?

— Nie wiem — odparłem. — Jednak bestia dostała moją chustę i zgodnie ze swą naturą poszła moim tropem, zamierzając skrócić mi kark. Chodźmy do więzienia, i to szybko!

Hakon zbudził sześciu ludzi, po czym pospieszyliśmy do aresztu, gdzie znaleźliśmy strażnika leżącego z poderżniętym gardłem pod otwartymi drzwiami pustej celi Valeriana.

Hakon stanął jak skamieniały, gdy nagle usłyszeliśmy jakieś ciche wołanie i obróciwszy się, ujrzeliśmy bladą twarz pijaka patrzącego na nas z sąsiedniej celi.

— Uciekł — rzekł nam. — Lord Valerian uciekł. Słuchajcie; ledwie godzinę temu leżałem na mojej pryczy, gdy obudził mnie jakiś dźwięk na zewnątrz celi. Zobaczyłem, jak jakaś obca, ciemnoskóra kobieta wyłania się z cienia i podchodzi do wartownika. Podniósł łuk i kazał jej stanąć, ale ona zaśmiała się tylko, spojrzała mu w oczy i strażnik zastygł, jakby wpadł w trans. Stał, wytrzeszczając oczy, a ona... Na Mitrę! Wyjęła mu zza pasa jego własny nóż i poderżnęła mu nim gardło, tak że upadł i skonał. Potem wyjęła mu zza pasa klucze i otworzyła drzwi, a Valerian wyszedł, zaśmiewając się jak demon z piekła rodem. Potem pocałował dziewczkę, która śmiała się razem z nim. I nie byli sami, gdyż coś czaiło się w ciemnościach za kręgiem światła rzucanego przez wiszącą nad drzwiami latarnię — jakiś niewyraźny, potworny kształt. Słyszałem, jak dziewczka mówiła, że trzeba zabić tego tłustego pijaka w sąsiedniej celi, więc byłem ledwie żywy ze strachu. Jednak Valerian powiedział, że jestem pijany jak bela i byłem gotów ucałować go za to. Tak więc poszli, a on odchodząc, rzekł, iż pošle jej towarzysza z pewną misją, a potem ruszą do chaty nad Strumieniem Rysia, gdzie spotkają jego zbrojnych, ukrywających się w lesie, od kiedy ich tam wysłał. Powiedział, że Teyanoga przybędzie tam i razem przekroczą granicę, żeby sprowadzić tu Piktów, którzy poderzną nam wszystkim gardła. Hakon pobladł.

— Kim była ta kobieta? — zapytałem zaciekawiony.

— To jego kochanka, półkrwi Piktyjka — odparł. — Ma w żyłach krew Sokołów i Liguryjczyków. Nazywają ją Wiedźmą ze Skandagi. Nigdy jej nie widziałem i nie wierzyłem w to, co ludzie szeptali o niej i o lordzie Valerianie. Jednak widzę, że to prawda.

— Myślałem, że zabiłem starego Teyanogę — mruknąłem. — Ten stary łotr musi być zaczarowany — widziałem moją strzałę drgającą w jego piersi. Co teraz?

— Musimy udać się nad Strumień Rysia i zabić ich wszystkich — rzekł Hakon. — Jeśli podjudzą Piktów do uderzenia na granicę, będzie diabelna awantura. Nie możemy zabrać ze sobą więcej ludzi z fortu czy z miasta. Jest nas dość. Nie wiem, ilu ich tam będzie, i nie dbam o to. Zaskoczmy ich.

Uwolnił pijaka, aby zaniósł do fortu wieść o tym, co się stało, a my niezwłocznie

wyruszyliśmy w gwiazdzistą noc. Wokół zalegała cisza, tylko w oknach odległych domów błyskały słabe światła. Na zachodzie wznosiła się czarna ściana lasu; milczącego, pierwotnego, nieustannie zagrażającego ludziom, którzy rzucili mu wyzwanie.

Szliśmy rzędem, trzymając w pogotowiu łuki i topory. Nasze mokasyny bezszelestnie deptały mokrą od rosy trawę.

Wtopiliśmy się w puszcze i weszliśmy na szlak wijący się wśród dębów i olch. Wtedy rozstawiliśmy się tak, by iść w pięciometrowych odstępach, przy czym Hakon szedł na przedzie; w końcu dotarliśmy do trawiastej polanki i zobaczyliśmy światło sączące się przez szpary w okiennicach zasłaniających okna chaty.

Hakon kazał swoim ludziom stanąć i poczekać, podczas gdy my mieliśmy podczołgać się i podsłuchać, o czym mówią. Podkradliśmy się i zaskoczyliśmy strażnika — renegata z Schohiry, który z pewnością usłyszałby nas, gdyby nie opary wina, którym cuchnął. Nigdy nie zapomnę dzikiego syku satysfakcji, który wydał przez zaciśnięte zęby Hakon, wbijając nóż w serce tego łotrzyka. Zostawiliśmy ciało ukryte w wysokiej, bujnej trawie, po czym zakradliśmy się do samej ściany chaty i zajrzeliśmy przez szparę do środka.

Zobaczyliśmy Valeriana ze świecącym dziko spojrzeniem oraz smagłą, ładną dziewczynę w przepasce z jeleniej skóry i wyszywanych paciorkami mokasynach, której ufarbowane na czarno włosy spięte były złotą opaską dziwnego kształtu. Było tam też pół tuzina schohirskich renegatów, ponurych łotrów w bawełnianych bryczesach, kubrakach farmerów i z kordami u pasa, trzech tropicieli w strojach z kozłej skóry oraz pół tuzina Gundermanów, krępych mężczyzn o jasnych włosach sięgających do ramion i wystających spod stalowych hełmów.

Ci odziani w kolczugi i nagołenniki, uzbrojeni w miecze oraz sztylety strażnicy mieli jasną skórę i akcent zupełnie inny niż ten, z jakim mówili mieszkańcy Westermarcku. Ponieważ uchodzili za zawziętych, bezlitosnych i zdyscyplinowanych wojowników, właściciele nadgranicznych posiadłości często zatrudniali ich jako strażników.

Słyszeliśmy, jak śmieją się i rozmawiają. Valerian chełpił się swoją ucieczką, ponurzy

renegaci przeklinali swoich dawnych przyjaciół, zaś tropiciele słuchali w milczeniu.

Gundermani zachowywali się wesoło i jowialnie, lecz spod tej maski przebijała wrodzona im bezwzględność. Dziewczyna, którą nazywali Kwaradą, śmiała się i pokpiwała z Valeriana, który wyglądał na ponuro ubawionego. Hakon trząsał się z wściekłości, gdy słuchaliśmy przechwałek Valeriana:

— ...wydostać się stamtąd było równie łatwo jak stłuc jajko. Na Mitrę, wysłałem gościa do tego thandarskiego zdrajcy, który powinien dostać to, co mu się należy! A kiedy wezwę Piktów i przekroczę z nimi granicę, żeby uderzyli na buntowników od zachodu, podczas gdy Brocas zaatakuje z Coyagi, wszyscy jemu podobni dostaną to, na co zasługują.

Nagle usłyszeliśmy cichy tupot stóp i przycisnęliśmy się do ściany. Drzwi otworzyły się i weszło siedmiu przerażających, pomalowanych i ozdobionych piórami Piktów. Prowadził ich stary Teyanoga; miał obandażowaną pierś, więc zrozumiałem, iż moja strzała utkwiała w tych potężnych mięśniach. Zastanawiałem się, czy ten stary diabeł naprawdę jest wilkołakiem, którego nie można zabić zwykłym orężem, czym często się chełpił i w co wielu wierzyło.

Hakon i ja leżeliśmy blisko i słyszeliśmy, jak Teyanoga mówi w łamanej mowie akwilońskiej:

— Chcesz, żeby Sokoły, Żbiki i Żółwie uderzyć na osadników. Jeśli to zrobimy, Wilki spustoszą nasze ziemie, kiedy my walczymy w Schohirze. Wilki bardzo silne, bardzo liczne. Sokoły, Żbiki i Żółwie muszą uścisnąć dłonie Wilkom.

— Dobrze — powiedział Valerian. — Kiedy zawrzecie ten pakt z Wilkami?

— Wodzowie czterech szczepów spotkać się dziś w nocy na skraju Bagna Duchów.

Porozmawiać z Czarodziejem z Bagien. Wszyscy robić, co czarodziej kazać.

— Hmm — rzekł Valerian. — Jeszcze daleko do północy. Jeżeli się pospieszymy, dotrzemy do Bagna Duchów za dwie godziny. Pójdziemy tam i zobaczymy, czy uda mi się

przekonać czarownika, by nakłonił Wilki do sprzymierzenia się z innymi szczepami.

Hakon szepnął mi do ucha:

— Wracaj do reszty i sprowadź ich tu, szybko! Powiedz im, żeby otoczyli chatę i podłożyli ogień!

Widziałem, że ma zamiar zaatakować chatę mimo znacznej przewagi liczebnej tamtych; jednak tak wzburzyła mnie ohydna zmowa, której byłem świadkiem, że nie oponowałem. Wróciłem i przyprowadziłem pozostałych. Po dwóch ustawiliśmy się pod oknami, jeden człowiek z napiętym łukiem, a drugi z toporem, gotowy uderzyć w okiennicę, jeden z nas miał rozniecić ogień. Gdy dołączyłem do Hakona przy frontowych drzwiach, usłyszałem wewnątrz głos Valeriana:

— Chodźcie! Musimy natychmiast wyruszać.

Dało się słyszeć, jak mężczyźni wstają z ław, nakładają zbroje i pasy z bronią.

Zniecierpliwiony Hakon wiercił się w ciemności, podczas gdy rozpalający ogień człowiek marudził z krzesiwem, hubką i chrustem. W końcu udało mu się rozniecić małe ognisko i pozostali podpalili w nim gałęzie, robiąc z nich pochodnie.

Wtedy Hakon podbiegł do drzwi i walnął w nie toporem; nie był to lekki toporek w rodzaju tych, jakich używali Piktowie, lecz prawdziwe bojowe toporzysko, takie jak te, których zakuci w zbroje rycerze używają do rozbijania sobie pancerzy. W tej samej chwili inni wyłamali okiennice i wystrzelili strzały do środka chaty, powalając paru wrogów. Jeszcze inni podłożyli ogień pod dach, podpalając chatę. Jednak dach był zrobiony z zachodzących na siebie płatów kory, mokrych po niedawnych deszczach i nie zajął się tak żywym płomieniem, jakbyśmy chcieli.

Zaskoczeni przeciwnicy nie próbowali bronić się w chacie. Świece zostały wywrócone i zgasły, ale płonący dach rzucał słabą poświatę, przy której strażnicy strzelali do środka.

Valerian i jego zgraja skoczyli do drzwi, wpadając na Hakona i grupkę tropicieli, w tym na mnie. Kilku padło w pierwszym starciu, lecz zaraz zmieszaliśmy się w jeden warczący,

sapiący kłęb na zewnątrz szałasów i w środku.

Zwarłem się z krzepkim Gundermanem w kolczudze i z gołą głową. Niewątpliwie zdjął hełm z powodu gorąca i w pośpiechu zapomniał go nałożyć. W prawej dłoni trzymał krótki miecz, ja miałem topór. Każdy z nas ścisnął lewą ręką prawy przegub przeciwnika.

Mocowaliśmy się, pociliśmy i dyszeliliśmy, przetaczając się tam i z powrotem, usiłując uwolnić ramię i zadać śmiertelny cios. W końcu podstawiłem mu nogę i wywróciłem, a padając, przygniotłem go do ziemi. Podczas upadku puścił mój przegub, ale jakoś udało mu się złapać za rękojeść topora i oburącz wyrwać mi go z ręki.

Pierwszy cios ześlizgnął się po moim ramieniu, gdyż któryś z walczących nadepnął w ciemności na Gundermana, sprawiając, że źle wycelował. Wolną ręką natrafiłem na kamień wielkości jabłka, do połowy tkwiący w ziemi. Wyrwałem go i uderzyłem nim przeciwnika w czoło, w tej samej chwili gdy zamierzał ponownie zadać mi cios moim własnym toporem.

Czując, że tamten słabnie, chwyciłem kamień w obie ręce i z całej siły opuściłem go na głowę wroga. Usłyszałem chrzęst kości, a Gunderman wyprężył się i znieruchomiał.

Podniosłem się z ziemi, żeby włączyć się do walki — ale ta już się skończyła. Tu i tam leżały ciała — naszych i tamtych — lecz pozostali przy życiu Gundermani, renegaci i

Piktowie umykali do lasu ile sił w nogach. Widziałem plecy uciekających i usłyszałem świst strzały posłanej za nimi przez jednego z pozostałych przy życiu strażników, ale ze względu na pośpiech łucznika i niepewne oświetlenie nie sądzę, aby trafił w cel.

Te łobuzy nadal miały nad nami liczebną przewagę i gdyby chciały, mogłyby wybić nas do nogi, ale zaskoczenie i brak dyscypliny nie pozwoliły im na to. Gdyby Hakon był lepszym dowódcą, zamiast otwierać drzwi, co pozwoliło wrogom na ucieczkę, kazałby nam je zabarykadować, zatrzymując ich w środku, gdzie nasze strzały i ogień dokonałyby reszty.

Jednak on zawsze chciał jak najprędzej zetrzeć się z wrogiem, nie zastanawiając się nad długofalową strategią.

Ci z nas, którzy nadal stali na nogach, z trudem łapali oddech, aż ktoś zawołał:

— Chata! Tam jest Valerian!

Obróciłem się błyskawicznie i zobaczyłem stojących w drzwiach w odległości pchnięcia włócznią Valeriana i jego kochanicę. Nim zdążyliśmy chwycić za broń, Kwarada zaśmiała się piskliwym śmiechem czarownicy i cisnęła na ziemię coś, co wybuchło jasnym płomieniem i zgasło, zostawiając nam przed oczami widok różnobarwnych plam, tak że nie mogliśmy niczego dojrzeć w ciemnościach. Pozostawiło również chmurę cuchnącego dymu, który zasnuł drzwi szałas i sprawił, że cofnęliśmy się, kaszląc i prychając, jakbyśmy wpadli do Strumienia Rysia. Zanim odzyskaliśmy wzrok i oddech, dobrana para zniknęła.

Hakon krążył wśród swoich ludzi, sprawdzając stan oddziału. Dwóch zostało zabitych i dwóch rannych — jeden w ramię, a drugi w nogę. Położyliśmy siedmiu nieprzyjaciół — przeważnie strzałami wystrzelonymi do środka chaty — i z tych kilku jeszcze żyło, ale niedługo. Paru ludzi Valeriana również odniosło rany. Strażnik ranny w nogę musiał czekać z owiazaną nogą, aż przyjdą po niego i zanoszą do osady.

Kiedy zabandażowano ramię drugiemu rannemu, Hakon powiedział mu:

— Pospiesz do Schondary i uprzedź Dirka o grożącym ataku. Powiedz mu, żeby ściągnął ludzi z ich dobytkiem do fortu i przysłał tu oddziałek po Karlusa. My idziemy nad Bagno Duchów zobaczyć, co możemy zdziałać. Jeśli nie wrócimy do Schondary, niech przygotowują się na najgorsze.

Strażnik skinął głową i pobiegł kłusem. Hakon, dwaj pozostali strażnicy i ja szykowaliśmy się, by wyruszyć za Valerianem. Ja zaczekałbym na posiłki, lecz Hakon, wyrzucając sobie, że lord uciekł przez niego, nie zamierzał zwlekać. Upewniliśmy się, że każdy z nas jest dobrze uzbrojony; ja wziąłem miecz Gundermana, którego zabiłem, i zamieniłem zgubiony w trakcie walki łuk na oręż poległego strażnika.

Na szczęście Hakon i jeden ze strażników znali drogę, gdyż chodząc na zwiady, zapuszczali się czasem aż na bagna, a gwiazdy świeciły wystarczająco jasno, abyśmy nie wpadali w wykroty i nie zabłądzili w puszczy. Niebawem sklepienie listowia znowu

zamknęło się nad naszymi głowami; przekroczyliśmy strumień i weszliśmy w gąszcz.

4

Szliśmy rzędem, nie czyniąc hałasu, jedynie od czasu do czasu pod naszymi stopami trzasnęła sucha gałązka lub zaszeleścił liść — czego w nocy nie uniknie nawet Pikt. Na południe od chaty biegł stary szlak, lecz był tak zarośnięty, że ledwie różnił się od sarniej ścieżki.

Posuwaliśmy się naprzód w ponurym milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach, ponieważ nie wybieraliśmy się na niedzielną wycieczkę. Ziemia Piktów była przerażającą

krainą, pełną dzikich ludzi i równie dzikich bestii, takich jak wilki, pantery i wielkie żmije, o których już wspomniałem. Powiadają też, iż mieszkają tu i inne zwierzęta, które zniknęły z innych miejsc na ziemi, na przykład wielki tygrys szabłożębny i jakiś zwierz podobny do

słonia. Nigdy nie widziałem słonia, lecz mój brat odwiedził kiedyś Tarantię i widział taką bestię w menażerii króla Numedidesa w dniu, w którym król pozwolił zwykłym ludziom

wejść do swoich ogrodów. Od czasu do czasu Piktowie przynosili kiel jednego z tych zwierząt niektórym kupcom z Westermarcku.

Jeszcze mniej przyjemnymi sąsiadami były demony bagien albo demony puszczy, jak nazywali je niektórzy. Gromadziły się one w takich miejscach, jak Bagna Duchów. Za dnia znikwały — nie wiedzieć gdzie — lecz wyłaziły nocą stadami tak licznymi jak nietoperze i wyły niczym dusze potępione. Samo wycie nie było jeszcze takie nieprzyjemne, ale niejeden tropiciel skończył z gardłem poderżniętym od ucha do ucha, jeśli podszedł zbyt blisko jednego z ich okropnych zgromadzeń. Fakt, że Czarownik z Bagna mieszkał w jednym z ich ulubionych miejsc, świadczył o jego potędze.

Po pewnym czasie dotarliśmy do Strumienia Tulliana, nazwanego tak od imienia schohirańskiego osadnika, który stracił tu życie pod piktyjskimi toporkami. Strumień ten wyznacza granicę między Schohirą a ziemią Piktów. A przynajmniej tak głosi ostatni pakt zawarty między dzikusami a rządcą Schohiry, chociaż mężczyźni z obu ras nie zwracają na traktat żadnej uwagi, jeśli akurat uważają, że za granicą znajduje się coś, czego potrzebują.

Przeprawiliśmy się przez Strumień Tulliana, przeskakując z kamienia na kamień. Na drugim brzegu Hakon przystanął i szeptem naradził się ze strażnikiem, który znał drogę. Po krótkiej chwili, w czasie której rozglądali się wokół i rozchylali listowie, znaleźli rozgałęzienie szlaku i poszli lewą odnogą, kierując się bardziej na południe, ku Bagnu Duchów. Hakon przestrzegł, abyśmy szli ciszej, a jednocześnie ponaglał nas do szybszego marszu.

— Nie możemy pozwolić, żeby świt zastał nas w pobliżu obozu Piktów — szepnął.

Nawet u najzręczniejszego tropiciela szybkość i cisza nie idą ze sobą w parze; im bardziej troszczysz się o jedno, tym bardziej zaniedbujesz drugie. Mimo to podążaliśmy ścieżką w dobrym tempie, unikając gałęzi i sterczących konarów najlepiej, jak umieliśmy.

Szliśmy tym szlakiem przez blisko dwie godziny. Kiedy las rzedniał, rzucałem niespokojne spojrzenia na lewo, aby sprawdzić, czy niebo — którego wąskie skrawki widzieliśmy przez płataninę liści — zaczęło już jaśnieć na wschodzie. Jednak nie zauważyłem niczego prócz powoli przesuwających się po nim gwiazd, a ponieważ był nów, nie widzieliśmy już tej nocy księżyca. Oprócz oddechów piechurów oraz sporadycznego szelestu lub trzasku gałązki, czasem jedynie bzyczały nocne owady, a czasem zaszurgało jakieś małe zwierzę, uciekające w trawie.

W pewnej chwili wszyscy stanęliśmy w bezruchu, słysząc odległy, kaszlący dźwięk. Po chwili jeden z tropicieli rzekł: „Pantera!” Ruszyliśmy dalej, jakby wcale nas to nie dotyczyło.

I w rzeczy samej, tak też było, bowiem pantery polują w pojedynkę i nigdy nie zaatakowałyby czterech dorosłych mężczyzn. Piktowie to co innego.

W końcu Hakon dał sygnał, abyśmy stanęli. Gdy tak nasłuchiwalismy, do naszych uszu doleciały ciche dźwięki, które nie były pomrukiem dzikich zwierząt, lecz odległym pomrukiem lub szmerem, ledwie słyszalnym, jak odgłos nadciągającej burzy, którą człowiek bardziej czuje w kościach, niż słyszy. Wytężając wzrok, wyostrzony bardziej niż zwykle przez godziny marszu w ciemnościach, dostrzegliśmy rdzawy odbłask ogni między pniami

drzew.

Zeszliśmy ze szlaku w lewo i zaczęliśmy się skradać przez las, poruszając się nie tak szybko, ale znacznie ostrożniej. Szliśmy nisko przygłęb, przemykając z cienia krzaków w cień rzucony przez pnie drzew i z powrotem w zarośla.

Niebawem usłyszeliśmy gardłowe głosy Piktów i Hakon ponownie uniósł rękę, nakazując nam zdwoić ostrożność. Wtedy ich ujrzelśmy. Trzech Piktów stało lub siedziało na ścieżce. Zostali tu postawieni na warcie, lecz nie brali sobie zbytnio do serca swoich obowiązków. Grali w jakąś grę kawałkami drewna, rzucając je w powietrze, by zobaczyć, który upadnie korą do góry. Wojownicy pomrukiwali, śmiali się, a od czasu do czasu obrzucali się żartobliwymi przekleństwami i groźbami, tak jak robią to zawsze znudzeni mężczyźni.

Podczołgałem się do leżącego opodal Hakona i szepnąłem:

— Atakujemy?

— Nie — odparł. — Krzykną i ściągną nam na kark cały obóz. Posłuchamy, może dowiemy się czegoś nowego, a potem ruszymy dalej.

Pozostał na miejscu, nadstawiając ucha w kierunku Piktów. Ja również słuchałem, jednak moja znajomość piktyjskiej mowy jest bardzo skromna. Mimo iż od czasu do czasu rozpoznawałem jakieś słowo, nie zdołałem zlepić z nich ani jednego sensownego zdania. Jednakże wydawało mi się, że słyszałem, jak mówili „Valerian”, a przynajmniej coś, co brzmiało jak to imię, zniekształcone przez piktyjską wymowę.

Hakon posłuchał jeszcze chwilę, po czym kiwnął głową z satysfakcją i nakazał nam iść dalej. Ruszyliśmy w kierunku jednego z ognisk, gdy nagle powstrzymał nas jakiś przerażający dźwięk — ochrypty, przeraźliwy ryk, jakby jakiś olbrzym dmuchał w zaślinioną trąbę.

Potem, gdy zwierz ruszył, rozległ się potężny trzask. Widziałem go przez moment — to

była jedna z tych bestii podobnych do słoni, wysoka jak dwóch mężczyzn stojących jeden na drugim. Jej prawie proste dwa kły sięgały niemal do ziemi i wydało mi się, że była pokryta gęstą i krótką sierścią, ale w tym świetle nie mogłem stwierdzić tego na pewno. Opowiadano mi, że te zwierzęta śpią stojąc, tak jak to robią konie, i niewątpliwie zbudziły je nasze kroki i zapach. Nigdy nie słyszałem, żeby jedna z tych bestii zapuściła się aż tak daleko na wschód, pod granice Westermarcku, tak więc Hakon i ja jesteśmy jedynymi ludźmi w Westermarcku, którzy widzieli żywego piktyjskiego słonia.

Jednak rezultaty tego spotkania okazały się dla nas katastrofalne. Zaskoczony Hakon cofnął się, wpadając na idącego za nim tropiciela, który uskoczył i z taką siłą zderzył się z idącym za nim ostatnim członkiem wyprawy, że ten runął jak długi na ziemię. Tylko zręcznym susem w bok unikałem upadku. Wszystkie te skoki, zderzenia i upadki zaalarmowały Piktów i w następnej chwili usłyszałem brzęk cięciwy, gdy Hakon wypuścił strzałę w stronę pierwszego napastnika.

Odwrociłem się i ujrzałem trzech wojowników, którzy pędzili ku nam, przeskakując jak jelenie przez krzaki, wymachując bronią i nawołując się szczekliwie. Strzała Hakona trafiła jednego z nich w gardło, lecz dwaj pozostali w jednej chwili znaleźli się przy nas. Jeden cisnął krótką włócznią i złapał za toporek.

Sięgnąłem do kołczana, ale nim zdążyłem napiąć łuk, Pikt był już zbyt blisko.

Zamachnąłem się więc oburącz i uderzyłem go łukiem w skroń. Gdy dzikus zatoczył się, upuściłem łuk i sięgnąłem po krótki miecz zabrany Gundermanowi. Doskoczyłem do Pikta, blokując lewą ręką jego ramię i długim, prostym pchnięciem wbiłem mu ostrze w brzuch.

Mimo to nadal walczył. Kiedy kolejne pchnięcie nie zdołało go powalić, wymierzyłem cios, który niemal odrąbał mu głowę. W końcu osunął się na ziemię.

Zdyszany, rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że oprócz mnie tylko Hakon stoi o

własnych siłach. Właśnie wyszarpnął swój topór z czaszki drugiego Pikta. Jeden z naszych tropicieli leżał z głową rozłupaną piktyjskim toporkiem, a drugi siedział oparty plecami o drzewo, ściskając drzewce włóczni, która przeszła mu brzuch.

Hakon zaklął pod nosem. Całe starcie nie trwało dłużej niż tuzin uderzeń serca, a jednak

trzej Piktowie i dwaj nasi leżeli martwi lub śmiertelnie ranni. Szczęście uśmiechnęło się do nas jedynie w tym, że Piktowie zaatakowali nas tak szybko, iż żaden nie zdążył wydać okrzyku wojennego. Pomrukiwali gardłowo, lecz ich pobratymcy w obozie z pewnością słyszeli ryk słonia, a rozpoznawszy ten dźwięk, powiązali późniejsze odgłosy walki z łoskotem oddalającego się zwierzęcia. W każdym razie żaden z nich nie przybył, żeby sprawdzić, co się stało.

Hakon szepnął:

— Zostało nas tylko dwóch i każdy z nas musi zrobić wszystko, co w jego mocy, choćby miało go to kosztować życie. Musimy zabić Valeriana i czarownika. Piktowie powiedzieli, że Valerian udał się na bagna na rozmowy z czarownikiem i wodzami czterech plemion.

Większość swoich ludzi zostawił w obozie Piktów. Obejdźmy obozowisko i podążmy ścieżką wiodącą na bagna. Ty zaczekasz przy ścieżce, a jeśli nadejdzie Valerian, zabijesz go. Ja pójdę na bagna i spróbuję zabić czarownika, a także Valeriana, jeśli go tam spotkam.

— Przyjacielu Hakonie — zaprotestowałem. — Bierzesz na siebie większe niebezpieczeństwo. Ponieważ jesteś oficerem, twoje życie ma dla naszego ludu większą wartość niż moje. Nie jestem większym tchórzem niż inni; pozwól, że ja pójdę na bagna, a ty zostań przy ścieżce.

Wejście na bagna było z pewnością bardziej ryzykownym zadaniem, gdyż człowiek narażał się tam nie tylko na niebezpieczeństwo spotkania z dzikimi Piktami, lecz i z aligatorami, demonami bagien i niewidocznymi grzęzawiskami.

— Nie — rzekł Hakon. — Ja już widziałem te bagna, a ty nie.

I kiedy zacząłem się spierać, uciszył mnie, przypominając, że on tu jest dowódcą.

Nagle ranny strażnik odezwał się słabym, niepewnym głosem:

— Nie zostawiajcie mnie tu na pastwę Piktom! Kiedy znajdą trupy swoich, oszaleją z żądzy zemsty!

— Nie możemy cię nieść — zaczął Hakon, lecz ranny mu przerwał:

— Nie, nie o tym mówię. Ze mną już koniec, załatwił mnie ten dzikus. Zabijcie mnie szybko, zanim odejdziecie!

Hakon wyjął nóż i szybkim ruchem wbił go w gardło towarzysza, podczas gdy ja odwróciłem głowę. Czasami trudno pogodzić się z okropieństwami wojny; jednak nie postąpilibyśmy litościwie, zostawiając tego człowieka dzikim, żeby mogli go torturować.

5

Wkrótce stało się jasne, iż Piktowie zamierzali zaatakować Schondarę zaraz po naradzie na Bagnach Duchów. W obozie setki wojowników leżało, chrapiąc na posłaniach z gałęzi lub w pospiesznie wzniesionych szałasach, podczas gdy z dogasających ognisk wznosiły się leniwe smutki szarego dymu. Nigdzie nie zauważyliśmy kobiet ani dzieci, co dowodziło, iż była to wyprawa wojenna, a nie zwykłe zgromadzenie plemion.

W rzeczy samej rozbito cztery osobne obozy: Sokołów, Żbików, Żółwi oraz liczniejszych od nich Wilków. Obozowiska rozmieszczono nieregularnie, tak że próbując ominąć jedno z nich, omal nie wpadliśmy na drugie. Jednak w końcu prześlizgnęliśmy się między nimi i ruszyliśmy ścieżką na bagna. Tak jak poprzednio, skradaliśmy się obok szlaku, a nie dróżką. Obozy znajdowały się dalej od mokradeł, niż myśleliśmy. Niewątpliwie piktyjscy wojownicy, chociaż nieustraszeni, nie mieli ochoty spać bliżej siedziby bagiennych demonów, niż musieli.

Jednak w końcu znaleźliśmy miejsce, gdzie obok szlaku rosła kępa młodych sosen, otoczonych gęstymi paprociami. Tu, orzekliśmy, będzie dobre miejsce na zasadzkę. Tak więc położyłem się na brzuchu, kładąc przed sobą łuk ze strzałą na cięciwie, podczas gdy Hakon poszedł dalej w dół łagodnego zbocza ku Bagnu Duchów. Spoglądając w tym kierunku, dostrzegłem jaśniejsze miejsca między drzewami, zapowiadające znajdującą się tam taflę wody.

Noc dobiegała końca i obawiałem się, że świt zaskoczy nas, zanim wykonamy zadanie.

Gdyby tak się stało, zamierzałem odczołgać się dalej od szlaku, ukryć w gąszczu, przeleżeć w nim cały dzień, a potem znów spróbować zrobić swoje, jeśli Piktowie nadal by tu obozowali.

Zanim minie dzień, będzie mnie dręczyć pragnienie, ale powinienem sobie jakoś z tym poradzić.

Czas włókł się niemiłosiernie. Wyteżałem wzrok i słuch z nadzieją, że Valerian i jego towarzyszka wyłonią się z półmroku zalegającego na ścieżce; jednak w lesie panowała głęboka cisza, zakłócana jedynie bzykaniem muszek i pomrukiwaniem aligatora w pobliskim błocie. Nawet demony bagien nie wyły tej nocy.

Jednak człowiek nie jest w stanie w nieskończoność utrzymywać najwyższej gotowości.

Byłem na nogach niemal całą noc, przemaszerowałem dziesięć lub piętnaście mil, walczyłem w dwóch potyczkach, w każdej zabijając człowieka. Mimo moich dobrych chęci, zmęczenie wzięło górę. Wydawało mi się, że zaledwie zmrużyłem powieki, gdy runęła na mnie jakaś ciężka, muskularna postać i las wokół mnie zatrzęsł się od przerażającego wycia.

Obudziłem się zbyt oszołomiony snem, aby skutecznie stawić opór. Obskoczyło mnie kilku Piktów — czterech złapało mnie za ręce i nogi, podczas gdy piąty siadł mi na plecach.

Zanim zdążyłem zrobić coś więcej, niż przekląć ich w imię Mitry i Isztar, odebrali mi broń, po czym związali ręce oraz nogi, dodając do tego kilka kopniaków i szturchnięć. Zdałem

sobie sprawę z tego, że niebo było znacznie jaśniejsze niż wtedy gdy zasnąłem, co dowodziło, iż upłynęło trochę czasu.

Usłyszałem odgłosy rąbania i po chwili pojawił się Pikt z drągiem przyciętym z młodego drzewka. Wepchnęli kij między moje złączone ramiona i nogi. Dwaj krzepcy wojownicy zarzucili sobie końce drąga na ramiona i z synem Gaulta Hagara wiszącym między nimi jak myśliwskie trofeum ruszyli w kierunku obozu. Pozostali szli z tyłu, rozmawiając w swej gardłowej mowie. Kilku nawet śmiało się, co Piktom zdarza się niezwykle rzadko, gdyż uważają szerokie otwieranie ust za nieprzyzwoitość i rezerwują to na takie specjalne okazje jak

torturowanie jeńców.

Z początku byłem zbyt ogarnięty wstydem, że dałem się tak zaskoczyć, i zajęty ponurymi przewidywaniami co do mego losu, aby poświęcać wiele uwagi temu, co działo się wokół mnie. Potem powiedziałem sobie, że jeszcze nie jestem martwy, a zdarza się, że szczęście uśmiecha się do kogoś nawet w ostatniej chwili. Tak więc zacząłem rozglądać się wokół, szukając jakiejś możliwości ucieczki.

Świtało już, gdy dotarliśmy na skraj Bagna Duchów. Wyciągając szyję, ujrzałem rozległe, nieruchome wody mokradła, porośnięte kępami trzcin i innych wodnych roślin. Pasma mgły unosiły się jak duchy nad gładką taflą, w której odbijał się upstrzony chmurkami błękit porannego nieba. Tu i ówdzie, niczym skamieniałe wiedźmy, stały pnie uschłych drzew.

Dotarliśmy do cypla wychodzącego w bagno. Dotarłszy do jego końca, Piktowie z pluskiem weszli w wodę. Stąpali po kamieniach, położonych tak, że znajdowały się tuż pod jej powierzchnią. Przebrnęliśmy przez kolejny pas błotnistej ziemi i następne bagno, aby w końcu dotrzeć do siedziby Czarownika z Bagien.

Czarownik mieszkał na wyspie, która wznosiła się nieco wyżej nad lustrem wody niż większość wysepek na tych okropnych moczarach. Na tym niewielkim wzniesieniu, pośród porastających je drzew stał krąg chat podobnych do domostw, jakie zwykle budują Piktowie.

Gdy zbliżaliśmy się do pagórka, jeden z wojowników pobiegł naprzód, tak że gdy dotarliśmy na miejsce, wszyscy obecni wyszli, aby mnie powitać. Ziemia była usłana pustymi bukłakami; niewątpliwie wodzowie przez całą noc nie tylko rozmawiali, ale i żłopali słabe, piktyjskie piwo.

Na wyspie znajdował się sam czarownik, Valerian z kilkoma swoimi poplecznikami, Kwarada, Teyanoga oraz paru Piktów. Pióra we włosach i malunki świadczyły o tym, że są to wodzowie Żółwi, Sokołów, Żbików oraz Wilków, którzy z podkrążonymi oczami ziewali po całonocnej naradzie. Na mój widok Valerian wyszczerzył zęby jak piktyjski bożek.

— To ten buntownik z Thandary! — zawołał — Na Mitrę, uparty z ciebie diabeł; gdyby wszyscy po stronie Jego Królewskiej Mości byli równie wytrwali w cnotach jak ty w swoim łotróstwie! Poczekaj, mój miły przyjacielu, zabawimy się z tobą i twoim przyjacielem — zdrajcą. Dowiedcie się, jaką cenę trzeba zapłacić za zdradę swoich prawowitych panów. Piktowie, którzy nieśli drąg, zrzucili go z ramion, upuszczając mnie na wilgotną ziemię. Padając, zobaczyłem, że pośrodku kręgu chat wbito w ziemię pał, do którego przywiązano syna Hakona Stroma.

Valerian, nadal na mnie patrząc, ruchem głowy wskazał Hakona.

— Myślał, że uda mu prześlizgnąć między demonami bagien — rzekł.

Wymieniliśmy z Hakonem spojrzenia, ale wiedzieliśmy, że w tej sytuacji słowa nic nam nie pomogą. Czarownik wydał po piktyjsku rozkazy i kilku dzikusów wyruszyło w powrotną drogę po ukrytych pod wodą kamieniach. Inni zaczęli kopać dół w pobliżu pała, do którego przywiązano Hakona.

Czarownik był człowiekiem o niezwykłym wyglądzie; stary, zgarbiony i chudy, o brązowej skórze niemal tak ciemnej jak u Kuszyty, ze strzechą siwych włosów i długą, jedwabistą brodą. Nigdy nie widziałem mężczyzny o podobnych rysach twarzy. Nos miał szeroki i płaski, czoło i podbródek cofnięte, a oczy pod gęstymi brwiami tak głęboko ukryte w oczodołach, że zdawały się spoglądać z dwóch ciemnych jaskiń. Mógł być półczłowiekiem, a półchakanem. Teraz pojąłem sens powtarzanych w Westermarcku opowieści głoszących, iż czarownik nie był ani Piktem, ani Liguryjczykiem, lecz ostatnim potomkiem rasy zamieszkującej te ziemie, zanim zasiedlili je Piktowie. Zaiste, piktyjska puszcza kryje w sobie wiele tajemnic z minionych czasów.

Podobnie jak Piktowie, czarownik miał na sobie jedynie przepaskę z jeleniej skóry.

Zamiast malowanych jak u wojowników wzorów jego piersi pokrywały liczne małe blizny, układające się w niezwykły wzór złożony z linii i okręgów. Powiedział coś do Piktów, ci zaś wzięli drąg, na którym mnie przynieśli, i postawili mnie na nogi. Gdy czarownik podszedł

bliżej i spojrział mi w twarz, jego czarne oczka zabłyśły w głębi oczodołów. Potem odwrócił się i znów rzucił do Piktów kilka słów.

Po chwili Piktowie, którzy opuścili wyspę, wrócili z długim pniem przyciętym toporkami do odpowiedniej długości. W tym czasie pozostali wykopali dziurę głęboką do kolan.

Umieścili koniec pnia w otworze i trzymając go prosto, zasypali ziemią. Udeptali ziemię i ubili ją toporkami oraz trzonkami łopat, tak że niebawem obok słupa Hakona stał drugi pal.

Na rozkaz czarownika zawlekli mnie do pala. Podczas gdy paru krzepkich dzikusów trzymało mnie za ramiona, inny przeciął więzy. Potem zdarli ze mnie odzienie, zostawiając tylko przepaskę na biodrach, przycisnęli mnie do pnia i zaczęli wiązać długimi rzemieniami.

Udawałem, że nie opieram się, lecz kiedy mnie wiązali, wyprężyłem się i napiąłem mięśnie. Wydaje się, że Piktowie tego nie zauważyli albo pomyśleli, iż jedynie okazuję moją męską dumę. Niebawem byłem przywiązany do pala z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, nieruchomy jak stygijska mumia.

Wodzowie, Valerian i jego kochanka tłoczyli się wokół czarownika, rozmawiając z ożywieniem. Jednak jeden mały wódz Żółwi podszedł do mnie ze złośliwym, wymuszonym uśmiechem. Nagle wyrwał zza pasa toporek i cisnął nim we mnie.

Pomyślałem, że już po mnie, ale miedziane ostrze wbiło się w pal tuż nad moją głową, tak że rękoność dotykała mojego czoła.

Wódz Żółwi i kilku Piktów wydało okrzyki triumfu, radując się tym, że próbowałem się uchylić. Jedną ze wstępnych piktyjskich męczarni polega na tym, że wojownicy wypuszczają strzały, rzucają nożami i toporami w jeńca, chybiając ledwie o włos. Jeśli drgnie, oznacza to punkt dla dręczyciela, jeśli stoi nieruchomo, sam zdobywa punkt. To głupia zabawa, ale gdybym zorientował się, co zamierza ten wojownik, opanowałbym się i nie mrugnął okiem.

Jednak jego wyczyn wywołał gwałtowną kłótnię wśród Piktów. Dwaj czy trzej z nich stanęli po stronie wodza, podczas gdy pozostali wyraźnie sprzeciwiali się czemuś. Wódz

Żółwi i jego przyjaciele powtarzali piktyjskie słowo oznaczające „teraz”, a pozostali mówili „potem”. Jeden z dzikusów z zapalonym strugał drewniane szpikulce długości dłoni, najwidoczniej przeznaczone do wbijania w skórę i podpalania.

Wreszcie Czarownik wziął stronę tych, którzy mówili „potem”. Obróciłem głowę w kierunku Hakona i zapytałem:

— O czym rozprawiają? Czy chodzi o to, kiedy mamy być torturowani?

— Tak — odparł Hakon. — Ten mały Żółw i jego przyjaciele chcą teraz wypróbować na nas swoje umiejętności, a pozostali wolą zachować nas na później, kiedy zdobędą Schondarę. Czarownik mówi, że należymy do niego i zrobi z nami, co zechce, i że sam im powie, kiedy mogą nas wziąć.

— Jeśli ma dla nas coś gorszego od piktyjskich męczarni... — zacząłem i zadrzałem, przypominając sobie taniec przemiany żmii.

Wreszcie czarownik i wodzowie zniknęli w jednej z chat. Valerian i Kwarada weszli do innej. Dwaj wojownicy zostali przy nas na straży, a reszta udała się w kierunku obozu.

— Chcą się trochę zdrzemnąć, zanim wyruszą — rzekł Hakon. — Z tego, co słyszałem, wynika, że zamierzają wyjść około południa i dotrzeć do Schondary tuż po zmroku.

— To oczywiste, że wolą nie atakować za dnia, aby nie wystawiać się na pociski miotane balistą — powiedziałem.

— Z niektórych ich wzmianek domyślam się — mówił Hakon — że chodzi im o jakąś inną broń — coś, co przygotował dla nich czarownik.

Zwrócił się do jednego ze strażników.

— Hej, ty! — rzekł po akwilońsku. — Może dalibyście nam trochę tego piwa, które zeszłej nocy żłopali wasi wodzowie?

Obaj Piktowie popatrzyli na niego pustym wzrokiem, po czym spojrzeli po sobie. Kiedy

Hakon powtórzył to po piktyjsku, w ich oczach zapalił się błysk zrozumienia, ale nie życzliwości. Jeden z nich mruknął ponuro „nie”, a drugi splunął na ziemię.

— Widzę, że nas nie rozumieją — powiedział Hakon w naszym języku. — Masz jakiś pomysł, jak nas stąd wydostać?

— Jeszcze nie, ale coś mi świta — odparłem. — Musimy z tym poczekać, aż odejdą wodzowie. I nie gadajmy zbyt wiele, inaczej te śmierdziele zaczną coś podejrzewać. Spędziliśmy męczący ranek, przywiązani do tych przeklętych pali, dręczeni przez pragnienie, muchy i wpijające się w ciało więzy. Hakon cierpiał również w palącym słońcu, które mnie, mającemu bardziej śniadą skórę, nie dokuczało tak bardzo. Obaj mieliśmy wiele paskudnych sińców, pamiątek po ostatnich starciach.

Wodzowie chrapali w swoich chatach. Od strony obozu słychać było pomrukiwania budzących się wojowników.

W końcu kiedy słońce stało już wysoko na niebie, czarownik wyłonił się ze swej chaty i dmuchnął w piszczałkę wykonaną z czegoś, co wyglądało na ludzką kość. Po chwili, ziewając i przeciągając się, pojawił się Valerian i pozostali Piktowie. Było wiele zamieszania i bieganiny. Podczas gdy niektórzy wojownicy jedli szybko posiłek, inni ostrzyli swój oręż. Po pewnym czasie czarownik zebrał ich razem. Wywłókł ze swej chaty wielką, skórzaną, szczelnie związaną sakwę, dodatkowo omotaną długimi rzemieniami. Coś wydymało ten wór, lecz nie byliśmy w stanie domyślić się, co mogło się w nim znajdować. Nie ważyło wiele, ponieważ stary czarnoksiężnik włókł wór sam, bez niczyjej pomocy. Sakwa wyglądała jak ogromny pęcherz napełniony powietrzem, a potem zawiązany, żeby nie oklapł.

Czarownik wydał rozkazy i Piktowie zajęli się workiem. Przywiązali go do końca rozwidlonego kija długości trzech lub czterech metrów.

W końcu cała banda odeszła. Paru zwykłych wojowników niosło na ramionach kij, na

którym wisiała sakwa z tajemniczą zawartością. Na straży pozostali ci sami dwaj Piktowie, którzy pilnowali nas rano. Złe spojrzenia i ciche przekleństwa świadczyły o tym, jak bardzo podobało im się to, że nie wezmą udziału w ataku na Schondarę i ominie ich okazja do mordowania, gwałcenia oraz grabienia, na co niecierpliwie czekali.

Kiedy ostatni z wojowników zniknął w cieniu drzew otaczających Bagno Duchów, czarownik przyczłapał do Hakona, zajrzał mu w twarz i sprawdził jego więzy. Potem to samo zrobił ze mną. Odpowiedziałem mu niewzruszonym spojrzeniem, a on odszedł i usiadł ze skrzyżowanymi nogami między dwiema chatami. Zaczął wróżyć z małych, płaskich kawałków kości. Rzucił ich garść w powietrze i patrzył, jak układały się padając, po czym zbierał je i ponownie rzucał. Zaczął podśpiewywać starczym, drżącym głosem, w języku, którego nie rozpoznałem, ale który na pewno nie był piktyjskim.

Z dwóch pozostałych na straży Piktów jeden usiadł, opierając się plecami o ścianę chaty i szybko zasnął. Drugi niespokojnie przechadzał się tam i z powrotem, od czasu do czasu ćwicząc w powietrzu pchnięcia nożem i uderzenia nabijaną kamieniami maczugą.

Podskakiwał i okręcał się na pięcie, przykuczał, robił uniki i zadawał ciosy. Kiedy się tym zmęczył, usiadł przy swoim towarzyszu i próbował rozpocząć rozmowę, ale tamten jedynie mruknął coś pod nosem.

Wtedy ten ożywiony Pikt szturchnął drugiego w żebra i powiedział cicho:

— Spójrz tam!

Wskazał na czarownika, który nadal siedział ze swymi kawałkami kości. Jednak teraz już ich nie podnosił i nie rzucał; siedział nieruchomo, spoglądając przed siebie.

Obaj Piktowie zwinnie podnieśli się z ziemi i cicho podeszli do czarownika. Zajrzeli mu w oczy, a jeden z nich gwizdnął i pstryknął palcami. Czarownik nawet nie drgnął. Wpadł w trans, wysyłając swoją duszę gdzieś w otchłanie ciemności na poszukiwanie wiedzy tajemnej. Piktowie rozmawiali o czymś po cichu, zerkając najpierw na czarownika, a potem na nas.

Z oderwanych słów, jakie zdołałem pochwytać, domyśliłem się, iż uważali, że skoro czarownik jest teraz nieprzytomny, mogą opuścić swój posterunek i pognać za współplemieńcami, aby przybyć do Schondary na czas i wziąć udział w masakrze. Wreszcie wyższy z nich — ten pełen wigoru — ruszył powoli ku Hakonowi i ku mnie, znacząco kołysząc maczugą. Najwidoczniej miał zamiar ogłuszyć nas przed odejściem, żebyśmy nie uciekli, korzystając z ich nieobecności. Napotkawszy jego roziskrzony wzrok, nabrałem tchu w piersi i otworzyłem usta, aby zawołać czarownika, który, jakkolwiek nie żywił do nas ciepłych uczuć, to jednak nie chciał na razie nas zabijać. Nie wiedziałem, czy mój krzyk wyrwie go z transu, ale tylko w ten sposób mogłem stawić opór.

Gdy otworzyłem usta, niższy Pikt zawołał towarzysza, który zatrzymał się. Po krótkiej sprzeczce obaj odwrócili się plecami do czarownika i z pluskiem odeszli z wyspy.

— No, w końcu pozbyliśmy się ich — mruknął Hakon. — Tylko jak, do siedmiu piekieł, uwolnimy się z tych więzów? Ci, którzy nas wiązali, nie patyczkowali się zbytnio.

— Poczekaj, a zobaczysz — mruknąłem. Rozluźniłem wszystkie mięśnie, tak że rzemienne pęta nie obejmowały mnie tak ciasno. Potem zacząłem poruszać rękami i ramionami w górę i w dół, usiłując zsunąć więzy na biodra.

Słońce chyliło się ku zachodowi, muchy bzyczały, czarownik siedział nieruchomo jak posąg, a ja nadal biedziłem się z pętami, czując pot spływający po twarzy, a w ustach suchość niczym w jaskini pełnej pustynnego piasku. Wreszcie jedna pętla zsunęła się na tyle, że mogłem ją zahaczyć paznokciem małego palca prawej dłoni. Nie było to wiele, ale po chwili zdołałem zaczepić również palec wskazujący i serdeczny, a później także środkowy.

Ponieważ pętla nie owijała teraz całej dłoni, rozluźniła się odrobinę i niebawem zdołałem ją ściągnąć również z lewej ręki.

Popołudnie mijało; nad moczarami przelatywały stada kaczek, a ja wciąż tarosiłem i szarpałem moje więzy. W końcu uwolniłem jedno przedramię, a następnie drugie.

Uwolniwszy dłonie, zająłem się pętlami krępującymi moje ramiona... I wreszcie byłem wolny!

Stałem przez chwilę, rozcierając kończyny i krzywiąc się z bólu. Zerknąłem na czarownika, ale ten nie poruszył się.

Niepewnym krokiem podszedłem do Hakona. Był związany jeszcze dokładniej niż ja.

Piktowie zabrali mi wszystko i nie miałem czym przeciąć rzemieni. Gdy usiłowałem je rozplatać, Hakon rzekł:

— W tym tempie zajmie ci to całą noc, Gault. Zobacz, czy nie znajdziesz jakiegoś noża.

Próbowałem przegryźć więzy, lecz szło mi to równie wolno jak ich zsuwanie. Poszedłem za radą Hakona i przeszukałem chaty jedną po drugiej, jednak goście czarownika zabrali ze sobą cały swój ekwipunek. W jego chacie znalazłem jedynie prymitywne naczynia kuchenne i wiele magicznych przyborów, ale nie było tam niczego z porządnym ostrzem. Jediną bronią był dziwnego kształtu łuk i kołczan pełen strzał. Kiedy obejrzałem strzały, stwierdziłem, że na nic mi się nie zdadzą. Miały długie, kamienne groty i najwidoczniej służyły do polowania na ptactwo, a nie na większą zwierzynę, taką jak człowiek.

Przypomniałem sobie, że czarownik ma za pasem nóż. Wyglądało na to, iż jest to jedyna broń, jaka pozostała na jego wyspie. Nie pozostało mi nic innego jak spróbować odebrać mu ją.

Gdy podkradłem się do niego, czarownik nadal siedział pogrążony w transie. Podszedłem cicho, złapałem go za długie włosy, odwróciłem szarpnięciem i wymierzyłem potężny cios w szczękę.

Uderzenie powaliło starego. Przez moment jego ciało wiło się i drgało, niczym cielsko tej bezgłowej żmii; potem opanował drgawki. Jednak ja zdążyłem już chwycić go za gardło i ścisnąć ze wszystkich sił. Czarownik opierał się — w tym chudym ciele kryło się więcej energii, niż można by przypuszczać. Bił pięściami, drapał i kopał tak, że wydawało się, iż jego ciało

jest zrobione ze stalowych drutów i rzemieni. Usiłował wepchnąć mi w oko brudny pazur, ale ugryzłem go w kciuk.

Na moment jego głęboko osadzone oczy napotkały moje spojrzenie i nagle wydało mi się, że ktoś chce wyrwać duszę z mego ciała. Jakiś głos mówił mi, że źle czynię. Kazał mi puścić czarownika i robić, co mi każe, gdyż on jest mym prawowitym panem. Ja jednak zamknąłem oczy i nadal ścisnąłem szyję wroga.

Wstaliśmy, upadliśmy i znowu wstaliśmy, by ponownie przetoczyć się po ziemi. Próbowałem wyjąć swój nóż i w końcu mu się to udało, ale był już tak słaby, że zdołał tylko rozciąć mi skórę na żebrach. Uderzyłem jego ręką o kolano i wytrąciłem mu nóż. Przez cały czas ścisnąłem go za gardziel, żeby nie wypowiedział jakiegoś straszliwego zaklęcia i nie skazał mojej duszy na wieczyste męczarnie.

Powoli przestawał się miotać. Chociaż leżał już bez ruchu, ja nadal zaciskałem dłonie na jego gardle, nie chcąc, aby nagle, kiedy go wypuszczę, wrócił do życia.

Gdy nie wyczuwałem już bicia serca ani innych oznak życia, podniosłem nóż i poderżnąłem czarownikowi gardło. Potem pospieszyłem oswobodzić Hakona. Stał przez moment, rozcierając kończyny i klnąc wściekle.

— Co było w tym worku? — zapytałem.

— Czarownik wsadził do niego wszystkie demony bagien — rzekł Hakon. — Kiedy Piktowie napadną na fort, przerzucą ten długi drąg przez palisadę. Wtedy jeden z nich pociągnie za te zwisające rzemienie i wór otworzy się, a demony wyskoczą z sakwy i zabiją każdego człowieka, którego dopadną.

— A czemu nie zabiją również Valeriana i jego dzikusów?

— Czarownik zaczarował demony tak, że będą atakowały tylko tych, którzy stoją. Zaraz po otwarciu worka Piktowie rzucą się więc na ziemię i zaczekają, aż demony skończą masakrę i wrócą do domu, na bagna.

— Musimy ich jakoś powstrzymać — powiedziałem. — Niech ich Mitra przeklnie, oprócz

noża tego starucha nie ma tu żadnej innej broni. Nie liczę łuku i strzał na ptaki, które

znalazłem w chacie czarownika.

— To lepsze niż nic — rzekł ponuro. — Nawet strzała na ptactwo może zadać paskudną ranę, jeśli wystrzelić ją mocno i z bliskiej odległości. Jednak to ty musisz wziąć łuk. Piktowie wykręcili mi ramię, kiedy mnie schwytali, i teraz nie mógłbym dobrze celować.

Tak więc Hakon i ja, odziani jedynie w mokasyny i przepaski na biodrach, wyruszyliśmy w pogoń za armią Valeriana. Ja wziąłem łuk czarownika, a Hakon jego nóż.

6

Kiedy przeprawiliśmy się przez Strumień Tulliana, zaczęliśmy iść znacznie ostrożniej, na wypadek gdyby Piktowie pozostawili jakąś tylną straż. Przez Strumień Rysia przeszliśmy jeszcze ostrożniej, ale nie napotkaliśmy żadnego Pikta. Przy chacie nie znaleźliśmy ani śladu po Karlusie, który najwidoczniej został uratowany. Dostrzegliśmy pozostałości po Piktach — tu pióro, które wypadło z czupryny wojownika, tam rozdarty mokasyn — ale samych dzikusów nie było nigdzie widać.

Dogoniliśmy ich dopiero po zachodzie słońca, kiedy dotarliśmy do pól otaczających

Schondarę. Piktowie rozstawili się na ich skraju wielkim półokręgiem. Leżąc w kępie paproci, ledwie ważąc się oddychać, ujrzelśmy Valeriana, jego kochankę i wodzów oraz w samym środku zbiorowiska przywiązany do drąga wór. Wszyscy leżeli lub kucali przy drzewach rosnących wokół pól.

W odległej Schondarze nie paliły się światła; wyglądało na to, iż do mieszkańców dotarło nasze ostrzeżenie i wiedzieli oni — o ukrytych wrogach. W forcie widać było światła i słychać było szum — głosy stłoczonych tam ludzi i zdenerwowanych zwierząt. Ukryci w forcie mieszkańcy mogli stawiać opór, lecz Piktowie i tak mieli ogromną przewagę liczebną i mogliby zdobyć fort, nawet gdyby zawiodły sztuczki czarownika.

Za nami, ledwie widoczny wśród drzew, srebrny sierp księżyca zapadał za horyzont, nad

którym zstępujące słońce pozostawiło pasma żółci, różu i zieleni. Nad naszymi głowami gasły gwiazdy. Hakon szepnął:

— Czy myślisz, że jeśli nie zaatakują, zanim się ściemni, uda ci się podejść do tej sakwy na odległość strzału z łuku?

— Po co? — spytałem. — Co to da?

— Spróbuj, a zobaczysz.

Nagle zrozumiałem plan Hakona i zdumiałem się jego śmiałością. W końcu cal po calu, pełzając jak węże, doczołgaliśmy się do wielkiego, starego dębu. Wstałem powoli, wstrzymując oddech, aby nie ściągnąć na siebie uwagi najbliższych Piktów, leżących zaledwie dwadzieścia metrów przede mną i kryjących się tak samo jak my.

Powoli wyjąłem strzałę i nałożyłem na cięciwę. Gdy mrok zgęstniał jeszcze trochę, w pobliżu zahuczał bęben. W forcie zaczęto bić na alarm. Wydawało mi się nawet, że słyszę szcęk napinanych do strzału balist.

Wokół rozległy się szelesty — to Piktowie podnosili się z ziemi i gromadzili wokół swoich wozów. Mimo warkliwych rozkazów dowódców, nakazujących ciszę, w półokręgu było słychać gardłowy pomruk rozmów.

Bęben zahuczał w innym rytmie; teraz bił szybko, raz — dwa. Piktowie podnieśli w górę drąg z sakwą, tak że wisiała, kołysząc się nad ich głowami.

— Teraz! — szepnął Hakon.

Wycelowałem w wór i zmówiłem w myślach modlitwę do Mitry. Nigdy nie strzelałem z tego łuku, było ciemno, a sakwa chybotwała się.

Bęben odezwał się w jeszcze innym rytmie. Rozległy się świsty i grzechotania; wzdłuż szyku wykrzykiwano rozkazy. Z przerażającym rykiem setki Piktów wypadły z lasu i pognały w kierunku wioski i fortu, wyjąc jak dzikie bestie.

Strzeliłem. Gdy tylko wypuściłem strzałę, wiedziałem, że chybi celu i błyskawicznie sięgnąłem do kołczana po drugą. Jednak wór, kołyszący się tam i z powrotem, przypadkiem

znalazł się na drodze strzały. Grot trafił w cel, powodując trzask przypominający odgłos pękającego bębna.

Piktowie trzymający drąg ruszyli naprzód z pozostałymi, lecz zaraz stanęli, z niepokojem spoglądając w górę. Rozległ się trzask dartego materiału i wokół sakwy pojawiła się gęsta, czarna chmura.

— Na ziemię! — krzyknął mi do ucha Hakon, łapiąc mnie za ramię i pociągając za sobą.

Nie potrzebowałem ponagleń; szybko przywarłem do murawy.

Wór oklapł i obwił, tracąc poprzedni kształt. Chmura, która się z niego wydobyła, zawisała nad pędzącymi przez pola w kierunku Schondary i tratującymi uprawy piktyjskimi

oddziałami. Rozprzestrzeniając się, chmura przybrała grudkowate kształty, jakby zgęstniała w jakieś materialne postacie. Ten ciemny obłok zmienił się w wiele żywych istot — wysokich,

chudych stworzeń o ptasich nogach i kadłubach, z półludzkimi głowami oraz górnymi częściami ciała. Każde miało długie, kościste ramiona zakończone dłońmi uzbrojonymi w

olbrzymie, zagięte szpony. Demony dorównywały wzrostem człowiekowi, a otaczała je upiorna, migocząca poświata, jakby były skąpane w zimnym blasku bagiennego ognia.

Nie mam pojęcia, ile ich było. Schowałem twarz w dłoniach, aby moje oczy nie napotkały spojrzenia demona i nie ściągnęły go nam na kark. Mogło być ich sto albo i pięćset.

Wrzeszcząc i wyjąc, demony przebiegały tu i tam, co chwilę rozszarpując pazurami jakiegoś Pikta. Skowycząc głośniejsze od bagiennych demonów, dzicy umykali we wszystkie

strony, ale duchy były szybsze. Kilka kroków od nas jeden z nich zamaszystym ciosem

szponiastej dłoni pozbawił głowy piktyjskiego wojownika, który przeszedł jeszcze dwa kroki, zanim upadł.

Niektórzy Piktowie pamiętali o tym, że powinni upaść na ziemię. Jednak znaczna

większość pod wpływem zaskoczenia i z braku odpowiedniego rozkazu wpadła w panikę i rzuciła się do ucieczki. Z katastrofalnym skutkiem, gdyż rozwścieczone demony gnały za

nimi na swych długich, ptasich nogach, szybsze od najsmiglejszych biegaczy.

Migoczące nimby otaczające demony bagien gasły w oddali, gdy potwory znikwały w lesie.

W końcu wokół nie było śladu życia.

Wstaliśmy, rozprostowaliśmy obolałe kości i ruszyliśmy w kierunku Schondary. Tuż przed nami jak spłoszony królik wyskoczył z krzaków Pikt. Zamiast runąć na nas z wyciem, wywijając toporem, odwrócił głowę, udając, że nas nie widzi, i umknął w las. Nie poczytuję mu tego za ujmę. Sceny, których dopiero co byliśmy świadkami, mogły pozbawić odwagi nawet tak dziki i wojowniczy lud jak Piktowie.

Znaleźliśmy głowę i lewe ramię Valeriana, a potem resztę jego ciała, leżącą obok drąga ze skórzaną sakwą. Głowę zabraliśmy ze sobą jako dowód prawdziwości naszych słów. Nigdzie nie zauważyliśmy Kwarady.

Na przedmieściu Schondary spotkaliśmy strażnika; syn Dirka Stroma, zdumiony klęską piktyjskich oddziałów, wysłał go na zwiady. Kiedy zwiadowca usłyszał naszą opowieść, pognął z powrotem do fortu, oznajmiając krzykiem dobre wieści. W końcu rozkrzyczany, wiwatujący tłum zaniósł nas na rękach do fortu i długo obnosił po dziedzińcu.

Jednak najbardziej utkwiał mi w pamięci widok twarzy syna Otho Gorma, który stał w blasku pochodni oparty plecami o zewnętrzną palisadę. Przybył do Schondary, szukać ze mną zwady, a teraz stał z nieopisanym zdziwieniem malującym się na jego głupiej gębie, patrząc, jak tłum wiwatuje na cześć Hakona i moją jako zbawców prowincji! Pożartowałbym sobie z niego, ale zniknął w ciżbie i jeszcze tej nocy wrócił do fortu Kwanyara, nie chcąc odwoływać swych nierozważnych słów.

A potem otrzymaliśmy wieści, że ten nędznik Numedides nie żyje, a Conan został królem.

Od tej pory na pograniczu było spokojniej niż kiedykolwiek przedtem, ponieważ wszyscy po obu stronach granicy dobrze wiedzą, że król Conan nie rzuca słów na wiatr i nie zniesie łamania traktatów ani przez dzikich, ani przez nas. W Thandarze jest teraz wiele kwitnących wiosek i miast.

Jednak muszę przyznać, że w dawnych czasach, kiedy każdy mieszkaniec pogranicza sam

ustanawiał swoje prawa, życie było bardziej urozmaicone.

FENIKS NA MIECZU

Po zdobyciu stolicy Akwilonii i zgładzeniu króla Numedidesa, dobiegający już czterdziestki Conan zasiada na tronie tego największego z hyboryjskich państw.

Okazuje się jednak, że żywot władcy nie jest usłany różami. Jeszcze nie upłynął rok, a już minstrel Rinaldo układa podburzające ballady na cześć „umęczonego” Numedidesa.

Ascalant, książę Thune, zbiera wokół siebie gromadę spiskowców zamierzających pozbawić barbarzyńcę tronu. Conan przekonuje się, że pamięć ludzka jest krótka, a korony czasem spadają z głów (albo razem z nimi).

1

Nad kopulastymi dachami i lśniącymi wieżami zalegała upiorna cisza i mrok. Cztery zamaskowane postacie prześliznęły się przez uchylone czyjąś ręką drzwi i szybko wtopiły się w ciemność jednej z setek krętych ulic tworzących prawdziwy kamienny labirynt.

Szczelnie zakutane w płaszcze, bez słowa zniknęły w mroku, niczym duchy pomordowanych.

Przez nie domknięte drzwi spoglądała za nimi twarz wykrzywiona w sardonicznym uśmiechu — złowrogo błysnęły zmrużone oczy.

— Idźcie, rycerze nocy — szepnął drwiąco głos. — O, głupcy! Nie wiecie, że śmierć depcze wam po piętach jak ślepy pies.

Powiedziawszy to, mężczyzna zamknął drzwi i zasunął rygle, po czym odwrócił się i ze świecą w dłoni ruszył korytarzem. Był ponurym olbrzymem o śniadej skórze zdradzającej stygijskie pochodzenie. Wszedł do komnaty, w której na pokrytej jedwabiem kanapie leżał wysoki, chudy mężczyzna sączący wino z wielkiego, złotego pucharu.

— No, Ascalancie — rzekł Stygijczyk, stawiając świecę — twoi durnie wypadli na ulicę jak szczury z nory. Używasz dziwnych narzędzi.

— Narzędzi? — odparł Ascalant. — Oni sądzą, że to ja jestem narzędziem. Od miesiący,

kiedy buntownicza czwórka wezwała mnie z głębi pustyni, żyję w samym sercu twierdzy wroga, za dnia kryjąc się w tym nędznym domu, a nocami skradając się przez ciemne uliczki i jeszcze ciemniejsze korytarze. I dokonałem tego, czego nigdy nie zdołaliby dokonać ci zbuntowani dworacy. Z pomocą tych oraz innych agentów, z których wielu nigdy nie widziało mojej twarzy, wzniciłem w państwie niepokój i niezadowolenie. Krótko mówiąc, pozostając w cieniu, przygotowałem upadek zasiadającego na tronie króla. Na Mitrę, nie na darmo byłem mężem stanu, zanim wyjęto mnie spod prawa!

— A ci durnie, którzy uważają się za twoich panów?

— Nadal myślą, że im służę, i będą tak uważać, dopóki nie dopniemy celu. Kim są, by mierzyć się z Ascalantem? Karzeł Volmana — księżę Karabanu, Gromel — dowódca Czarnego Legionu, Dion — tłusty baron Attalus i Rinaldo — pustogłowy minstrel. To ja uczyniłem z nich stalowe ostrze buntu, a gdy przyjdzie czas, zniszczę ich, wykorzystując ich własne przywary. To jednak przyszłość — dzisiejszej nocy zginie król.

— Kilka dni temu widziałem armię opuszczającą miasto — rzekł Stygijczyk.

— Udali się na pogranicze niepokojone przez pogańskich Piktów, podnieconych do szaleństwa trunkami, które dla nich przemyciłem przez granicę. Pieniądze Diona to umożliwiły. A Volmana wyprowadził z miasta resztę królewskich oddziałów. Za pośrednictwem swego książęcego krewniaka w Nemedii z łatwością namówił króla Numę, aby zażądał przybycia Trocera — senesza Akwilonii i księcia Poitain. Rzecz jasna, taka misja wymaga nie tylko eskorty własnych oddziałów, ale również honorowej asysty królewskiej gwardii z Prosperem, prawą ręką króla Conana, na czele. Tak więc w mieście została tylko przyboczna straż króla i Czarny Legion, który o północy odwoła strażę sprzed drzwi królewskiej komnaty. Wtedy ja z moimi szesnastoma gotowymi na wszystko łotrami przez ukryte przejście wtargnę do pałacu. A kiedy dokonamy dzieła, to nawet jeśli lud nas nie poprze, Czarny Legion Gromela wystarczy, aby utrzymać miasto i tron.

— A Dion myśli, że tron przypadnie jemu?

— Tak. Ten tłusty dureń rości sobie do niego prawo ze względu na domieszkę królewskiej krwi w swoich żyłach. Conan popełnił błąd, pozwalając żyć ludziom chełpiącym się pokrewieństwem ze starą dynastią, której wydarł koronę Akwilonii. Volmanę chce przywrócić do łask, aby podźwignąć do dawnej świetności swoje podupadłe włości. Gromel nienawidzi Pallantudesa, dowódcy Czarnych Smoków, i z uporem prawdziwego Bossończyka dąży do objęcia dowództwa nad całą armią. Rinaldo jako jedyny z nich nie kieruje się prywatą. Widzi w Conanie gruboskórnego barbarzyńcę o skrwawionych rękach, który przybył z północy, by plądrować cywilizowany kraj. Idealizuje króla, którego Conan zabił, aby zdobyć tron, i pamięta jedynie to, że martwy władca czasami popierał sztukę. Nie pamięta, ile zła wyrządził, i sprawia, że lud też o tym zapomina. Już otwarcie śpiewają „Lament po zamordowanym królu”, w której to pieśni Rinaldo oplakuje tego łotra jak świętego i ogłasza Conana „ponurym dzikusiem z piekła rodem” — . Conan śmieje się z tego, ale lud szemrze...

— Czemu on nienawidzi Conana?

— Poeci zawsze nienawidzą władców. Dla nich doskonałość zawsze znajduje się za ostatnim lub następnym zakrętem. Uciekają przed rzeczywistością w marzenia o przeszłości i jutrze. Rinaldo to płonąca pochodnia idealizmu. Uważa, że zabijając Conana, uwolni lud od tyrana. A jeśli o mnie chodzi... no, kilka miesięcy temu moją jedyną ambicją było grabienie karawan. Teraz powróciły stare marzenia. Conan zginie i Dion zasiądzie na tronie. Później on też umrze. Jeden po drugim umrą wszyscy moi przeciwnicy. Stanie się tak dzięki ogniowi, stali lub tym straszliwym nalewkom, które tak dobrze sporządzasz. Ascalant, król Akwilonii!

Jak ci się to podoba?

Stygijczyk wzruszył szerokimi ramionami.

— Był taki czas — rzekł z nieskrywaną goryczą — kiedy ja też miałem ambicje, przy których twoje zdają się dziecinne i pozbawione gustu. Jakże nisko upadłem! Moi dawni rywale i pomocnicy wybałuszyliby oczy ze zdziwienia, gdyby ujrzeli Thoth–Amona, Mistrza Kręgu, służącego jako niewolnik u cudzoziemca wyjętego spod prawa i wspomagającego

drobne ambicyjki baronów i królów!

— Pokładałeś wiarę w magię i zaklęcia — odparł niedbale Ascalant. — Ja wierzę w mój rozum i miecz.

— Rozum i miecz są niczym źdźbła trawy na wietrze wobec wiedzy Ciemności — warknął Stygijczyk, a w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk. — Gdybym nie utracił pierścienia, byłbyś na moim miejscu, a ja na twoim.

— Jednak — odparł niecierpliwie Ascalant — nosisz na grzbiecie ślady mojego bata i chyba dalej będziesz je nosił.

— Nie bądź taki pewny! — Przez moment twarz niewolnika wykrzywiła się grymasem szalonej nienawiści. — Któregoś dnia jakimś sposobem odnajdę pierścień i wtedy, na kły jadowe Seta, zapłacisz mi...

Porywczy Akwilończyk zerwał się z otomany i mocno uderzył go w twarz. Thoth–Amon zatoczył się w tył, krew popłynęła mu z rozciętych warg.

— Stałeś się zbyt zuchwały, psie! — ryknął banita. — Uważaj, wciąż jestem twoim panem, który zna twój mroczny sekret. No, dalej, wejdź na dach i krzycz, że Ascalant jest w mieście i spiskuje przeciw królowi! Może się ośmielisz?

— Nie ośmielę się — mruknął Stygijczyk, ocierając krew z ust.

— Taak, nie ośmielisz się — uśmiechnął się zimno Ascalant — bo jeśli umrę wskutek twojej zdrady czy niedbalstwa, kapłan w pustelni na południowej pustyni dowie się o tym i złamie pieczęć manuskryptu, który mu zostawiłem. A przeczytawszy go, szepnie słowo w Stygii i o północy zawieje wiatr z południa. I gdzie się wtedy schronisz, Thoth–Amonie? Niewolnik zadrżał, a jego śniada twarz nagle pobladła.

— Dosyć! — Ascalant raptownie zmienił temat. — Mam dla ciebie zadanie. Nie wierzę Dionowi. Radziłem mu, aby udał się do swoich włości i pozostał tam, aż dokonamy dzieła.

Ten tłusty dureń nie zdołałby dziś ukryć przed królem swojego zdenerwowania. Pojedziesz za nim i

jeśli nie dogonisz go na drodze, podążysz do jego włości i pozostaniesz przy nim dopóty, dopóki go nie wezwiemy. Nie spuszczaaj go z oka. Trzęsie się ze strachu i może się wygadać. Gotów nawet pobiec do Conana i zdradzić nasze plany w nadziei ocalenia własnej skóry. Idź!

Niewolnik skłonił się, ukrywając targającą nim nienawiść i zrobił, co mu kazano. Ascalant znów zajął się pucharem. Nad bogato zdobionymi kopułami dachów wstawał świt, czerwony jak krew.

2

Kiedym był wojownikiem, na chwałę bili mi w kotły,

Lud pod kopyta mego konia sypał pył szczerozłoty;

Lecz teraz jestem królem i oto jest przyczyna

Ciosu sztyletem w plecy i zatrutego wina.

(„Droga Królów”)

Komnata była duża i urządzona z przepychem. Na ścianach wykładanych boazerią ze

słoniowej kości wisały kosztowne gobeliny, na posadzce leżały grube dywany, a wysoki sufit zdobiły kunsztowne, posrebrzane ornamenty. Za inkrustowanym złotem sekretarzykiem

siedział mężczyzna, którego szerokie bary i spalona słońcem skóra wydawały się dziwnie nie posuwać do tego ociekającego luksusem wnętrza. Zdawał się być raczej częścią krainy słońca i wiatru oraz wyniosłych górskich szczytów. Każdy jego ruch zdradzał stalową siłę mięśni

doskonale skoordynowanych z bystrym umysłem i refleksem urodzonego wojownika. W jego

ruchach nie było cienia sztuczności czy pozy. Albo trwał w bezruchu — niczym spiżowy

posąg — albo poruszał się, ale nie gwałtownymi zrywami nadmiernie napiętych mięśni, lecz z kocią zwinnością trudną do uchwycenia okiem. Jego szaty były skromne, chociaż z

kosztownego materiału. Nie nosił żadnych ozdób ni pierścieni, jedynie przetykaną srebrem

opaskę, która przytrzymywała prosto przyciętą grzywę czarnych włosów.

Odłożył złoty rylec, którym pracowicie kreślił znaki na woskowanych tabliczkach, podparł

brodę pięścią i spojrział zazdrośnie swoimi płonącymi, niebieskimi oczami na stojącego przed nim człowieka. Mężczyznę tego niezwykle zajmowały własne sprawy, bo właśnie sznurował swój pozłacany pancerz i pogwizdywał pod nosem — co było dość niekonwencjonalnym zachowaniem, jeżeli zważyć, że robił to w obecności króla.

— Prospero — rzekł siedzący za stołem — sprawy związane z kierowaniem państwem męczą mnie bardziej niż wszystkie bitwy, jakie stoczyłem, razem wzięte.

— Takie są zasady gry, Conanie — odparł ciemnowłosy książę Poitain. — Jesteś królem — musisz grać swoją rolę.

— Wolałbym pojechać z tobą do Nemedii — rzekł z zawiścią Cymeryjczyk. — Wydaje się, że minęły wieki, od kiedy ostatni raz siedziałem na koniu. Jednak Publiusz mówi, że sprawy państwowe wymagają mojej obecności w stolicy. Niech go diabli! Kiedy obalałem starą dynastię — ciągnął po chwili z niedbałą poufałością, na jaką pozwalał sobie tylko w rozmowach z Prosperem — wydawało mi się to dość łatwe. Spoglądając teraz wstecz, widzę za sobą długą drogę: te wszystkie dni znoju i udręki, intryg i zabijania zdają się snem. Jednak nie dośniłem go do końca, Prospero. Kiedy król Numedides legł martwy u mych stóp i kiedy zerwawszy koronę z jego okrwawionych skroni założyłem ją na własne, osiągnąłem granicę, której nie przekraczałem w swoich snach. Byłem przygotowany na to, by założyć koronę, ale nie na to, aby ją nosić. Za dawnych, dobrych czasów pragnąłem jedynie dobrego konia i ostrego miecza w garści. Wszystko wydawało mi się proste. Dziś nic nie jest proste, a mój miecz jest bezużyteczny... Kiedy obalałem Numedidesa, uważali mnie za Wyzwoliciele — teraz plują na mój widok. W świątyni Mitry postawili posąg tego wieprza, a lud wznosi przed nim żałobne pienia — hymny ku czci świętego męża zamordowanego przez krwawego barbarzyńcę. Gdy jako najemnik wiodłem jej armie do zwycięstwa, Akwilonia nie pamiętała o tym, że jestem cudzoziemcem, ale teraz nie może mi tego wybaczyć. Teraz do świątyni Mitry, aby palić kadzidła Numedidesowi, przychodzą ludzie, którym jego kaci ucinali ręce i wylupiali oczy, ludzie, których synowie zginęli w jego lochach, których żony i córki

zawleczono do jego seraju. Niewdzięczni durnie!

— W znacznej mierze odpowiada za to Rinaldo — odparł Prospero, zaciskając pas o jeszcze jedną dziurkę. — Śpiewa pieśni, które doprowadzają ludzi do szaleństwa. Powieś go w błazeńskim stroju na najwyższej wieży w mieście. Niech układa rymy dla sępów.

Conan potrząsnął swoją lwią grzywą.

— Nie, Prospero, nie mogę tego zrobić. Wielki poeta jest czymś więcej niż największy król. Jego pieśni są potężniejsze od mojego berła. Gdy kiedyś zechciał zaśpiewać dla mnie, myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi. Umrę i zostanę zapomniany, a pieśni Rinalda będą żyły wiecznie. Nie, nie — ciągnął król z ponurym błyskiem w oku — w tym się coś kryje, jakieś drugie dno, którego nie dostrzegamy. Czuję to tak, jak za młodu czułem tygrysa kryjącego się w wysokiej trawie. Jakiś dziwny niepokój zapanował w królestwie. Jestem niczym myśliwy, który kuli się przy swoim małym ognisku pośrodku lasu, słysząc szelest stóp skradających się w ciemności i niemal widząc błyszczące oczy napastników. Gdybym tylko mógł stawić czoła czemuś uchwytnemu, czemuś, co mógłbym przeciąć ostrzem miecza! Mówię ci, to nie przypadek, że Piktowie ostatnio tak gwałtownie zaatakowali pogranicze, zmuszając Bossończyków do wezwania posiłków. Powinienem wyruszyć na czele wojsk.

— Publiusz obawiał się, że to spisek mający na celu porwać cię i zabić — odparł Prospero, wygładzając fałdy płaszcza i podziwiając swoją wysoką, gibką postać w srebrnym lustrze. — To dlatego nalegał, abyś został w mieście. Twoje wątpliwości rodzą się z barbarzyńskich przesądów. Niechaj lud szemrze! Najemnicy są z nami, a Czarne Smoki i każdy zbój w Poitain oddałby za ciebie życie. Możesz obawiać się tylko zamachu, a ten jest niemożliwy, jeśli gwardia królewska strzeże cię dzień i noc. Nad czym teraz pracujesz?

— Nad mapą — odparł z dumą Conan. — Mapy, które znajdują się w archiwum, pokazują dokładnie kraje południa, wschodu i zachodu, ale na północy są niedokładne i fragmentaryczne. Sam oznaczę północne ziemie. Tu leży Cymeria, gdzie się urodziłem. A

tu...

— Asgard i Vanaheim — rzekł Prospero, spojrzawszy na mapę. — Na Mitrę, byłem prawie pewien, że te kraje istnieją tylko w legendach!

Conan uśmiechnął się krzywo, mimowolnie dotykając szram na opalonej twarzy.

— Nie mówiłbyś tak, gdybyś spędził młodość na północnej granicy Cymerii! Asgard leży na północ, a Vanaheim na północny zachód od mojej ziemi ojczystej. Toczy się tam nieustająca wojna.

— Jacy są ci ludzie z północy? — spytał Prospero.

— Wysocy, jasnowłosi i niebieskoocy. Ich bogiem jest Ymir, lodowy gigant. Każde plemię ma swojego wodza. Są dzicy i uparci. Potrafią walczyć cały dzień, a całą noc śpiewać wrzaskliwym głosem swoje pieśni i żłopać piwsko.

— A więc widzę, że naprawdę jesteś jednym z nich — zaśmiał się Prospero. — Śmiejesz się głośno, pijesz tego i śpiewasz dobre pieśni, chociaż nigdy nie widziałem Cymeryjczyka, który by pił coś mocniejszego od wody, śmiał się głośno czy śpiewał coś innego niż ponure pieśni żałobne.

— Może to wpływ krainy, w której żyją — odparł król. — Nie ma bardziej posępnej ziemi; nie kończące się wzgórza porośnięte gęstym lasem, wiecznie szare niebo i wiatr jęczący głucho w dolinach.

— Nic dziwnego, że ludzie stają się ponurzy — zauważył Prospero, wzruszając ramionami i myśląc o jasnych, rozświetlonych słońcem równinach oraz czystych, leniwych rzekach Poitain, najdalej na południe wysuniętej prowincji Akwilonii.

— Nie ma dla nich nadziei ani tu, ani na tamtym świecie — rzekł Conan. — Ich bogiem jest Crom wraz ze swą ponurą swiłą, rządzący pozbawionym słońca królestwem wiecznych mgieł — krainą zmarłych! Wolę już wierzenia i Esirów.

— No — zaśmiał się Prospero — mroczne wzgórza Cymerii pozostały daleko za tobą. Idę

już. Wychyłę za ciebie puchar białego, nemedyjskiego wina na dworze króla Numy.

— Świetnie — mruknął król — ale całuj tancerki Numy tylko od siebie, inaczej wywołasz międzynarodowy kryzys!

Rubaszny śmiech Conana ścigał wychodzącego z komnaty Prospera.

3

W podziemiach piramid Wielki Set śpi zwinięty;

W cieniu grobowców pełza jego lud przeklęty...

Z bezdennych otchłani wznosi swe wołanie:

Ześlij mi sługą gniewu, o łuskowaty Panie!

Słońce chyliło się już ku zachodowi, wyzłacając zieloną i bladoniebieską linię lasu.

Gasnące promienie ożywały blaskiem na ogniwach złotego łańcucha, który siedzący w gąszczu jaskrawego kwiecica i liści swojego ogrodu Dion z Attalus nieustannie obracał pulchnymi dłońmi. Szlachcic podniósł opasy kałdun z marmurowej ławy i płochliwie rozejrzał się wokół, jakby szukając skradającego się wroga. Znajdował się na polance otoczonej małymi drzewkami, których splatające się ze sobą gałęzie dawały dostateczny cień.

W pobliżu szemrała srebrzysta fontanna, która współgrała z głosem innych, stojących w różnych miejscach wielkiego ogrodu i tworząc z nimi cichą symfonię.

Dion był sam, jeśli nie liczyć ciemnoskórej postaci przycupniętej przy kamiennej ławie i patrzącej nań posepnie.

Szlachcic nie zwracał uwagi na Thoth–Amona. Nie dlatego, by przeczuwał, że może mu nie ufać jako wiernemu słudze Ascalanta, lecz ponieważ, jak wielu bogaczy, niewiele uwagi poświęcał ludziom o niższej pozycji.

— Nie powinieneś się tak denerwować, panie — rzekł Thoth–Amon. — Spisek musi się udać.

— Ascalant może popełnić błąd, tak jak każdy — uciał Dion, pocąc się na samą myśl o konsekwencjach niepowodzenia.

— Nie on — uśmiechnął się krzywo Stygijczyk — inaczej nie byłbym jego niewolnikiem, lecz panem.

— Co ty opowiadasz? — rzucił szlachcic opryskliwie, myśląc o czymś innym.

Thoth–Amon zmrużył oczy. Mimo żelaznych nerwów był bliski wybuchu. Nagromadzony w nim wstyd, nienawiść i wściekłość domagały się ujścia i sprawiały, że był gotów skorzystać z każdej nadarzającej się okazji. Nie wziął tylko pod uwagę, że Dion patrzy nań nie jak na ludzką istotę obdarzoną rozumem i wolą, lecz jak na niewolnika, stworzenie niegodne uwagi.

— Wysłuchaj mnie — rzekł Thoth. — Zostaniesz królem. Jednak słabo znasz Ascalanta.

Nie możesz mu ufać. Ja mogę ci pomóc. I zrobię to, jeśli zapewnisz mi ochronę, kiedy Conan zginie i sięgniesz po władzę. Posłuchaj tylko. Tam, na południu, byłem wielkim

czarnoksiężnikiem. Ludzie mówili o Thoth–Amonie tak, jak niegdyś o Rammonie. Król

Stygii Ctesphon obdarzył mnie wielkim zaszczytem, wynosząc nad innych magów.

Nienawidzili mnie, ale i bali się, ponieważ miałem władzę nad Istotami Ciemności, które przybywały na me wezwanie i spełniały moje życzenia. Na Seta, moi wrogowie nie znali dnia

ni godziny, kiedy szponiaste palce demonów zacisną się na ich gardłach. Te mroczne,

straszne czary rzucałem dzięki Wężowemu Pierścieniowi Seta, który znalazłem głęboko

pod ziemią w starym grobowcu zbudowanym, nim jeszcze praprzodkowie człowieka

wyczołgali się z mulistego morza. Jednak ktoś ukradł mi Pierścień i straciłem całą moc. Inni czarodzieje powstali przeciwko mnie i chcieli zabić; musiałem uciekać. Przebrany za

poganiacza wielbłądów, wędrowałem z karawaną przez pustynię Koth, gdy napadli na nas

rabusie Ascalanta. Zabili wszystkich prócz mnie; ocalałem życie, wyjawiając, kim jestem i

przysięgając posłuszeństwo Ascalantowi. Gorzka to była służba! Aby silniej związać mnie z

sobą, opisał wszystko w manuskrypcie, który zapieczętował i oddał na przechowanie

pustelnikowi mieszkającemu przy południowej granicy Koth. Nie odważę się pchnąć go

sztyletem, kiedy śpi, ani wydać go wrogom, bo wtedy pustelnik przeczyta manuskrypt, jak kazał mu Ascalant, i szepnie słowo w Stygii, a wtedy...

Thoth–Amon zadrżał, a jego śniada twarz przybrała barwę popiołu.

— W Akwilonii mnie nie znają — rzekł po chwili. — Jednak jeśli moi wrogowie w Stygii

dowiedzą się, gdzie przebywam, to nawet dzielące nas pół świata nie wystarczy, by uchronić mnie przed losem, który zmiękczyłby serce posągu. Tylko król, jego zamki i oddziały

konnicy mogą mnie ocalić. A pewnego dnia odnajdę Pierścień...

— Pierścień? Pierścień? — zdziwił się Dion.

Thoth nie doceniał absolutnego egocentryzmu rozmówcy. Dion był tak głęboko pogrążony we własnych myślach, że w ogóle go nie słuchał, ale ostatnie słowo potrafiło jakąś strunę jego świadomości.

— Pierścień? — powtórzył. — To mi przypomina... tak, mój amulet. Kupiłem go od

złodzieja z Shemu, który przysięgał, że ukradł go daleko na południu czarnoksiężnikowi i że przyniesie mi szczęście. Na Mitrę, słono za niego zapłaciłem. Jednak klnę się na bogów, że potrzeba mi naprawdę dużo szczęścia, skoro Ascalant i Volmana wciągają mnie w swoje

przeklęte spiski. Muszę się nim posłużyć.

Thoth–Amon zerwał się na równe nogi z twarzą pociemniałą od uderzającej do głowy

krwi, a w jego oczach pojawiło się zdumienie i wściekłość, gdy uświadomił sobie ogrom

głupoty i egoizmu rozmówcy. Dion nie zwracał na niego uwagi. Podniósł wieko skrytki w

marmurowej ławie i przez chwilę grzebał wśród stosu rozmaitych błyskotek — amuletów i talizmanów, które jako człowiek przesądny gromadził.

— Ach, tu jest!

Triumfalnie wyjął dziwnego kształtu pierścień. Wykonana z metalu podobnego do miedzi

ozdoba wyobrażała okrytą łuskami żmiję, zwiniętą w trzy zwoje i trzymającą ogon w zębach.

W miejscu oczu w złotym metalu osadzono złowrogo błyszczące klejnoty. Thoth–Amon

krzyknął jak smagnięty batem. Dion obrócił się, spojrzał nań i rozdziawił usta. Krew

odpłynęła mu z twarzy. Oczy niewolnika rozblęły i Thoth–Amon ciężko dysząc, wyciągnął śniade ręce do gardła szlachcica.

— Pierścień! Na Seta! Mój Pierścień! — wrzasnął. — Mój skradziony...!

Nagle w jego rękę błysnęła stal i potężnym zamachem wbił sztylet w tłuste cielsko barona.

Dion wydał wysoki, przeraźliwy pisk przechodzący w zduszony bulgot i osunął się na ziemię jak zmięty łachman. Głupiec — umarł, nie wiedząc, dlaczego ginie. Thoth–Amon odrzucił na bok okrwawione zwłoki, natychmiast o nich zapominając, i niecierpliwie chwycił pierścień w dłoń.

— Mój Pierścień! — szepnął ze straszliwą radością. — Moja moc!

Sam nie wiedział, jak długo stał nieruchomo niczym posąg, sycąc oczy widokiem magicznego pierścienia. Wreszcie otrząsnął się z zadumy i wrócił myślami z mrocznych czeluści. Księżyc już wschodził, rzucając długie cienie na gładkie oparcie marmurowej ławy, u stóp której leżało ciało barona Attalus.

— Koniec, Ascalancie, koniec! — szepnął Stygijczyk.

W półmroku jego oczy zalśniły krwawym blaskiem jak ślepie wampira. Pochyliwszy się z krzepnącej kałuży zaczerpnął na dłoń krwi i wtarł ją w ślepie żółtej żmii, aż pokryły się one purpurowym bielmem.

— Zamknij oczy, magiczna żmijo — zaintonował mrozącym krew w żyłach szeptem. —

Zamknij oczy w księżycowym blasku i otwórz je w czarnej otchłani. Cóż tam widzisz, o żmijo Seta? Kogo przyzwiesz z otchłani Ciemności? Czyj cień zasnuwa gasnący blask?

Wezwij go do mnie, o sługo Seta!

Pieszcząc łuski pierścienia szczególnym, kolistym ruchem, jeszcze bardziej ściszył głos;

szeptął ponure i okropne zaklęcia, imiona zapomnianych przez ludzi bóstw, o których pamięć przetrwała jedynie w zakątkach tajemniczej Stygii, gdzie w prastarych grobowcach wciąż kryły się koszmary.

Na polance wokół niego powietrze zawirowało jak woda w stawie, gdy z głębin coś

wynurza się na powierzchnię. Thoth poczuł powiew jakiegoś dziwnego, lodowatego wiatru, jakby otwarły się niewidoczne wrota. Wyczuwał czyjąś obecność za plecami, lecz nie odwracał się. Nie odrywał oczu od oblanej blaskiem księżyca plamy marmuru, na którym pojawił się zwiewny cień. W miarę jak mag wymawiał zaklęcie, cień ten stawał się coraz większy i wyraźniejszy, czarniejszy i bardziej przerażający. Kształtem przypominał gigantyczną małpę, ale takie stworzenie nigdy nie stąpało po ziemi, nawet w Stygii. Thoth nadal nie patrzył w jego stronę, tylko wyciągnął zza pasa sandał swojego pana — który zawsze nosił przy sobie w niejasnej nadziei, że kiedyś może się przydać — i cisnął go za siebie.

— Przyjrzyj mu się, sługo Pierścienia! — wykrzyknął. — Znajdź tego, który go nosił i zabij go! Zajrzyj mu w oczy i odbierz zmysły, zanim rozszarpiesz mu gardło! Zabij go!

W przyływie pasji Thoth–Amon dorzucił:

— I wszystkich, którzy będą przy nim!

Czarownik zobaczył, że potworny cień na marmurowej płycie opuszcza niekształtny łeb i węższy niczym odrażający ogar. Później ohydny łeb podniósł się, stwór okręcił się i znikł jak wiatr wiejący wśród gałęzi. Stygijczyk triumfalnym gestem uniósł ramiona w górę, szczerząc białe zęby i wywracając oczami.

Obchodzący mury strażnik wrzasnął z przerażenia, gdy wielki, czarny cień o płonących ślepiach przeskoczył blanki i ze świstem przemknął obok. Stwór zniknął tak szybko, że wartownik nie był pewny, czy to sen, czy przywidzenie.

4

Gdy świat był miody, a ludzkość słabą

demony nocy dręczyły wciąż,

Ubyłem ognia, trucizny i stali

i przegrał ze mną straszliwy Wąż.

Dziś, kiedy wieki zrobiły swoje

i w czarnym sercu góry drzemie

Czyż zapomnicie tego, który

Seta i dał wam zbawienie?

Samotny w wielkiej sypialni o złocistym sklepieniu król Conan spał i śnił. Przez kłębiącą się szarą mgłę słyszał dziwne wołanie, słabe i dalekie, i chociaż nie rozróżniał słów, zdawało mu się, że nie może go zlekceważyć. Z mieczem w ręku kroczył przez szarą mgłę, niczym człowiek spacerujący wśród obłoków, a w miarę jak szedł, głos stawał się wyraźniejszy, aż Conan zrozumiał słowa; to jego własne imię nadlatywało i z bezdennych otchłani Przestrzeni i Czasu. Mgła zrzędła i zobaczył, że znajduje się w długim, ciemnym korytarzu, wyraźnie wykutym ludzką ręką w twardej, czarnej skale. W tunelu panowała ciemność, lecz w jakiś magiczny sposób Conan wszystko dobrze widział. Gładkie ściany, sufit, podłoga, wszystko to pokryte płaskorzeźbami starożytnych herosów i prawie zapomnianych bogów, lśniło matowo.

Cymeryjczyk zadrżał, widząc te gigantyczne figury i pojmując w jakiś niejasny sposób, że już od wieków stopy żadnego śmiertelnika nie przemierzały tego korytarza.

Dotarł do wykutych w litej skale szerokich schodów, których poręcz zdobiły ezoteryczne symbole — stare i tak przerażające, że dreszcz przebiegł mu po plecach. Na każdym stopniu był wyrzeźbiony odrażający wizerunek Starej Żmii Seta. Przy każdym kroku trzeba było postawić nogę na głowie Węża, tak jak to zaplanowano przed laty. Wiedząc o tym, Conan wcale nie poczuł się lepiej.

Głos przyzywał go nadal. Krocząc w ciemnościach, których nie zdołałyby przeniknąć niczyje bystre oczy, barbarzyńca dotarł do ogromnej krypty i ujrzał dziwną, białobrodą postać siedzącą na sarkofagu. Conanowi włosy stanęły dęba, a ręka ściskająca miecz zadrżała, gdy postać przemówiła grobowym głosem:

— Czy poznajesz mnie, człowieku?

— Nie, na Croma! — zaklął król.

— Człowieku — rzekł starzec — jam jest Epemitreus.

— Przecież Epemitreus Mądry nie żyje od przeszło tysiąca lat! — wyjąkał Cymeryjczyk.

— Słuchaj! — mówił tamten. — Jak kamyk rzucony do czarnego jeziora wywołuje kręgi rozchodzące się do brzegów, tak zdarzenia zachodzące w Niewidzialnym Świecie wyrwały mnie 2 uśpienia. Dobrze ci się przyjrzałem, Conanie z Cymerii, i widzę w tobie zapowiedź ważnych wydarzeń i wielkich czynów. Jednak po ziemi krążą demony, przeciw którym nie poradzi twój miecz.

— Mówisz zagadkowo — rzekł niepewnie Conan. — Niech tylko znajdę przeciwnika, a rozłupię mu czaszkę na dwoje.

— Zachowaj swoją złość dla wrogów z krwi i kości, barbarzyńco — odparł starzec. — To nie przed ludźmi chcę cię ostrzec. Są mroczne światy, których istnienia ludzie nie podejrzewają, krainy przemierzane przez potworne koszmary — bestie, przyzywane przez czarnoksiężników z Otchłani Ciemności, aby przybrawszy materialną postać, spełniały ich rozkazy. Masz węża w domu swego królestwa, jadowitą zmiję ze Stygii — człowieka, który posiadał wszystkie mroczne sekrety tajemnej wiedzy. Jak śpiącemu śni się pełznąca ku niemu zmija, tak ja czuję obrzydłą obecność sługi Seta. Upojony swą straszliwą władzą, zadaje wrogom ciosy, które mogą wstrząsnąć twoim państwem. Wezwałem cię tutaj, aby dać ci oręż przeciw niemu i jego piekielnym pomocnikom.

— Ale dlaczego? — spytał z niedowierzaniem Conan. — Ludzie mówią, że śpisz w czarnym sercu Golamiry, skąd twój duch przybywa na niewidzialnych skrzydłach, by pomóc Akwilonii w godzinie potrzeby, ale ja... ja jestem cudzoziemcem i barbarzyńcą.

— Zamilcz! — głos starca odbił się głuchym echem od sklepienia olbrzymiej jaskini. — Twoje przeznaczenie wiąże cię z Akwilonią. W łonie Losu rodzą się wielkie wydarzenia i żądny krwi czarownik nie stanie na drodze królewskiego przeznaczenia. Przed wiekami Set

owinał się wokół świata jak pyton wokół swojej ofiary. Przez całe swoje życie, dłuższe niż żywot zwykłego śmiertelnika, walczyłem z nim. Wyparłem go do mrocznych krain

tajemniczego południa, lecz w Stygii lud wciąż oddaje cześć temu, który dla nas jest

ucieleśnieniem zła. Tak jak walczyłem z Setem, zwalczałem też jego wyznawców, kapłanów i pomocników. Wyciągnij swój miecz.

Zdziwiony Conan uczynił to, a starzec nakreślił swym kościstym palcem dziwny symbol,

płonący jak rozżarzone węgle na szerokim ostrzu tuż przy srebrnej gardzie. W tej samej

chwili wszystko znikło: krypta, sarkofag i starzec, a bezgranicznie zdumiony Cymeryjczyk

zerwał się ze swego łoża w komnacie o złocistym sklepieniu. Stojąc i otrząsając się z resztek snu, uświadomił sobie, że ściska w dłoni miecz. Dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy ujrzał

wyryty na szerokim ostrzu symbol — rysunek feniksa. Natychmiast przypomniał sobie, że

taki sam znak widział na sarkofagu w podziemnej krypcie.

Stał tak, próbując uporządkować myśli, gdy cichy szmer przywrócił go do życia; nie tracąc

czasu na dociekanie przyczyn, zaczął nakładać zbroję. Znow stał się barbarzyńcą,

podejrzliwym i czujnym jak szary wilk.

5

O tanim blichtrze, podstępie i zdradzie, cóż wiedzieć mi potrzeba?

Jam syn surowej ziemi, chowany pod dachem nieba.

Czar gładkich słówek i sofizmatów pryska pod miecha ciosem.

Dalej, psy — gińcie! — bo przywykłem za bary brać są z losem.

(„Droga Królów”)

Przez ciszę okrywającą całunem korytarz królewskiego pałacu przemykało chyłkiem

dwudziestu spiskowców. Ich stopy, bose lub obute w miękkie ciżmy, nie wydawały nawet

najcichszego dźwięku ani na grubych dywanach, ani na marmurowych płytach posadzki.

Pochodnie wetknięte w żelazne kagańce na ścianach korytarzy rzucały krwawy blask, który

odbijał się w ostrzach mieczy, sztyletów i ciężkich toporów.

— Ciszej! — syknął Ascalant. — Kto tam tak głośno sapie? Wprawdzie oficer nocnej

straży wycofał z pałacu większość swoich ludzi, a resztę upił, ale musimy być ostrożni. Kryć się! Nadchodzi patrol!

Schowali się za rzędem rzeźbionych kolumn. Po chwili dziesięciu olbrzymich strażników

w czarnych zbrojach przemaszerowało obok. Ich twarze zdradzały dręczące wątpliwości, tym

niemniej szli za oficerem, który ściągnął ich z wyznaczonego posterunku. Oficer pobladł; gdy jego oddział mijał ukrytych za filarami spiskowców, ci zauważyli, że ręka, którą dowódca

ociera pot z czoła, drży. Był młody i zdrada nie przyszła mu łatwo. W duchu przeklinał

ekstrawaganckie zachcianki, przez które zadłużył się u lichwiarzy i stał narzędziem w rękach knujących przewrót polityków.

Gwardziści przeszli ze szczękiem oręża i zniknęli w głębi korytarza.

— Dobrze! — uśmiechnął się Ascalant. — Sypialnia Conana została bez ochrony.

Spieszcie się! Jeśli złapią nas na gorącym uczynku, koniec z nami! Ale mało kto zechce bronić sprawy martwego króla...

— Tak, spieszmy się! — zawołał Rinaldo, a jego oczy przybrały barwę stali, którą

potrząsał nad głową. — Moje ostrze pragnie krwi! Słyszę zlatujące się sępy! Naprzód!

Poniechawszy ostrożności, przebiegli przez korytarz i stanęli przed rzeźbionymi drzwiami, na których widniał herb Akwilonii — złoty smok.

— Gromel! — warknął Ascalant. — Wyważ te drzwi! Olbrzymi wojownik nabrał tchu w piersi i potężnie uderzył ramieniem w drzwi, które z trzaskiem ugięły się pod ciosem.

Wojownik cofnął się i uderzył jeszcze raz. Rozległ się trzask pękającego drewna i wyłamywanych zamków; drzwi rozleciały się w drzazgi.

— Naprzód! — wrzasnął Ascalant, podniecony pomyślnym obrotem spraw.

— Naprzód! — zawtórował mu Rinaldo. — Śmierć tyranowi!

Wpadli do środka i stanęli jak wryci. Nie stawił im czoła wyrwany ze snu, nagi,

oszołomiony i nieuzbrojony mężczyzna, którego można by zaszlachtować jak barana, lecz zupełnie rozbudzony barbarzyńca, odziany w zbroję i z mieczem w garści.

Przez chwilę zarówno czterej zbuntowani szlachcice, jak i zgraja tłoczących się za ich plecami łotrów stali nieruchomo niczym posągi. Wszystkich zmroził widok tej gigantycznej postaci oświetlonej na środku komnaty blaskiem świec.

W tym momencie Ascalant dostrzegł na stoliku przy królewskim łożu insygnia władcy Akwilonii: srebrne berło i małą, złotą koronę. Ten widok doprowadził go do szaleństwa.

— Na niego, łotry! — wrzasnął. — Nas jest dwudziestu, a on jeden! I nie ma hełmu!

Miał rację: Conanowi zabrakło czasu na założenie ciężkiego, zwieńczonego piórami

hełmu, jak również na zasznurowanie pancerza czy zdjęcie ze ściany wielkiej tarczy. Mimo to był lepiej osłonięty niż jego wrogowie, z wyjątkiem Volmany i Gromela, którzy nosili zbroje.

Król spoglądał na nich rozognionymi oczami, próbując zgadnąć, kim są. Nie znał

Ascalanta, a przyłbice zasłaniały twarze pozostałych dwóch szlachciców, Rinaldo zaś nasunął na oczy rondo kapelusza. Jednak nie było czasu na domysły. Zbójcy z rykiem rzucili się na

ofiary. Gromel jako pierwszy runął niczym szarżujący byk, z nisko opuszczoną głową i

mieczem nastawionym do pchnięcia. Conan skoczył mu na spotkanie i z całej siły wymierzył

cios. Długie ostrze ze świstem zatoczyło łuk w powietrzu i spadło na hełm Bossończyka. I

hełm, i klinga pękły z trzaskiem, a Gromel bez życia stoczył się na posadzkę. Conan

odskoczył, ściskając w ręku złamany miecz.

— Gromel! — wykrztusił ze zdumieniem, gdy rozłupany hełm odsłonił przeciętą na dwoje

głowę: w tejże chwili zwała się na niego gromada spiskowców. Ostrze sztyletu rozorało mu żebra na spojeniu nie zasznurowanego pancerza, a przed oczyma błysnął uniesiony do ciosu

miecz. Cymeryjczyk lewą ręką odepchnął napastnika ze sztyletem i rękojeścią ułamanego

oręża jak kastetem uderzył w skroń drugiego przeciwnika. Mózg tamtego opryskał mu twarz.

— Pięciu do drzwi! — wrzasnął Ascalant, miotający się za plecami nacierających w

obawie, że król przedrze się przez nich i umknie. Zbójce cofnęli się na moment, a ich przywódca skierował kilku do drzwi. Ta krótka chwila przerwy wystarczyła Conanowi. Dосkoczył do ściany i zerwał z niej starożytny topór, który wisiał tam od pół wieku. Oparłszy się plecami o ścianę, spojrział na zaciskający się krąg napastników, po czym skoczył w sam ich środek. Obrona nie leżała w jego naturze, nawet wobec przygniatającej przewagi przeciwników zawsze wolał atakować. Każdy inny człowiek na jego miejscu musiałby zginąć, a i sam Cymeryjczyk nie żywił nadziei, że wyjdzie z tego cało, lecz pragnął przed śmiercią zabić jak najwięcej wrogów. Jego barbarzyńską duszę ogarnęła euforia, a w uszach dźwięczały mu pieśni o dawnych herosach.

Skoczył w cizbę wrogów, rozrąbał bark jednemu z nich i straszliwym, zamachowym ciosem rozłupał czaszkę innemu. Ostrza opadały ze świstem, lecz Cymeryjczyk szczęśliwie unikał śmierci. Błyskawicznymi ruchami dezorientował przeciwników; był jak tygrys wśród stada małp. Skacząc, uchylając się, schodząc z linii ciosów stanowił niezwykle trudny cel, który wciąż się poruszał w świetlistym kręgu błyszczącego ostrza jego topora.

Na moment zabójcy przyparli go do muru, na oślep wymierzając potężne ciosy i przeszkadzając sobie wzajemnie, po czym cofnęli się pospiesznie, odsłaniając na podłodze dwa nieruchome ciała — świadectwo wściekłości króla. Po tym starciu Conan solidnie krwawił z ran na szyi, ramionach i nogach.

— Łotry! — wrzasnął Rinaldo, ciskając na podłogę swój zwieńczony piórami kapelusz. — Boicie się walki? Czy tyran ma zostać przy życiu? Na niego!

Skoczył naprzód, siekąc jak szalony, lecz Conan, rozpoznawszy go, jednym strasznym ciosem złamał mu miecz i pięścią powalił na podłogę. Ostrze broni Ascalanta wbiło się w lewe ramię króla.

Banita ledwo uszedł śmierci, uchylając się i w ostatniej chwili uskakując przed opadającym toporem. Zabójcy znów tłumnie zaatakowali Cymeryjczyka. Jego topór raz po

raz unosił się i opadał ze świstem. Jeden z napastników zanurkował pod jego podniesionym ramieniem i złapał go za nogi, usiłując wywrócić, lecz z równym powodzeniem mógłby wywracać wieżę z litego żelaza. Po krótkich zmaganiach spojrział w górę w samą porę, by dostrzec spadające ostrze, ale zbyt późno, by go uniknąć. Tymczasem jeden z jego kompanów podniósł obydwojma rękami miecz i ciął w naramiennik króla, raniąc go w ramię. W jednej chwili pancerz Conana nappełnił się krwią.

Volmana, gwałtownie odpychając na boki atakujących, przedarł się przez pierścień otaczający króla i zadał mu morderczy cios w nie osłoniętą hełmem głowę. Cymeryjczyk schylił się, a świszcząca klinga ucięła tylko kosmyk jego czarnych włosów. Barbarzyńca okręcił się na pięcie i uderzył z rozmachem. Topór zgruchotał stalowy pancerz i Volmana osunął się na posadzkę z połamanymi żebrami.

— Volmana! — zachrypiał Conan. — Poznałbym cię w piekle, ty karle!

Wyprostował się i odparł szaleńczy atak Rinalda, który szarżował, wcale się nie osłaniając, uzbrojony jedynie w sztylet. Conan odskoczył w tył, unosząc topór.

— Rinaldo! — krzyknął z rozpaczą. — Cofnij się! Nie chcę cię zabić!

— Giń, tyranie! — wrzasnął oszalały minstrel, rzucając się na króla.

Conan zwlekał z zadaniem ciosu — trochę za długo. Dopiero gdy poczuł zimną stal sztyletu wbijającego się w nie osłonięty pancerzem bok, uderzył oburącz.

Rinaldo padł ze strzaskaną czaszką, a Conan ciężko oparł się o ścianę. Krew ciekła mu spomiędzy palców dłoni, którą zaciskał ranę.

— Teraz, naprzód, zabić go! — krzyknął Ascalant.

Opierając się plecami o ścianę, Cymeryjczyk wznosił topór do ciosu. Stał z pochyloną głową na rozstawionych szeroko nogach, niczym uosobienie niespożytej, pierwotnej siły. Jedną ręką opierał się o mur, w drugiej zaciskał okrwawiony oręż. Na ramionach nabrzmiały mu potężne węzły mięśni, a twarz zastygła w grymasie straszliwej wściekłości. Tylko oczy

płonęły jasno w bladej twarzy zalewanej krwią z rozciętego czoła. Napastnicy zawahali się, bo choć byli dzikimi, nieustraszonymi zbrojcami, którzy przelewanie krwi traktowali jako zwyczajną rzecz, to jednak należeli do rasy uważanej za cywilizowaną, on zaś był barbarzyńcą, urodzonym zabójcą. Cofnęli się lękliwie: zdychający tygrys nie przestaje być niebezpieczny.

Conan wyczuł ich niepewność. Uśmiechnął się złowrogo.

— Kto chce umrzeć pierwszy? — wycedził przez rozbite i skrwawione wargi.

Ascalant skoczył jak ryś i z nieprawdopodobną szybkością zatrzymał się w pół skoku.

Padając na wznak, uniknął śmiertelności ostrza. Gwałtownie podkurczył nogi i przetoczył się w bok, zanim odzyskał równowagę i uderzył ponownie. Tym razem topór wbił się w podłogę w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowały się nogi Ascalanta.

Inny napastnik omyłkowo uznał to za dogodny moment do ataku, a za nim ociągając się, ruszyli pozostali. Zamierzali zabić króla, zanim zdoła wyszarpnąć wbity w podłogę topór, ale nie docenili siły i szybkości Cymeryjczyka. Zbroczone ostrze uniosło się i opadło błyskawicznie, rzucając pod nogi atakujących kolejnego trupa.

Nagle pilnujący drzwi spiskowcy wydali przeraźliwy krzyk. Na korytarzu pojawił się czarny, niekształtny cień. Pozostali napastnicy odwrócili się jak jeden mąż, po czym wyjąc z przerażenia, wypadli z komnaty i rozbiegli się na wszystkie strony.

Tylko Ascalant nie spojrzał w kierunku drzwi; nie odrywał oczu od rannego króla. Osądził, że odgłosy walki w końcu postawiły na nogi mieszkańców pałacu i zaalarmowały wierną straż. Wydało mu się jednak nieco dziwne, że jego zahartowani w walce rabusie tak strasznie wrzeszczeli podczas ucieczki.

Conan nie patrzył w stronę drzwi, ponieważ czujnie jak wilk przyglądał się banicie. Nawet w tej ostatniej godzinie Ascalanta nie opuszczał filozoficzny spokój.

— Wygląda na to, że wszystko stracone, zwłaszcza honor — mruknął pod nosem. —

Jednak król umiera i...

Nie wiadomo, co chciał powiedzieć, bo nie dokończywszy zdania, skoczył na Conana w chwili, gdy ten ocierał ramieniem spływającą z czoła krew. W tej samej chwili coś śmignęło w powietrzu i z potworną siłą uderzyło go w plecy. Ascalant runął jak długi. Straszliwe pazury wbiły się w jego ciało. Wijąc się rozpaczliwie pod ciężarem napastnika, zdołał odwrócić głowę i spojrzeć przez ramię w ohydne ślepia. Pochylał się nad nim bezkształtny stwór, jakiego nigdy jeszcze nie oglądały ludzkie oczy. Wyszczерzone, czarne kły sięgały gardła ofiary, a żółto błyszczące ślepia paraliżowały swym spojrzeniem tak, jak zimny wiatr ścina młode zboże.

Odrażającą twarz wykrzywiał ohydny grymas triumfu. Takie rysy mogłaby mieć ożywiona sztuka czarnoksiężnika starożytna mumia. W obrzydliwym obliczu zachodzące bielmem oczy Ascalanta zdawały się dostrzegać niewyraźne podobieństwo do Thoth–Amona. Nagle filozoficzny spokój opuścił banitę i Ascalant z okropnym okrzykiem wyzionął ducha, zanim jeszcze wyszczерzone kły rozdarły mu gardło.

Conan otarł krew ściekającą z czoła i zamarł, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. W pierwszej chwili wydało mu się, że nad skurczonym ciałem Ascalanta stoi ogromny, czarny pies. Później rozjaśniło mu się w oczach i stwierdził, że nie jest to ani pies, ani pawian.

Z dzikim okrzykiem, który był słabym echem przedśmiertnego wrzasku banity,

Cymeryjczyk odepchnął się od ściany i z całej siły cisnął toporem w gotującego się do skoku potwora. Jednak broń z chrzęstem ześlizgnęła się po czaszce, którą powinna była zdruzgotać, a impet zderzenia z olbrzymim cielskiem rzucił Conana z powrotem pod ścianę. Okropne

szczęki zacisnęły się na ramieniu, którym barbarzyńca osłonił gardło, ale demon nawet nie próbował poprawić chwytu. Spojrzał tylko królowi w oczy i natychmiast na twarzy

Cymeryjczyka pojawił się taki sam grymas przerażenia, jaki wykrzywiał rysy martwego banity. Barbarzyńca poczuł, że dusza zamiera w nim, szykując się do opuszczenia ciała i zatonięcia w żółtych studniach kosmicznej grozy, która przeblyskiwała upiornie w bezkształtnych formach i rosła wokół niego, pochłaniając jego życie i zagrażając zdrowym

zmysłom. Żółte ślepie powiększały się, stając się wprost gigantyczne. Cymeryjczykowi mignęły w nich wszystkie bezdenne i bluźniercze okropności, które czaiły się w zewnętrznych ciemnościach bezkształtnych głosów i mrocznych przepaści. Otworzył skrwawione usta, aby wykrzyczeć swą wzdargę i wściekłość, ale z gardła wydobył mu się tylko niewyraźny bełkot.

Jednak koszmarny stwór, który sparaliżował i zabił Ascalanta, wzbudził w barbarzyńcy szaloną, bliską obłądu furję. Tytanicznym skurczem wszystkich mięśni rzucił się w tył i nie zwracając uwagi na ból rozdzieranego ramienia, powłókł demona za sobą. Wyciągnięta ręka króla zacisnęła się na czymś, co mimo oszołomienia spowodowanego wpływem krwi rozpoznał jako swój złamany miecz. Zamachnął się i dźgnął nim jak sztyletem, wkładając w cios resztki sił, jakie mu pozostały. Złamane ostrze wbiło się głęboko, a okropna paszczyka rozdziawiła się z bólu, uwalniając ramię Conana, który upadł na bok. Król podniósł się na łokciu i jak przez mgłę zobaczył, że stwór wije się w agonii, a z wielkiej rany, jaką mu zadał, płynie szeroki strumień posoki. W chwilę potem skurcze ustały i demon legł na posadzce, dygocząc spazmatycznie i wybałuszając zasnuwające się mgłą ślepie. Barbarzyńca zamrugał, wycierając krew zalewającą oczy. Miał wrażenie, że stwór topi się niczym masło na słońcu, zamieniając się w mazistą, półpłynną masę.

Po chwili Conan usłyszał bezładny chór głosów i w komnacie zaroilo się od zaalarmowanych odgłosami walki dworzan: rycerzy, panów, dam, gwardzistów i doradców — a wszyscy gadali, wrzeszczeli i kłócili się ze sobą. Kilku żołnierzy z Legionu Czarnych Smoków klęło i wygrażało wściekle, zgrzytając zębami i łapiąc za rękojeści swoich mieczów. Młodego oficera straży nigdzie nie było widać. Nie znaleziono go też później, a nie można powiedzieć, że szukano niedokładnie.

— Gromel! Volmana! Rinaldo! — wykrzyknął Publiusz, radca dworu, załamując nad trupami pulchne ręce. — Nędzni zdrajcy! Ktoś za to zapłaci! Wezwać straż!

— Straż już tu jest, stary durniu! — uprzejmie zgasił go Callantides, dowódca Czarnych

Smoków, w ferworze zapominając o randze Publiusza. — Lepiej przestań miauczeć i pomóż opatrzyć królowi rany. Może się wykrwawić na śmierć.

— Tak, oczywiście! — krzyknął Publiusz, który był raczej organizatorem niż człowiekiem czynu. — Musimy opatrzyć rany. Posłać po wszystkie pijawki w zamku! Och, panie, cóż to za wstyd dla miasta! Czyżby naprawdę cię zabito?

— Wina! — jęknął król z sofy, na której go położono. Przytknięto mu puchar z winem do okrwawionych ust, a on pił chciwie, jak człowiek półżywy z pragnienia.

— Dobrze — mruknął, opadając na poduszki. — Zabijanie to strasznie wysuszające zajęcie.

Zatamowano krew płynącą mu z ran i po chwili niespożyta żywotność barbarzyńcy dała o sobie znać.

— Najpierw obejrzyjcie ranę od sztyletu w moim boku — polecił medykom. — Rinaldo wypisał tam swój ostatni żałobny tren i to ostrym rylcem.

— Już dawno powinieneś był go powiesić — mamrotał Publiusz. — Po poetach nie można się spodziewać niczego dobrego... A to kto? — Nerwowo trącił obutą w sandał stopę trupa Ascalanta.

— Na Mitrę! — wykrztusił dowódca Czarnych Smoków. — To Ascalant, dawny książę Thune! Cóż za diabelski spisek ściągnął go tu z pustynnego legowiska?

— I dlaczego ma taki grymas na twarzy? — szepnął Publiusz, szeroko otwierając oczy i cofając się z lękiem.

Inni także spojrzeli na martwego banitę i umilkli.

— Gdybyś widział to, co ja widziałem — warknął król Conan, siadając na łożu mimo protestów medyków — wcale byś się nie dziwił. Spójrz na...

Cymeryjczyk urwał w pół słowa i rozdziawił usta. Palcem wskazał puste miejsce na

podłódze. Potwór zniknął.

— Na Croma! — zaklął barbarzyńca. — Ten demon rozplynął się chyba w powietrzu, tak jak przybył!

— Król majaczy... — szepnęli dworzanie.

Conan usłyszał to i zaczął kląć w barbarzyńskim języku.

— Na Badba, Morigana, Macha i Nemaina! — wrzasnął z wściekłością. — Jestem zdrow na umyśle! To coś wyglądało jak skrzyżowanie stygijskiej mumii z pawianem. Zjawiono się zniecka i zbroje Ascalanta umknęli przed nim jak szczury. Zabiło Ascalanta, zanim zdążyło mnie wykończyć. Później rzuciło się na mnie, ale zdołałem je zabić — chociaż nie wiem jak, bo mój topór odbił się od jego łba jak od skały. Wydaje mi się, że pomógł mi Epemitreus

Mądry...

— Posłuchajcie tylko. Mówi o Epemitreusie, który nie żyje od piętnastu stuleci! — szeptali między sobą dworzanie.

— Na Ymira! — ryknął król. — Tej nocy rozmawiałem z Epemitreusem! Wezwał mnie, gdy spałem, i poszedłem czarnym korytarzem, na ścianach którego widniały płaskorzeźby dawnych bogów, po kamiennych stopniach z wyrytymi podobiznami Seta, aż dotarłem do krypty i sarkofagu ze znakiem feniksa...

— Na Mitrę, błagam cię królu, zamilcz! — krzyknął arcykapłan Mitry z twarzą szarą jak popiół.

Conan potrząsnął głową jak lew wstrząsa grzywą, w jego głosie pojawiły się groźne nuty.

— Czyż jestem niewolnikiem, aby milknąć na twój rozkaz?

— Ależ nie, nie, mój panie! — arcykapłan trzął się, lecz nie ze strachu przed królewskim gniewem. — Nie chciałem cię obrazić.

Nachylił głowę do ucha króla i zaczął szeptać:

— Panie mój, to przechodzi ludzkie pojęcie. Tylko wąski krąg wtajemniczonych kapłanów wie o czarnym korytarzu wykutym w sercu góry Golamiry i o strzeżonym przez feniksa

sarkofagu, w którym przed piętnastoma wiekami złożono Epemitreusa. Od tej pory żaden żywy człowiek nie wszedł do grobowca. Kapłani, których wybrał, złożyli Mędrca w krypcie, po czym zamaskowali wejście tak, że nikt nie zdoła go odnaleźć. Dziś nawet arcykapłani nie wiedzą, gdzie go szukać. Tylko dzięki ustnym przekazom, znanym nielicznym wtajemniczonym kapłanom i zazdrośnie strzeżonym, wyznawcy Mitry wiedzą, że właśnie czarne serce góry Golamiry jest miejscem spoczynku Epemitreusa. To jedna z tajemnic, na jakich opiera się kult Mitry.

— Nie wiem, w jaki czarodziejski sposób wezwał mnie do siebie — odparł Conan — ale rozmawiałem z nim. Nakreślił znak na ostrzu mego miecza. Nie wiem, dlaczego ten znak uczynił broń zabójczą dla demona ani co oznaczał, lecz chociaż ostrze złamało się na głowie Gromela, sam ułomek wystarczył, aby zabić potwora.

— Pozwól mi obejrzeć twój miecz — szepnął arcykapłan przez ściśnięte gardło.

Cymeryjczyk podał mu złamany oręż. Arcykapłan krzyknął i osunął się na kolana.

— Strzeż nas Mitro przed Siłami Ciemności! — wykrztusił. — Król naprawdę rozmawiał tej nocy z Epemitreusem! Tu, na mieczu, widnieje sekretny znak, którego nikt inny nie mógł wyryć: symbol nieśmiertelnego feniksa, odwiecznego strażnika jego grobowca! Świecę, szybko! Spójrzcie jeszcze raz tam, gdzie według króla powinien leżeć ten stwór!

Odsunięto na bok połamany parawan i zapalono więcej świec. Spojrzeli na posadzkę i zamilkli jak rażeni gromem. Później ktoś upadł na kolana, głośno wzywając Mitrę, a ktoś inny wypadł z krzykiem z komnaty.

W miejscu, gdzie zginął potwór, na posadzce czerniała wielka plama — niczym czarny cień okropnego cielska, niepodobnego do żadnego ziemskiego stworzenia, cień ponury i ohydny — jak odbicie jednego z małych bogów zasiadających na ołtarzach zapomnianych świątyń tajemniczej Stygii.

SZKARŁATNA CYTADELA

Zaledwie ucichł pomruk wojny domowej, gdy do Conana zwraca się z prośbą o pomoc król

Ophiru, Amalrus — sojusznik Akwilonii. Król Koth, Słrabonus, zagraża granicom Ophiru, więc Conan wraz z pięcioma tysiącami najdzielniejszych akwilońskich rycerzy wyrusza z pomocą, aby na równinie Shamu przekonać się, iż obaj władcy zdradziecko sprzymierzyli się przeciwko niemu.

1

Wreszcie Lwa pojмали na Shamu równinie

I skuli żelaznymi łańcuchy w tej krainie

I krzyknęli głośno pośród fanfar grania,

Wołając: „Otóż Lew w klatce się znalazł!”

Ach biadaż wam nadrzeczne i równinne grody,

Jeśli Lew kiedy znowu ruszy na podchody!

(ze starej ballady)

Zgiełk bitwy ucichł; okrzyki triumfu mieszały się z jękami konających. Ciała poległych w boju zasłały równinę jak jaskrawo ubarwione liście po jesiennej burzy; w zachodzącym słońcu lśniły polerowane szyszaki, połączane zbroje, srebrne napierśniki i połamane miecze.

Ciężkie jedwabne zwoje królewskich sztandarów poniewierały się w kałużach krzepnącej krwi. Wokół leżały powalone bojowe rumaki i zakuci w stal jeźdźcy; rozwiane grzywy i paradne pióropusze były jednako zbroczone posoką. Przestrzeń między nimi i dookoła nich, niczym zasy utworzone przez wiatr, zalegały pocięte i stratowane ciała łuczników i pikinierów w stalowych hełmach i skórzanych kubrakach.

Triumfalne granie rogów niosło się po równinie, gdy końskie kopyta miażdżyły ciała poległych, a połyskujące stałą szeregi zwycięzców, niczym szprychy lśniącego koła, ściągały ze wszystkich stron do miejsca, gdzie ostatni pozostały przy życiu wojownik nadal toczył nierówny bój.

Tego dnia Conan, król Akwilonii, widział, jak rozniesiono, wybito i wycięto w pień kwiat

jego rycerstwa. Z pięcioma tysiącami rycerzy przekroczył południowo-wschodnią granicę Akwilonii i wjechał na trawiaste równiny Ophiru, gdzie przekonał się, iż jego dawny sojusznik, król Ophiru, Amalrus, połączył się przeciw niemu ze Strabonusem, władcą Koth. Conan zbyt późno dostrzegł pułapkę. Zrobił wszystko, czego mógł dokonać wódz mający pięć tysięcy jazdy przeciw trzydziestotysięcznej armii złożonej z rycerstwa, łuczników i oszczepników.

Bez łuczników ani piechoty rzucił swoich zakuty w stal jeźdźców na nadciągającą konnicę; ujrzał, jak nieprzyjacielska jazda ściele się pod kopiami Akwilończyków, którzy rozbili ją w puch i odrzucili w tył rozproszone szeregi, gdy wtem zostali wzięci w kleszcze przez napierające, nie naruszone skrzydła sprzymierzonych armii. Shemiccy łucznicy

Strabonusa szerzyli spustoszenie wśród rycerzy Conana, szpikując ich strzałami mierzonymi w szczeliny pancerzy i powalając konie, a kothijscy oszczepnicy doskakiwali i zakłuwali spieszonych jeźdźców. Rozbici w pierwszym starciu, odziani w stal lansjerzy ponownie sformowali szyk i wzmocnieni przez posiłki ze skrzydeł, szarżowali raz po raz, zdobywając pole dzięki swej przewadze liczebnej.

Akwilończycy nie uciekli; ginęli walcząc i z pięciu tysięcy rycerzy, którzy wyruszyli z Conanem na południe ani jeden nie uszedł z życiem z równiny Shamu. Teraz już tylko sam król stał wśród porąbanych ciał gwardzistów, opierając się plecami o stertę końskich i ludzkich ciał. Ophirscy rycerze w złożonych zbrojach spinali wierzchowce, przeskakując przez zwały trupów i próbując zarąbać samotnego wojownika; krępi Shemici o

kruczoczarnych brodach i śniadolicy Kothijczycy atakowali go pieszo. Po placu boju niósł się ogłuszający szcęk stali. Odziany w czarną kolczugę król stał jak opoka pośród napierających wrogów, zadając ciosy niczym rzeźnik tnący wielkim toporem. Wokół jego obutych w żelazo stóp piętrzył się pierścień porąbanych ciał; po poboju co chwilę przebiegał nowy koń bez jeźdźca. Zziajani i przerażeni napastnicy cofali się przed desperacką furią wojownika.

Przez szeregi wyjącej, przeklinającej tłuszczy przepychali się zwycięzcy królowie —

Strabonus, o szerokiej, śniadej twarzy i rozbieganych oczkach oraz szczupły, wymuskany Amalrus, podstępny i zdrażliwy jak zmija, a z nimi chudy jak sęp Tsotha-lanti, odziany w jedwabną togę kapłan o wielkich, czarnych oczach błyszczących w twarzy o rysach ścierwojada. O tym kothijskim czarnoksiężniku opowiadano legendy; rozczochrane kobiety w wioskach na północy i na zachodzie kraju straszyły dzieci jego imieniem, a krnąbrnych niewolników szybciej niż batem można było zmusić do posłuszeństwa groźbą sprzedania okrutnemu magowi. Powiadano, iż ma on całą bibliotekę czarnoksięskich ksiąg oprawionych w skórę zdartą z żywych ludzi i że w przepastnych lochach wydrążonych w skale, na której stoi jego zamek, handluje z piekielnymi mocami, wymieniając wrzeszczące młode niewolnice na bezbożne sekrety. Czarnoksiężnik był prawdziwym władcą Koth.

Teraz uśmiechnął się blado, widząc, jak królowie ściągnęli wodze w bezpiecznej odległości od posępnej, zakutej w żelazo postaci, którą otaczał wał trupów. Pod morderczym spojrzeniem niebieskich oczu pałających pod okapem szyszaka cofali się najodważniejsi wojownicy. Śniada, poznaczona bliznami twarz Conana pociemniała jeszcze bardziej z wściekłości; jego czarna zbroja była posiekana i zbryzgana posoką, a wielki miecz zakrwawiony aż po jelec. Znalazłszy się w opresji, zrzucił cienką otoczkę cywilizowanej istoty — przed zwycięzcami stał teraz barbarzyńca, Cymeryjczyk, jeden z tych dzikich, ponurych górali zamieszkujących posępne, pochmurne ziemie na północy. Droga, jaką przebył, nim zasiadł na tronie Akwilonii, stała się tematem wielu legend sławiących jego bohaterstwo.

Tak więc obaj królowie zatrzymali się w bezpiecznej odległości.

Strabonus zawołał do swych shemickich łuczników, aby naszpikowali wroga strzałami; władca Koth, dla którego każdy żołnierz był na wagę złota, pinił się ze złości, widząc swoich kapitanów kładących się jak łan zboża pod ostrzem Cymeryjczyka. Jednak Tsotha potrząsnął głową.

— Weźcie go żywcem.

— Łatwo powiedzieć! — warknął Strabonus, obawiając się, że ten olbrzym w czarnej zbroi może przedrzeć się jakoś przez nastawione w jego kierunku włócznie. — Kto schwyta żywcem tygrysa ludojada? Na Ishtar, on depta po trupach moich najlepszych fehmistrzów! Wyszkolenie każdego z nich kosztowało siedem lat pracy i góry złota, a teraz leżą tam, na uciechę sępom! Strzelać, powiadam!

— Powtarzam — nie! — warknął Tsotha, zeskakując z konia. — Czy jeszcze nie nauczyłeś się, że mój rozum jest potężniejszy od jakiegokolwiek miecza?

Przeszedł przez szeregi pikinierów, a potężni wojownicy w stalowych hełmach i kolczugach rozstępowali się przed nim z lękiem, nie chcąc dotknąć choćby skraju jego szaty. Równie szybko ustępowali mu z drogi dumni rycerze w szyszakach. Przekroczył wał trupów i stanął twarzą w twarz z posepnym królem. Armie spoglądały na to w grobowej ciszy, wstrzymując oddech. Olbrzymia postać w czarnej kolczudze pochyliła się nad chudym, odzianym w jedwab magiem, a poszczerbiony, zbroczony krwią miecz uniósł się do ciosu.

— Ofiarowuję ci życie, Conanie — rzekł Tsotha, a jego głos pobrzmiwał okrutną uciechą.

— A ja daję ci śmierć, czarowniku — warknął król i wielki miecz podniesiony całą mocą stalowych mięśni i szalonej nienawiści opadł z siłą wystarczającą, by przeciąć na pół chudy tors kapłana. Patrzący na to wojownicy wydali okrzyk zgrozy, lecz w tej samej chwili Tsotha zrobił błyskawiczny krok naprzód i dotknął ręką nagiego ramienia Conana w miejscu, gdzie rozrębana kolczuga odsłaniała mięśnie. Świszczące ostrze zboczyło z drogi, a obleczony w stal olbrzym runął na ziemię i legł bez ruchu. Tsotha zaśmiał się bezgłośnie.

— Bierzcie go i nie lękajcie się; lwu wyrwano kły.

Królowie podjechali bliżej i spojrzeli z podziwem na powalonego giganta. Conan leżał nieruchomo jak nieżywy, lecz patrzył na nich szeroko otwartymi oczami, pałającymi bezsilną wściekłością.

— Co mu zrobiłeś? — spytał niepewnie Amalrus.

Tsotha pokazał mu szeroki pierścień o dziwnym kształcie.

Zwarł palce i z wnętrza pierścienia, niczym język żmii wyskoczył mały, stalowy kiel.

— To ostrze pokryte sokiem purpurowego lotosu, rosnącego na nawiedzanych przez duchy bagnach południowej Stygii — rzekł mag. — Ten wywar powoduje chwilowy paraliż.

Zakujcie go w łańcuchy i wsadźcie na rydwan. Słońce już zachodzi, więc czas nam ruszać w drogę do Khorshemish.

Strabonus zwrócił się do swego generała Arbanusa.

— Wracamy z rannymi do Khorshemish. Pojedzie z nami tylko jeden oddział królewskiej gwardii. Tobie rozkazuję wyruszyć o świcie ku akwilońskiej granicy i zdobyć miasto Shamar. Ophirańczycy dostarczą ci żywność w czasie marszu. Dołączymy do ciebie z posiłkami tak szybko, jak to będzie możliwe.

Tak więc obie armie — zakuci w stal rycerze, pikinierzy, łucznicy i obozowe ciury — rozłożyli obóz na stepie opodal pobojuwiska. Obaj królowie i mag potężniejszy od jakiegokolwiek władcy ruszyli w gwiazdzistą noc ku stolicy Strabonusa, otoczeni kapiącą złotem gwardią pałacową, a za nimi ciągnął długi sznur rydwanów z rannymi. W jednym z tych rydwanów leżał Conan, król Akwilonii, spętany łańcuchami, z gorzkim smakiem klęski w ustach i ślepą furją pojmanego tygrysa w duszy.

Trucizna, która sparaliżowała jego potężne członki, nie pozbawiła go zmysłów. Gdy rydwan, w którym jechał, toczył się po stepie, Conan z wściekłością przeżuwał porażkę. Amalrus przysłał doń emisariusza z prośbą o pomoc przeciw Strabonusowi, który — jak twierdził — najeżdżał wschodnie prowincje Ophiru, wchodzące klinem między Akwilonię a rozległe południowe połacie królestwa Koth. Prosił jedynie o tysiąc jeźdźców pod dowództwem Conana, co miało dodać ducha jego zdemoralizowanym poddanym. Conan zaklął w myślach. W swej wielkoduszności przybył z siłami pięciokrotnie większymi, niż

żądał zdradziecki monarcha. W dobrej wierze wjechał do Ophiru, gdzie napotkał rzekomych wrogów sprzymierzonych przeciwko niemu. Fakt, iż przeciw tym pięciu tysiącom wojowników ściągnęli aż dwie armie, wiele mówił o jego zdolnościach.

Czerwona mgła przysłoniła mu oczy, żyły nabrzmiały mu z furii, a w skroniach załomotała krew. Nigdy w życiu nie był bardziej wściekły i bardziej bezsilny. Oczami duszy widział różne obrazy ze swojego długiego żywota — kalejdoskop scen, w których występował w różnych rolach i doświadczał zmiennych kolei losu. Był odzianym w skóry barbarzyńcą, najemnym żołnierzem w rogatym hełmie i łuskowatym napierśniku, korsarzem na drakkarze zostawiającej za sobą na południowych wybrzeżach krew i zgliszcza, kapitanem gwardii w oksydowanym pancerzu, dosiadającym rączego, czarnego wierzchowca, królem zasiadającym na złotym tronie, nad którym powiewał proporzec ze złotym lwem i przed którym klęczały tłumy barwnie odzianych dworaków i dam. Podskoki i turkotanie rydwanu przypomniały mu o rzeczywistości, każąc znów bez końca roztrząsać nikczemną zdradę Amalrusa i czary Tsotha-lanti. Żyły na skroniach Cymeryjczyka niemal pękały mu ze złości, a jęki rannych wiezionych na rydwanach napępniały go złośliwą satysfakcją.

Przed północą przekroczyli granicę Ophiru, a o świcie ujrzeli na horyzoncie błyszczące i zaróżowione słońcem dachy Khorshemish — smukłe wieżycy przytłoczone przez ogrom posępnej, szkarłatnej cytadeli, która wyglądała z tej odległości jak jaskrawa plama krwi na nieboskłonie. To był zamek Tsotha. Na wzgórze, na którym wznosił się ponad miastem, wiodła tylko jedna, wąska droga, wybrukowana marmurem i zamknięta potężnymi, żelaznymi wrotami. Zbocza góry były zbyt strome, aby dało się na nie wspiąć. Z murów cytadeli można było ogarnąć wzrokiem szerokie, białe ulice miasta, minarety meczetów, sklepy, świątynie, rezydencje i targowiska. Można było też podziwiać królewskie pałace, położone wśród rozległych, otoczonych wysokim murem ogrodów ze szpalerami przepysznych owocowych drzew i kwieciami, szemrzącymi sztucznymi strumykami i nieustannie bijącymi fontannami,

które wypełniały powietrze srebrzystą mgiełką. Nad tym wszystkim górowała cytadela, niczym kondor unoszący się nad swoją ofiarą i pogrążony w swych mrocznych medytacjach. Potężne bramy między ogromnymi basztami zewnętrznego muru rozwarły się ze szczękiem i otoczony szpalerem połyskujących złotem oszczepników król wjechał do miasta, a pięćdziesiąt fanfar zagrzmiało w powitalnym salucie. Jednak na wyłożone białym marmurem ulice nie wyległy tłumy mieszkańców, aby rzucać róże pod kopyta królewskiego rumaka. Strabonus przybywał szybciej niż wieść o wygranej bitwie i ludzie, odrywający się na chwilę od swych codziennych zajęć, rozdziawiali usta na widok swojego władcy, nie wiedząc, czy przybywał jako zwycięzca czy pokonany.

Conan, który powoli wracał do życia, podniósł głowę z podłogi rydwanu, aby przyjrzeć się cudom tego miasta, nazywanego przez niektórych Królową Południa. Zamierzał wjechać kiedyś przez te inkrustowane złotem wrota na czele swoich zakutych w stal szwadronów, z powiewającym nad głową proporcem z wizerunkiem lwa. Zamiast tego wjeżdżał zakuty w łańcuchy, odarty ze zbroi i rzucony jak pojmany niewolnik na spizową podłogę rydwanu zwycięzcy. Przyływ wisielczego humoru wziął górę nad wściekłością, ale niespokojnym żołnierzom powożącym rydwanem śmiech Conana wydał się pomrukiem rozdrażnionego lwa.

2

Blichtr kłamstwa o boskim nadaniu

już dawno na wylot przejrzałem.

Wyście swe korony w spadku otrzymali,

ja moją krwią kupowałem.

Tronu zdobytego potem i krwawicą,

na Croma! nie przedam dziś tanio.

Nie skłonisz mnie gór złotych obietnicą

ani groźbą piekielnej otchłani!

(„Droga Królów”)

W cytadeli w komnacie o kopulastym sklepieniu z rzeźbionego granitu i ażurowych łukach portali lśniących od niezwykłych, czarnych kamieni odbywała się dziwna narada. Conan z Akwilonii, zboczony krwią z nie opatrzonych ran, stał przed swymi zwycięzcami. Po obu bokach pilnował go tuzin czarnoskórych olbrzymów, dzierżących topory na długich styliskach. Tsotha stał przed nim, a Strabonus i Amalrus, odziani w jedwabne stroje kapiące od złota i klejnotów, spoczywali na niskich sofach, przy których czuwali młodzi, nadzy niewolnicy dolewający im wina do szafirowych pucharów. Conan nie pasował do tego otoczenia — posępny, okrwawiony, odziany jedynie w przepaskę biodrową i zakuty w łańcuchy, o niebieskich oczach jarzących się pod zmierzwioną grzywą włosów opadających na niskie, szerokie czoło. Jednak górował nad obecnymi, sprawiając, że wobec nieugiętej siły jego osobowości przepyszne stroje władców wyglądały tandetnie, z czego obaj królowie, mimo malującej się na ich obliczach dumy, w głębi duszy zdawali sobie sprawę i przez co czuli się nieswojo. Tylko Tsotha stał nieporuszony.

— Nasze życzenia można ująć krótko, królu Akwilonii — rzekł Tsotha. — Naszą wolą jest powiększyć nasze imperium.

— I dlatego, wieprze, chcecie mego królestwa — wychrypiał Conan.

— A kimże jesteś, jak nie awanturnikiem zasiadającym na tronie, do którego masz takie same prawo jak każdy inny wędrowny rozbójnik? — odparował Amalrus. — Jesteśmy gotowi zaproponować ci stosowną rekompensatę...

— Rekompensatę? — Z potężnej piersi Conana wydobył się basowy pomruk śmiechu. —

Zapłata za niesławę i zdradę! Jestem barbarzyńcą, więc sprzedam moje królestwo i jego lud w zamian za życie i wasze nędzne złoto? Ha! A jak ty zdobyłeś swoją koronę, ty i ta siedząca obok ciebie świnia o czarnym pysku? Wasi ojcowie walczyli i cierpieli, by podać wam

korony na złotych półmiskach. To, co wy odziedziczyliście, nie kiwnąwszy palcem — nie

licząc otrucia paru braci — ja wywalczyłem. Zasiadacie na atlasach, żłopiecie wino wyrabiane w pocie czoła przez poddanych i gadacie o boskim dziedzictwie — ba! Wspiąłem się na tron z otchłani barbarzyństwa, a podczas tej wspinaczki przelewałem swoją krew równie ochoczo jak cudzą. Jeśli ktoś z nas ma prawo rządzić ludem to, na Croma, tylko ja! W czym okazaliście swoją wyższość? Zostałem Akwilonię pod rządami świni takiej jak wy — władcy, którego ród sięgał tysiąca lat wstecz. Kraj szarpały wojny baronów, a lud był uciskany i gnębiony podatkami. Dziś żaden akwiloński szlachcic nie ośmieli się poniewierać najnędnieszego z moich poddanych, a obowiązkowe daniny są mniejsze niż gdziekolwiek na świecie. A wy? Twój brat, Amalrusie, ma w rękach wschodnią połowę twojego królestwa i zaciekle cię zwalcza. Zaś twoi najemnicy, Strabonusie, nawet teraz oblegają zamki tuzina lub więcej zbuntowanych wielmożów. Ludzie w waszych królestwach ledwie dyszą pod brzemieniem danin i podatków. A teraz chcecie ograbić i moich poddanych! Ha! Rozkujcie mi ręce, a opryskam tę posadzkę waszymi mózgami!

Tsotha uśmiechnął się ponuro, widząc wściekłość swoich królewskich kompanów.

— Choćby to wszystko było prawdą i tak nie ma teraz znaczenia. Nasze plany to nie twoja sprawa. Twoja odpowiedzialność skończy się, gdy podpiszesz ten pergamin, akt abdykacji na rzecz księcia Arpello z Pełli. Damy ci broń i konia oraz pięć tysięcy złotych lunów, po czym odstawimy pod eskortą do wschodniej granicy.

— Chcecie zostawić mnie tam, skąd przybyłem do Akwilonii, aby zaciągnąć się do tamtejszej armii — tyle, że z piętnem zdrajcy na czole! — Śmiech Conana był jak krótkie, głucho warknięcie leśnego wilka. — Arpello, tak? Podejrzywałem tego pellijskiego rzeźnika. Czy nie potraficie nawet kraść i rabować otwarcie, tylko musicie uciekać się do takich kiepskich wymówek? Arpello utrzymuje, iż w jego żyłach płynie królewska krew; tak więc chcecie wykorzystać jako parawan waszego złodziejstwa satrapę, którego rękami będziecie rządzić! Prędzej ujrzę was w piekle!

— Głupcze! — zakrzyknął Amalrus. — Jesteś w naszych rękach i możemy odebrać ci nie

tylko koronę, ale i życie!

Odpowiedź Conana nie była ani królewska, ani wytworna, lecz właściwa człowiekowi, którego barbarzyńska natura nigdy nie przystosowała się całkowicie do cywilizowanych obyczajów — splunął w twarz Amalrusowi. Król Ophiru zerwał się z wściekłym wrzaskiem, chwytając za miecz. Wydobywszy wąską klingę z pochwy, rzucił się na Cymeryjczyka, ale przeszkodził mu Tsotha.

— Zaczekaj, Wasza Wysokość, ten człowiek jest moim więźniem.

— Na bok, czarowniku! — wrzasnął Amalrus, doprowadzony do szału szyderczym błyskiem w niebieskich oczach Cymeryjczyka.

— Cofnij się, mówię! — ryknął rozwścieczony Tsotha. Chuda ręka kapłana wystrzeliła z rękawa togi i obłok pyłu spowił wykrzywioną twarz Ophirańczyka. Amalrus zakrzyknął i cofnął się chwiejnie, przyciskając dłonie do oczu — miecz wypadł mu z ręki. Osunął się bezwładnie na sofę, podczas gdy kothijscy strażnicy spoglądali na to niewidzącym

spojrzeniem, a król Strabonus pospiesznie wychylił kolejny puchar wina, obejmując naczynie drżącymi rękami. Amalrus odjął ręce od twarzy i energicznie potrząsnął głową; jego szare oczy z wolna odzyskiwały normalny wyraz.

— Oślepiłem — warknął. — Co mi zrobiłeś, czarowniku?

— To tylko taki gest, żeby przypomnieć ci, kto tu jest naprawdę panem — syknął Tsotha, zrzucając maskę kapłana i ukazując swoją prawdziwą, złowrogą naturę. — Strabonus dostał już nauczkę — teraz ty dostałeś swoją. Sypnąłem ci w oczy pyłem, który znalazłem w stygijskim grobowcu — jeśli oślepię cię ponownie, będziesz do końca życia błąkał się w ciemnościach.

Amalrus wzruszył ramionami, uśmiechnął się dziwnie i sięgnął po swój kielich, skrywając strach i wściekłość. Jako wytrawny dyplomata szybko przybrał obojętną minę. Tsotha obrócił się do Conana, który w czasie tego zajścia stał niewzruszony. Na skinienie maga czarni

strażnicy chwycili jeńca i powiedli go za Tsotha, który wyszedł z komnaty przez ostrołukowy portal do krętego korytarza o mozaikowej podłodze i ścianach ozdobionych złotem oraz srebrem; z wysokiego stropu zwisały szczerozłote kadzielnice wypełniające korytarz chmurami wonnego dymu. Skręcili w węższy, mroczny i ponury korytarz, wykuty w czarnym granicie i wyłożony jaspisem, prowadzący do drzwi z brązu, nad którymi ludzka czaszka szczerzyła zęby w ohydny uśmiech. Przy tych drzwiach stała tłusta, odrażająca postać, podzwaniająca pękiem kluczy — najwyższy rangą eunuch Tsothy, Shukeli, człowiek o którym szeptem powtarzano okropne rzeczy i u którego zwierzęce okrucieństwo zastąpiło wszelkie ludzkie uczucia.

Za mosiężnymi drzwiami znajdowały się wąskie schody, zdające się opadać do samych trzewi wzgórza, na którym wzniesiono zamek. Zeszli nimi w dół, aż w końcu zatrzymali się przed żelazną furką, która wyglądała na zbyt grubą. Najwyraźniej nie prowadziła ona na zewnątrz, a jednak zbudowano ją tak, iż mogła wytrzymać uderzenia oblężniczych katapult i taranów. Gdy Shukeli otwierał ją, Conan zauważył wyraźne zaniepokojenie pilnujących go Kuszytów; a i sam Shukeli nie zdołał ukryć niepewności, zaglądając w ciemność panującą za drzwiami. Dalej znajdowała się jeszcze jedna przeszkoda — krata z potężnych, stalowych prętów. Opatrzono ją przemyślnym rygłem bez zamka, który można było otworzyć jedynie z zewnątrz; gdy odciągnięto rygiel, krata wsunęła się w ścianę. Poszli dalej szerokim korytarzem, którego podłoga, ściany i łukowaty sufit zostały najwidoczniej wykute w litej skale. Conan zrozumiał, że znaleźli się głęboko pod ziemią, chyba nawet pod wzgórzem, na którym wznosiła się cytadela. Ciemność niczym żywa, czująca istota napierała na pochodnie strażników.

Przykuli króla do stalowego pierścienia w murze. W niszy nad jego głową umieścili płonące łuczywo, tak że stał w półokręgu słabego światła. Czarni zachowywali się niespokojnie, chcąc jak najprędzej odejść; szeptali między sobą i rzucali niespokojne

spojrzenia w otaczający ich mrok. Wreszcie Tsotha odprawił ich, a oni pospiesznie rzucili się do drzwi, jakby w obawie, że ciemność może przybrać namacalny kształt i skoczyć im na plecy. Gdy Tsotha zwrócił się do Conana, król zauważył, że oczy czarownika świecą w ciemnościach, a jego zęby przypominają wilcze kły, białe połyskujące w mroku.

— Żegnaj więc, barbarzyńco — zadrwił czarnoksiężnik. — Muszę jechać do Shamaru dopilnować oblężenia. Za dziesięć dni będę z moimi wojownikami w twoim pałacu w Tarantii. Co mam przekazać od ciebie twoim kobietom, zanim zedrę z nich atlasowe skóry na zwoje do spisania kroniki zwycięstwa Tsotha–lanti?

Conan odpowiedział grubym cymeryjskim przekleństwem, wypowiedzianym z siłą zdolną rozerwać bębny w uszach zwykłego człowieka. Tsotha uśmiechnął się blado i odszedł. Cymeryjczyk dostrzegł jeszcze zarys podobnej do sępa sylwetki za grubymi prętami opadającej kraty, potem szczerknęły masywne drzwi i zapanowała śmiertelna cisza.

3

Kroczył Lew przez czeluście piekielne,
Cienie kładły się przed nim ponure
Licznych widm bezkształtnych, w mroku przyczajonych
Potworów o ohydnych paszczach rozdziawionych.
Od ich wrzasków i wycia zadrżały ciemności
Gdy skradał się Lew przez piekielne czeluści.

(ze starej ballady)

Król Conan sprawdził pierścień w ścianie i łańcuch, którym go przykuto. Kończyny miał wolne, lecz wiedział, że nawet jego stalowe mięśnie nie zerwą tych pęt. Ogniwa łańcucha miały grubość kciuka i były przymocowane do stalowej sztaby obejmującej go w pasie — szerokiej na dłoń i grubej na pół cala. Sam ciężar tych okowów mógłby zabić człowieka słabszego od barbarzyńcy. Kłódki spinające sztabę z łańcuchem były niezwykle solidne i

nawet młotem kowalskim z trudem dałoby się je rozbić, zaś pierścień w murze najwidoczniej przechodził przez ścianę i był przytwierdzony po jej drugiej stronie.

Conan zaklął i poczuł przyływ niepokoju, gdy spojrzął w ciemność napierającą na półkole przyćmionego światła. W jego duszy tkwiły wszystkie przesady barbarzyńcy, nietknięte logiką cywilizowanych ludzi. Jego wyobraźnia zaludniała mroki podziemi groźnymi kształtami. Ponadto rozsądek podpowiadał mu, iż nie umieszczono go tutaj jedynie w celu odosobnienia. Zwycięzcy nie mieli powodu oszczędzać go. Został wtrącony do tych lochów, by w nich zginąć. Przeklinał się za to, że odrzucił propozycję wrogów, choć jego rogata dusza buntowała się na samą myśl o tym; wiedział, że gdyby go stąd wyprowadzono i powtórnie o to zapytano, odpowiedziałby im tak samo, jak przedtem. Nie mógł sprzedać swoich poddanych rzeźnikowi. A przecież gdy sięgał po koronę, czynił to jedynie z myślą o własnych korzyściach. Oto jak nawet rabuś i awanturnik może niepostrzeżenie zacząć poczuwać się do odpowiedzialności za losy swych poddanych.

Conan pomyślał o ostatniej, okropnej pogroźce Tsothy i jęknął z nieopisanej wściekłości, wiedząc, że nie były to czcze pogroźki. Czarnoksiężnik traktował kobiety i mężczyzn tak, jak naukowiec traktuje wijącego się robaka. Miękkie, białe dłonie, które pieściły króla, pąsowe wargi przywierające do jego warg i alabastrowe piersi drżące od jego płomiennych pocałunków — miały być odarte z delikatnej skóry, białej jak kość słoniowa i różowej jak płatki róż... Z ust Conana wydarł się okrzyk tak przeraźliwy i nieludzki od szaleńczej wściekłości, że ktoś, kto by go usłyszał, przeraziłby się, dowiadując, iż ten dźwięk wydobył się z ludzkiego gardła.

Wibrujące echa sprawiły, że barbarzyńca drgnął i uświadomił sobie własną sytuację. Spojrzął z obawą na mrok za kręgiem światła, wspominając wszystkie ponure opowieści, jakie słyszał o wyrafinowanym okrucieństwie czarnoksiężnika. Dreszcz przebiegł mu po krzyżu, gdy uświadomił sobie, iż musi się znajdować w tych opisywanych przez mrozące krew w żyłach legendy Komnatach Trwogi; tunelach i lochach, w których Tsotha dokonywał

straszliwych doświadczeń ze zwierzętami, istotami ludzkimi oraz — jak szeptano — z

demonami, igrając bluźnierczo z samą istotą życia. Plotka głosiła, że szalony poeta Rinaldo odwiedził te lochy, a mag pokazał mu niewyobrażalne okropieństwa i potworności, o czym

bard napomykał później w tym strasznym poemacie „Pieśń lochu”, który nie był jedynie

wytworem wyobraźni chorego umysłu. Topór Conana uwolnił go od choroby tej nocy, kiedy

król musiał walczyć o życie ze skrytobójcami, sprowadzonymi podstępnie do pałacu przez

szalonego wierszokletę, jednak wstrząsające słowa tej ponurej pieśni nadal rozbrzmiewały w uszach przykutego do ściany władcy.

W chwili gdy Cymeryjczyk pomyślał o tym, usłyszał cichy szmer, który sprawił, że krew

zastygła mu w żyłach. Król zamarł w napiętym oczekiwaniu, wyęzając słuch aż do bólu.

Poczuł jakby lodowata dłoń przesunęła mu się po plecach. Rozpoznał nieomylnie dźwięk

giętkich łusek cicho ślizgających się po kamieniu. Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy tuż za kręgiem światła ujrzał ogromny, niewyraźny kształt, przerażający, mimo że był tak słabo widoczny. Kształt uniósł się w górę, kołysząc się lekko, a żółte ślepia zimno spojrzały z

mroku na barbarzyńcę. Stopniowo wytrzeszczone oczy Cymeryjczyka dostrzegły olbrzymi,

odrażający, klinowaty łeb i z ciemności powoli wypełzło wijące się cielsko najokropniejszego przedstawiciela gadziego rodu.

Ten wąż przyćmiewał swoimi rozmiarami wszelkie widziane dotychczas przez Conana

gady. Od spiczastego ogona po łeb — większy od końskiej głowy — mierzył nie mniej niż

dwadzieścia pięć metrów. W przyćmionym świetle jego łuski lśniły zimno, białe niczym

szron. Ten gad z pewnością wylągl się i wyrósł w ciemnościach, a jednak jego ślepia patrzyły bystrym, złym spojrzeniem. Zwinął swe gigantyczne sploty przed więźniem i uniósł wielki

łeb, kołysząc nim tuż przy twarzy Conana. Rozwidlonym, wysuwającym się miarowo

językiem niemal dotykał jego warg. Przeróżliwy smród wywoływał mdłości, a ogromne ślepia

spoglądały prosto w oczy Cymeryjczyka, który odpowiedział spojrzeniem schwytanego w

potrzask wilka. Z trudem opanował szaloną chęć pochwylenia w dłonie tej grubej, wygiętej

szyi. Barbarzyńca silniejszy, niż może to sobie wyobrazić cywilizowany człowiek, skreślił

kiedyś kark pytonowi w zacieklej walce stoczonej na wybrzeżu Stygii w latach, gdy trudnił się korsarstwem. Jednak ten gad był jadowity; Conan widział wielkie kły, długie na trzydzieści centymetrów i wygięte niczym jatagany. Ściekała z nich bezbarwna ciecz, która — jak instynktownie wyczuwał — niosła śmierć. Może zdołałby zgruchotać klinowaty łeb rozpaczliwym ciosem zaciśniętej pięści, ale wiedział, że jeśli choćby drgnie, potwór zaatakuje go z szybkością błyskawicy.

To nie jakieś logiczne rozumowanie sprawiło, że Conan zastygł w bezruchu, ponieważ rozsądek mógłby podpowiedzieć mu, aby — skoro i tak jest zgubiony — sprowokował węża do ataku i skrócił męczarnie; to ślepy, pierwotny instynkt przetrwania nakazał mu stać nieruchomo niczym posąg odlany z brązu. Gruba rura uniosła się wyżej, a głowa ustawiła się wysoko nad więźniem — potwór oglądał pochodnię. Kropla trucizny spadła na nagie udo Cymeryjczyka, paląc jak rozżarzone do białości żelazo wbite w ciało. Sztylety bólu przeszyły czaszkę barbarzyńcy, ale on nie poruszył się; nawet drgnięciem choćby jednego mięśnia czy powieki nie zdradził bólu wywołanego oparzeniem, którego ślad miał nosić aż do śmierci. Gad kołysał się nad nim, jakby chcąc się przekonać, czy w tej zamarłej w bezruchu postaci tli się choć iskra życia. Nagle, nieoczekiwanie, szczęknęły otwierane zewnętrzne drzwi, niemal niewidoczne w mroku. Potwór, podejrzliwy jak wszyscy przedstawiciele gadziego rodu, zwinął się z zaskakującą jak na jego rozmiary szybkością i odpełził w ciemność.

Potężne drzwi otwarły się i pozostały uchylone. Krata uniosła się i w wejściu stanęła potężna, czarnoskóra postać, oświetlona blaskiem płonących na zewnątrz pochodni. Przybyły przeszedł dalej, przymykając kratę za sobą, ale nie zatrzasnął rygla. Gdy stanął w kręgu światła rzucanego przez pochodnię nad głową Conana, ten stwierdził, że był to olbrzymi, zupełnie nagi Kuszyta, który trzymał w jednej ręce olbrzymi miecz, a w drugiej pęk kluczy. Czarny przemówił w dialekcie wybrzeża i Conan odpowiedział; poznał ten żargon, gdy jako korsarz grasował przy brzegach Kush.

— Od dawna chciałem cię spotkać, Amro! — czarnoskóry nazwał króla imieniem, pod

jakim Cymeryjczyka znali Kuszyci w czasach, gdy parał się piractwem — Amra, Lew. Usta kędzierzawego niewolnika rozwarły się w zwierzęcym uśmiechu, ukazując białe zębiska, lecz jego oczy błyszczały czerwono w blasku pochodni. — Wiele zaryzykowałem dla tego spotkania. Spójrz! Oto klucze do twoich łańcuchów! Skradłem je Shukeliemu. Co mi za nie dasz?

Pomachał kluczami przed nosem Conana.

— Dziesięć tysięcy złotych lunów — odparł szybko król, czując gwałtowny przypływ nowej nadziei.

— Za mało! — krzyknął czarny, a jego wykrzywione rysy zdradzały dziką uciechę. — Za mało jak na takie ryzyko! Ulubieńcy Tsothy mogą wychynąć z ciemności i pożreć mnie, a jeśli Shukeli zauważy, że ukradłem mu klucze, powiesi mnie za... No, więc cóż mi dasz?

— Piętnaście tysięcy lunów i pałac w Poitain — zaproponował król.

Czarny zatupał nogami w gwałtownym przypływie radości.

— Więcej! — krzyknął. — Daj mi więcej! Co mi dasz?

— Ty czarny psie! — Czerwona mgła wściekłości zasnuła oczy Conana. — Gdybym nie był skuty, skręciłbym ci kark! Czy to Shukeli przysłał cię tu, aby ze mnie szydzić?

— Shukeli nic nie wie o tym, że tu jestem, biały człowieku — odparł tamten, wyciągając szyję, żeby zajrzeć Cymeryjczykowi w oczy. — Znam cię z dawnych czasów, kiedy byłem wodzem wolnego plemienia, zanim Stygijczycy pojмали mnie i sprzedali na północ. Czy nie pamiętasz, jak złupiłeś Abombi, kiedy wdarły się doń twoje morskie wilki? Przed pałacem króla Ajagi zabiłeś jednego z wodzów, drugi uciekł. Zabitym był mój brat, a ja uciekłem.

Żądam od ciebie zapłaty krwią, Amro!

— Uwolnij mnie, a dam ci tyle złota, ile sam wazysz — warknął Conan.

Nabiegłe krwią oczy czarnego zabłysły, a jego białe zęby zaśniły w blasku pochodni jak

wilcze kły.

— Tak, ty biały psie, wszyscy z twojej rasy są tacy sami; ale czarnemu człowiekowi złotem nigdy nie zapłacisz za krew. Ceną, jakiej żądam, jest twoja głowa!

Wypowiadając te słowa, podniósł głos do opętańczego krzyku, który odbił się drżącym echem w mrokach lochów. Conan sprężył się i mimowolnie szarpnął się w więzach, nie mogąc znieść myśli o tym, że zostanie zaszlachtowany jak owca w rzeźni; nagle zamarł, widząc coś jeszcze bardziej przerażającego. Za plecami czarnego ujrzał niewyraźny zarys kołyszającego się w ciemności cielska.

— Tsotha nigdy się nie dowie! — śmiał się okropnie czarnoskóry niewolnik, zbyt upojony triumfem, by zważać na cokolwiek innego i zbyt pijany nienawiścią, aby zdać sobie sprawę z tego, że Śmierć czyha za jego plecami. — Nie wejdzie do lochów, zanim demony nie wywleką twoich kości z łańcuchów. Będę miał twoją głowę, Amro!

Stanął na szeroko rozstawionych nogach, masywnych jak dwie hebanowe kolumny, i zamachnął się oburącz potężnym mieczem, aż w świetle pochodni zagrały mu pod skórą grube węzły mięśni. W tejże chwili gigantyczny cień za jego plecami śmignął naprzód i w dół, a klinowaty łeb uderzył z takim impetem, że cios odbił się echem po podziemnych korytarzach. Żaden dźwięk nie wydobył się z grubych, posiniałych warg, rozchylonych w grymasie agonii. Conan ujrzał, jak wraz z echem uderzenia życie uchodzi z szeroko otwartych oczu czarnego — tak szybko, jak gaśnie płomień zdmuchniętej świecy. Cios odrzucił wielkie ciało niewolnika w głąb korytarza, a olbrzymie, lśniące sploty owinięły się wokół niego, zupełnie go zakrywając; do uszu Conana dobiegł wyraźny chrzęst łamanych i miażdżonych kości. Nagle serce załomotało mu w piersi. Czarny padając wypuścił miecz oraz klucze, które z brzękiem potoczyły się po kamieniach i zatrzymały się tuż przy stopach króla.

Conan pochylił się, próbując ich dosięgnąć, lecz łańcuch był zbyt krótki; bliski utraty tchu, z opętańczo bijącym sercem, zsunął sandał i chwycił klucze palcami stopy; zgiąwszy nogę złapał je kurczowo, ledwie powstrzymując dziki okrzyk radości cisnący mu się na usta.

Chwila zmagania z ogromnymi kłódkami i był wolny. Chwycił miecz i rozejrzał się wokół. Jego wzrok napotkał jedynie mrok, w którym zniknął gad, unosząc zmiążdżone, poszarpane zwłoki, które ledwie przypominały ludzkie ciało. Conan skierował się do otwartych drzwi. W kilku szybkich susach dotarł do progu, gdy nagle w ciemnościach rozległ się piskliwy śmiech i krata opadła tuż przed jego wyciągniętą ręką. Zza prętów spoglądała nań wykrzywiona w drwiącym uśmiechu twarz maskarona — to eunuch Shukeli podążył za skradzionymi mu kluczami. Upojony szyderstwem nie dostrzegł miecza w dłoni Cymeryjczyka. Zakląwszy okropnie, Conan uderzył jak atakująca kobra; wielkie ostrze świsnęło między prętami i śmiech Shukeliego zmienił się w przedśmiertny krzyk. Tłusty eunuch zgiął się w pół, jakby kłaniał się swemu zabójcy, po czym padł niczym bela sadła, daremnie usiłując powstrzymać pulchnymi dłońmi wypływające wnętrzności.

Conan wyszczerzył zęby w grymasie dzikiej uciechy; jednak nadal pozostawał więźniem.

Kluczami nie mógł otworzyć rygla, który dawał się odsunąć tylko z tamtej strony krat.

Spróbował mocy krat, lecz przekonał się, że były równie twarde jak klinga miecza; gdyby

próbował je przeciąć, złamałby swoją jedyną broń. A jednak znalazł wgłębienia na tych

masywnych sztabach, jakby pozostawione przez jakieś olbrzymie kły i z mimowolnym

dreszczem zgrozy zadał sobie pytanie, jakież to nieznanne potwory tak strasznie poharatały

kratę. Mimo wszystko, mógł zrobić tylko jedno — poszukać jakiegoś innego wyjścia.

Wziąwszy z niszy pochodnię, z mieczem w garści ruszył korytarzem. Nigdzie nie dostrzegł

ani śladu gada i jego ofiary, tylko długą smugę krwi na kamiennej podłodze.

Ciemność skradała się wokół niego na bezszelestnych stopach, słabo rozpraszana przez

migoczącą pochodnię. Po obu stronach widział mroczne przejścia, ale trzymał się głównego

korytarza, czujnie obserwując podłogę przed sobą, żeby nie wpaść do jakiejś studni. Nagle

usłyszał żalosne, kobiece zawodzenie. Jeszcze jedna ofiara Tsothy, pomyślał, znów

przeklinając czarownika, po czym skręciwszy w boczny, węższy tunel, ruszył tam, skąd

dobiegało zawodzenie.

W miarę, jak się zbliżał, głos przybierał na sile; Conan uniósł pochodnię i dojrzał w mroku niewyraźną sylwetkę. Podeszedł bliżej i nagle stanął jak wryty, widząc leżącego na ziemi człekokształtnego potwora. Zmienne kształty tego dziwoląga trochę przypominały ośmiornicę, lecz nieforemne macki zdawały się zbyt krótkie jak na tak wielki korpus, a cielsko stanowiła drgająca galareta, której widok przyprawił barbarzyńcę o mdłości. Z tej odrażającej, zimnej masy wystawała żabia głowa i Conan z obrzydzeniem uświadomił sobie, iż zawodzenie dobywało się z tych paskudnych, obrzmiałych warg. Gdy wielkie, ruchliwe ślepie potwora dostrzegły przybysza, płynący z ohydnej paszczęki dźwięk przeszedł w wysoki chichot, a dygoczące cielsko zaczęło niezdarnie sunąć w kierunku Cymeryjczyka. Król cofnął się i umknął tunelem, nie ufając sile swego miecza. Ta kreatura mogła być ziemskim stworzeniem, lecz jej widok wstrząsnął dogłębnie Conanem, który wątpił, czy wykutym ludzką ręką orężem zdoła coś wskórać przeciw niej. Przez chwilę słyszał, jak pełźnie i człapie za nim, zanosząc się straszliwym chichotem. Ten niezaprzeczalnie ludzki dźwięk mącił rozum barbarzyńcy; taki sam sprośny śmiech dobywał się z grubych warg kobiet Shadizaru, Miasta Rozpusty, gdy na targowisku zdzierano odzienie z wystawionych na licytację dziewcząt. Jakąż to piekielną sztuką Tsotha powołał do życia takiego potwora? Conan podświadomie zdawał sobie sprawę z tego, że widział coś, co było bluźnierstwem przeciw odwiecznym prawom natury.

Biegł w kierunku głównego korytarza, lecz zanim tam dotarł, znalazł się w małej, prostokątnej komnacie, w której spotykały się dwa korytarze. Wpadając do niej, zauważył na ziemi jakiś niewielki, przysadzisty kształt, lecz zanim zdążył zatrzymać się czy skrócić w bok, natrafił nogą na coś miękkiego, co pisnęło przeraźliwie, i runął jak długi, wypuszczając z ręki pochodnię, która zgasła przy zetknięciu z kamienną podłogą. Na pół ogłuszony upadkiem

Conan wstał i zaczął macać w ciemnościach. Stracił orientację i nie potrafił ocenić, w jakim kierunku powinien iść do głównego korytarza. Nie szukał pochodni, ponieważ i tak nie zdołałby jej ponownie zapalić.

Macając dłonią, natrafiał na wyloty korytarzy — na chybił trafił wybrał jeden z nich. Nie wiedział, jak długo podążał nim w zupełnej ciemności, ale nagle instynkt barbarzyńcy ostrzegł go przed grożącym niebezpieczeństwem i kazał zatrzymać się.

Miał wrażenie, że stoi w ciemnościach nad brzegiem bezdennej przepaści. Opadłszy na kolana, centymetr po centymetrze posuwał się naprzód, aż w końcu wyciągniętą ręką namacał krawędź opadającej pionowo studni. Tak głęboko, jak zdołał sięgnąć, jej ściany, wilgotne i oślizłe opadały stromo. Wyciągnął rękę w mrok i stwierdził, iż ledwie może dotknąć przeciwległego skraju studni końcem miecza. Tak więc mógł przeskoczyć na drugą stronę, jednak nic by mu to nie dało. Wybrał zły korytarz; ten główny znajdował się gdzieś za nim. Kiedy o tym myślał, poczuł lekki powiew — słaby podmuch z otworu rozwiał mu czarną grzywę włosów. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Próbował przekonać sam siebie, że ten szyb łączył się jakoś ze światem zewnętrznym, ale instynkt podpowiadał mu, iż to niemożliwe. Przecież znajdował się nie tylko wewnątrz wzgórza, ale pod nim, głęboko pod ulicami miasta. A więc jak wiatr mógłby wpadać do lochów i wiać od dołu? Ten upiorny wiatr niósł słaby, pulsujący dźwięk, jakby dudnienie bębnow grzmiących głęboko, głęboko w dole. Gwałtowny dreszcz wstrząsnął królem Akwilonii.

Wstał i zaczął się cofać, a gdy to czynił, coś wyłoniło się ze studni. Conan nie wiedział, co to takiego. Niczego nie widział w ciemności, lecz wyraźnie czuł czyjąś obecność — istnienie jakiejś niewidzialnej, nieuchwytej inteligencji, która złowrogo unosiła się opodal. Odwrócił

się i pomknął z powrotem drogą, którą przybył. Daleko przed sobą ujrzał czerwoną iskierkę.

Skierował się ku niej i na długo przedtem, nim spodziewał się do niej dotrzeć, wpadł z impetem na twardą ścianę i ujrzał iskrę u swoich stóp. To była jego pochodnia — płomień

zgasł, lecz jej koniec jeszcze się żarzył. Cymeryjczyk ostrożnie podniósł łuczywo i delikatnie dmuchając, ponownie rozpałił płomień. Westchnął z ulgą, gdy wąty płomyk rozjaśnił mrok.

Znów znalazł się w prostokątnej komnacie, gdzie zbiegały się korytarze — natychmiast zorientował się, w którym kierunku powinien iść.

Znalazł tunel, którym przyszedł od głównego korytarza, ale kiedy tam ruszył, płomień pochodni zamigotał gwałtownie, jakby dmuchnęły nań niewidzialne usta. Conan ponownie poczuł czyjąś obecność i podniósł żagiew, rozglądając się wokół.

Niczego nie dostrzegł; a jednak miał niejasne wrażenie, że jakaś niewidzialna, bezcielesna istota unosi się w powietrzu, ociekając śluzem i miotając przekleństwa, których nie mógł słyszeć, lecz instynktownie wyczuwał ich plugawą naturę. Wściekle machnął mieczem i wydało mu się, że ostrze więźnie w pajęczynach. Zimny dreszcz przebiegł Conanowi po plecach; umknął w głąb tunelu, czując na nagim karku czyjś smrodliwy, palący oddech.

Jednak kiedy dobiegł do szerokiego korytarza, nie miał już wrażenia, iż towarzyszy mu jakaś istota — widzialna czy niewidzialna. Ruszył dalej, w każdej chwili spodziewając się, że z ciemności wyskoczą na niego jakieś zębate i pazurzaste bestie. W lochach nie panowała cisza. Z głębi ziemi ze wszystkich stron dochodziły dźwięki nie należące do normalnego świata. Chichoty, wybuchy demonicznej uciechy, przeciągłe i przeraźliwe wycia, a w pewnej chwili śmiech — niewątpliwie wydobywający się z paszczy hieny, który zakończył się okropnym potokiem bluźnierstw miotanych w ludzkiej mowie. Conan słyszał szmer skradających się kroków, a w wylotach korytarzy dostrzegał jakieś niewyraźne sylwetki, potworne i niesamowite.

Miał wrażenie, że błąka się po Piekło — piekło stworzonym przez Tsotha-lanti. Jednak mroczne kształty nie wychodziły na główny korytarz, chociaż Cymeryjczyk wyraźnie słyszał łapczywe cmokanie oślinionych warg i czuł na sobie palące spojrzenia wygłodniałych ślepi. Niebawem pojął, co je powstrzymywało. Cichy szmer za plecami zaalarmował go i król uskoczył w ciemność pobliskiego bocznego tunelu, machnięciem gasząc pochodnię. Słyszał, jak wielki wąż pełźnie korytarzem, ospały po niedawnej uczcie. Opodał coś zakwiliło ze strachu i wtopiło się w ciemność. Najwidoczniej główny korytarz stanowił teren łowiecki wielkiego gada i inne potwory schodziły mu z drogi.

Dla Conana gad był najmniej okropnym z napotkanych tu stworów; wspominając szlochającą, chichoczącą galaretowatą masę i ociekającą śluzem bestię, która wyłoniła się ze studni, Cymeryjczyk myślał o nim nieomal z sympatią. Wąż był przynajmniej ziemską istotą; wprawdzie niósł śmierć, ale uosabiał jedynie fizyczną zagładę, podczas gdy inne okropieństwa groziły nie tylko ciału, ale i duszy.

Kiedy gad oddalił się, Conan ponownie rozpałił pochodnię i poszedł za nim, mając nadzieję, iż zachowuje bezpieczną odległość. Nie uszedł daleko, gdy postyszał cichy jęk, który zdawał się dobiegać z mrocznego wylotu pobliskiego korytarza. Ostrożność powstrzymywała króla, ale ciekawość sprawiła, że wkroczył do tunelu, podnosząc wysoko pochodnię, z której pozostał już zaledwie niewielki ogarek. Był przygotowany na każdy widok, ale zupełnie nie spodziewał się zobaczyć tego, co tam ujrzał.

Zaglądał do rozległej komnaty, której część odgrodzono osadzonymi blisko siebie prętami, sięgającymi od podłogi do stropu i wpuszczonymi w kamień. Za tą kratą leżała jakaś postać, która — co stwierdził, podchodząc bliżej — była człowiekiem albo wiernym wizerunkiem człowieka i która tkwiła w oplocie grubego pędu zdającego się wyrastać z litej skały podłogi.

Pnącze było obsypane liśćmi o dziwnym kształcie i szkarłatnym kwieciem — a szkarłatna barwa tych kwiatów nie była satynową czerwienią zwykłych płatków, lecz ognistą, nienaturalną purpurą zdającą się parodiować normalny kolor. Giętkie, chwytlive odgałęzienia spowijały nagie ciało i kończyny, jakby pieszcząc je lubieżnymi pocałunkami. Jeden wielki kwiat zawisł tuż nad jego ustami. Z rozwartych warg człowieka wydobyło się ciche, zwierzęce rżenie; rzucił głową w okropnej męce i spojrział szeroko otwartymi oczami na Conana. Jednak jego wzrok nie zdradzał nawet śladu rozumnej myśli; był szklanym i pustym spojrzeniem idioty.

Wielki szkarłatny kwiat pochylił się i przycisnął swe płatki do wykrzywionych ust ofiary. Kończyny nieszczęśnika poruszyły się gwałtownie; wici rośliny zadrżały jakby w ekstazie, wibrując na całej długości. Po pnączach przebiegły fale zmieniających się odcieni; przybrały

bardziej soczystą, jadowitą barwę.

Conan nie rozumiał, co to wszystko ma znaczyć, jednak wiedział, że jest świadkiem czegoś okropnego. Kimkolwiek był torturowany, człowiekiem czy demonem, jego cierpienia poruszyły wrażliwe i impulsywne serce Conana. Król odszukał wejście i znalazł małą furtkę, zamkniętą na solidną kłódkę, którą otworzył jednym z pęku kluczy. Gdy wszedł do środka, płatki kwiatów rozwarły się jak kaptur kobry, wici uniosły się groźnie, a cała roślina zatrzęsła się i nachyliła ku niemu. To nie był bezmyślny przedstawiciel roślinnego świata. Conan wyczuwał obcą, złośliwą inteligencję; roślina widziała go, a barbarzyńca czuł, jak emanuje z niej nienawiść tak silna, że niemal namacalna. Podeszedł ostrożnie i wypatrzył łodygopnącze, obrzydliwie giętkie i grubsze od jego uda, a gdy długie pędy wysunęły się ku niemu z sykiem i trzepotem liści, Cymeryjczyk zamachnął się i jednym ciosem miecza przerąbał łodygę.

Ofiara rośliny została natychmiast odrzucona na bok, zaś wielkie pnącze wiło się i kurczyło jak żmija z odciętym łbem, tworząc ogromny, nieregularny kłęb. Wici drżały i dygotały, liście trzęsły się, trzepocząc jak kastaniety, a płatki otwierały się i zamykały konwulsyjnie; wreszcie roślina rozwinęła się na całą długość, jaskrawe barwy przyblakły i spłowiały, a z przeciętego pnia zaczął się sączyć cuchnący, biały płyn.

Conan spoglądał na to jak zauroczony; nagle jakiś szmer za plecami sprawił, że odwrócił się błyskawicznie, wznosząc miecz do ciosu. Uwolniony człowiek wstał i spoglądał na niego badawczo. Conan rozdziawił usta ze zdumienia. Spozierające z wymizerowanej twarzy oczy przybrały normalny wyraz. Ciemne i myślące, zdradzały inteligencję właściciela, z oblicza którego opadła maska idioty. Nieznajomy miał wąską i kształtną głowę, o wysoko sklepionym czole. Jego wygląd zdradzał arystokratyczne pochodzenie, widoczne zarówno w wysokiej, smukłej sylwetce, jak i w zgrabnych dłoniach oraz stopach. Pierwsze słowa, jakie wypowiedział, zdumiały Conana.

— Jaki mamy teraz rok? — spytał po kothijsku.

— Dziś jest dziesiąty dzień miesiąca Yuluk, roku Gazeli — odparł król.

— Yagkoolan Ishtar! — mruknął obcy. — Dziesięć lat! Przesunął dłonią po czole, potrząsając głową, jakby próbował pozbyć się jakichś płaczących myśli pajęczyn.

— Wszystko widzę jeszcze tak niewyraźnie... Po dziesięcioletniej pustce nie można oczekiwać, że umysł od razu zacznie dobrze pracować. Kim jesteś?

— Jestem Conan, niegdyś z Cymerii. Teraz król Akwilonii. W oczach tamtego pojawiło się zdumienie.

— Naprawdę? A król Numedides?

— Udusiłem go na jego własnym tronie tej nocy, gdy zdobyłem stolicę.

Usta nieznanego, gdy usłyszał tę nieco naiwną odpowiedź wygięły się w lekkim uśmiechu.

— Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Powinienem podziękować ci za przysługę, jaką mi oddałeś. Jestem niczym człowiek wyrwany niespodzianie ze snu głębszego od śmierci, a pełnego koszmarów straszliwszych od piekielnych, lecz pojmuję, że mnie uwolniłeś. Powiedz mi, dlaczego przerąbałeś pień rośliny Yothga zamiast wyrwać ją z korzeniami?

— Ponieważ dawno temu nauczyłem się nie tykać czegoś, czego nie rozumiem — odparł Cymeryjczyk.

— Bardzo rozsądnie — rzekł obcy. — Gdybyś zdołał ją wyrwać, mógłbyś znaleźć uczepione jej korzeni rzeczy, przeciw którym nie pomógłby ci nawet twój miecz. Korzenie Yothga tkwią w Piekło.

— Kim jesteś? — zapytał Conan.

— Ludzie nazywali mnie Peliasem.

— Co?! — zakrzyknął król. — Tym Peliasem, czarodziejem i rywalem Tsotha-lanti, który zniknął bez śladu dziesięć lat temu?

— Niezupełnie bez śladu — wyjaśnił Pelias z krzywym uśmiechem. — Tsotha wolał pozostawić mnie przy życiu w okowach straszniejszych niż zardzewiałe żelaza. Zamknął

mnie tutaj z tym diabelskim kwiatem, którego nasiona przypląnęły tu przez Kosmos z Przeklętego Yag i znalazły odpowiednią dla siebie glebę jedynie w zrobaczywiałej mierzwie korytarzy Piekieł. Kiedy to diabelstwo więziło mnie w uścisku i wysysało ze mnie duszę swymi plugawymi pieszczotami, nie mogłem przypomnieć sobie mojej czarodziejskiej sztuki ani zaklęć czy symboli mej władzy. We dnie i w nocy wysysało zasoby mojego umysłu, zostawiając go pustym jak rozbity dzban. Dziesięć lat! Ishtar, miej nas w opiece!

Conan nie znalazł stosownych słów, więc stał, trzymając w jednej dłoni dogasającą pochodnię, a w drugiej kołysząc swój wielki miecz. Ten człowiek z pewnością oszalał — a jednak w tych ciemnych, dziwnych oczach, które spoglądały na niego tak spokojnie, nie było śladu szaleństwa.

— Powiedz mi, czy czarnoksiężnik jest teraz w Khorshemish? Jednak nie — nie musisz odpowiadać. Zaczyna mi wracać moja moc; widzę w twoich myślach obraz wielkiej bitwy i króla zdradziecko zwabionego w pułapkę. I widzę, że Tsotha-lanti pędzi co koń wyskoczy ku rzece Tybor razem ze Strabonusem i królem Ophiru. Tym lepiej. Na razie moja moc zbyt osłabła po tak długiej drzemce, żebym mógł zmierzyć się z Tsothą. Potrzebuję czasu, aby odzyskać siły i dawną moc. Wyjdźmy z tych lochów.

Conan machnął wymownie pękiem kluczy.

— Krata przed zewnętrznymi drzwiami jest zamknięta na rygiel, który można otworzyć tylko z zewnątrz. Czy jest jakieś inne wyjście z tych podziemi?

— Tylko jedno, ale takie, którego żaden z nas wolałby nie używać, ponieważ wiedzie w dół, a nie w górę — zaśmiał się Pelias. — Jednak to nie ma znaczenia. Chodźmy zobaczyć tę kratę.

Ruszył do wyjścia na korytarz, niepewnie stawiając kroki, jakby powoli odzyskiwał władzę w odzwyczajonych od poruszania się kończynach. Idący za nim Conan rzekł z niepokojem:

— Po tym tunelu włóczy się wielki wąż. Uważajmy, abyśmy nie weszli mu prosto w paszczę!

— Dobrze go pamiętam — odparł ponuro Pelias. — Tym bardziej że musiałem patrzeć, jak pożerał moich dziesięciu uczniów, jednego po drugim. To Stary Satha, najważniejszy z ulubieńców Tsotha-lanti.

— Czy Tsotha wykuł te lochy tylko po to, żeby trzymać w nich swoje przeklęte potwory?

— spytał Conan.

— Nie on je wykopał. Kiedy trzy tysiące lat temu założono tu miasto, na wzgórzu i wokół niego stały już ruiny jeszcze starszego grodu. Król Khossus V, założyciel Khorshemish, wznosił swój pałac na szczycie, a kopiąc pod nim piwnice, natknął się na zamurowane wejście, do którego włamał się, odkrywając lochy prawie w takim stanie, w jakim widzimy je dziś. Lecz jego wielkiego wezyra spotkał w tych podziemiach tak straszny los, że przerażony Khossus kazał na powrót zamurować wejście. Rozgłosił, że wezyr wpadł do studni — lecz

kazał zasypać piwnice, a później opuścił pałac i przeniósł się do innego, zbudowanego poza miastem; ale i stamtąd uciekł w panice, gdy pewnego ranka znalazł czarną pleśń na

marmurowej podłodze swej komnaty. Wtedy przeniósł się z całym swoim dworem na

wschodni kraniec królestwa i wybudował nowe miasto. Pałac na wzgórzu stał nie

zamieszkany i popadł w ruinę. Kiedy Akkhuto I wskrzesił dawną świetność Khorshemish,

postawił tu fortecę. Przetrwała ona aż do naszych czasów i Tsotha-lanti zmienił ją w

Szkarłatną Cytadelę i ponownie odkopał wejście do lochów. Cokolwiek spotkało wielkiego

wezyra, Tsotha zdołał uniknąć podobnego losu. Nie wpadł do żadnej studni, ale opuścił się do jednej z nich i powrócił dziwnie zmieniony — tę przemianę do dziś widać w jego oczach.

Widziałem tę studnię, lecz nie mam zamiaru szukać w niej mądrości. Jestem czarownikiem i

to starszym, niż ludzie przypuszczają, ale jestem też człowiekiem. Zaś co do Tsothy...

Powiadają, iż pewnej nocy tancerczka ze Shadizaru zasnęła zbyt blisko przedludzkich ruin

na wzgórzu Dagoth i obudziła się w objęciach demona; z tego niegodziwego związku zrodziła

się przeklęta hybryda zwana Tsotha-lanti...

Conan zakrzyknął ostrzegawczo i odskoczył do tyłu, pociągając za sobą towarzysza. Przed nimi unosiło się wielkie, błyszczące cielsko Sathy, spoglądającego na nich ślepiami pełnymi bezbrzeżnej nienawiści. Conan napiął mięśnie, szykując się do szaleńczego ataku; zamierzał wepchnąć dogasającą pochodnię w ohydną paszczkę i włożyć wszystkie siły w jeden morderczy cios miecza. Jednak wąż nie patrzył na niego. Spoglądał ponad nim na człowieka zwącego się Peliasem, który stał ze skrzyżowanymi ramionami i z uśmiechem na ustach. Z wolna nienawiść wyzierającą z wielkich, żółtych ślepi zastąpił przeraźliwy lęk — barbarzyńca jeszcze nigdy nie widział, aby ślepią węża miały taki wyraz. Gad zwinął się w miejscu i umknął, czemu towarzyszył dźwięk przypominający świst wichru.

— Cóż takiego zobaczył, że tak się przeraził? — zdumiał się Cymeryjczyk.

— Pokryty łuską lud widzi rzeczy, które umykają oczom zwykłych śmiertelników — odrzekł tajemniczo Pelias. — Ty widzisz moją ziemską postać, on ujrzął moją nagą duszę.

Lodowata strużka spłynęła po krzyżu Conana, który zaczął się zastanawiać, czy Pelias mimo wszystko jest człowiekiem, czy też jeszcze jednym demonem w ludzkiej postaci. Król rozważał, czy nie powinien natychmiast wbić miecza w plecy idącego przed nim towarzysza.

Jednak kiedy o tym rozmyślał, dotarli do stalowej kraty, widocznej jako czarne linie na tle światła płonących pochodni, i do ciała Shukelięgo, które nadal bezwładnie wspierało się o pręty w kałuży krzepnącej krwi.

Pelias wybuchnął niesamowitym śmiechem.

— Na alabastrowe biodra Isztar, kimże jest nasz odźwierny? Patrzcie no, przecież to sam szlachetny Shukeli we własnej osobie, ten, który wieszał moich uczniów za nogi i ze śmiechem obdzierał ich ze skóry! Śpisz, Shukeli? Czemu leżysz tak sztywno z tłustym kałdunem rozplatanym jak u wypatroszonej świni?

— On nie żyje — mruknął Conan, niechętnie słuchając takich słów skierowanych do trupa.

— Martwy czy żywy — zaśmiał się Pelias — podnieś nam tę kratę.

Głośno klasnął w dłonie i zawołał:

— Wstań, Shukeli! Wróć z Piekieł, wstań z tej zakrwawionej podłogi i otwórz kratę swym panom! Wstań, mówię!

Przez podziemia przetoczył się okropny jęk. Conanowi włosy na głowie stanęły dęba i cały oblał się lepkiem, zimnym potem. Ciało Shukeliego drgnęło i poruszyło się, niezdarnie macając wokół pulchnymi rękami. Pelias zaniósł się śmiechem bezlitosnym jak krzemienny topór, gdy eunuch powstał chwiejnie, czepiając się prętów kraty. Conanowi, który spoglądał na to z wytrzeszczonymi oczami, krew zastygła w żyłach i ugięły się nogi, gdyż szeroko otwarte oczy Shukeliego były szkliste i puste, a z wielkiej rany w brzuchu dozorczy wnętrzności wylewały się na podłogę. Jelita plątały się pod nogami eunucha, gdy ten odsuwał rygiel, poruszając się jak pozbawiony mózgu automat. Kiedy drgnął po raz pierwszy, Conan pomyślał, że jakimś nieprawdopodobnym zrządzeniem losu grubas jeszcze żyje; lecz eunuch nie żył od kilku godzin.

Pelias prześlizgnął się przez uchyloną kratę; ociekający potem Conan poszedł w jego ślady, zważając, aby nie dotknąć okropnej postaci ślaniającej się na nogach i uczeplonej otwartej kraty. Pelias szedł dalej, nie oglądając się za siebie, a za nim targany mdłościami i obrzydzeniem Conan. Nie zdążył zrobić nawet pół tuzina kroków, gdy odwrócił się, słysząc głuchy stuk za plecami. Ciało Shukeliego legło bezwładnie przy kracie.

— Zrobił swoje i wrócił do Piekieł — stwierdził z zadowoleniem Pelias, uprzejmie udając, iż nie zauważa silnego dreszczu, jaki wstrząsnął potężnym Cymeryjczykiem.

Mag prowadził ich po długich schodach do mosiężnych, zwieńczonych ludzką czaszką drzwi. Conan ścisnął miecz w garści, oczekując ataku hordy niewolników, ale w cytadeli zalegała cisza. Z mrocznego korytarza przeszli do innego, w którym z kadzielnic nieprzerwanie snuły się długie smugi dymu. Nadal nie napotkali nikogo.

— Niewolnicy i żołnierze kwaterują w innej części cytadeli — napomknął Pelias. — Dziś

wieczór, gdy ich pan wyjechał, z pewnością leżą odurzeni winem lub sokiem lotosu.

Conan zerknął przez ostrołukowe okno ze złotym parapetem, które wychodziło na rozległy

taras, i zaklął ze zdumienia, gdy ujrzał granatowe, usiane gwiazdami niebo. Wtrącono go do lochów tuż po wschodzie słońca, a teraz już dawno minęła północ. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak długo przebywał pod ziemią. Nagle poczuł, że jest okrutnie spragniony i głodny.

Pelias zaprowadził go do komnaty o złotym sklepieniu i podłodze ze srebra; ściany z lazurytu ozdabiały misternie rzeźbione portale wielu ostrołukowych drzwi.

Pelias z westchnieniem ulgi wyciągnął się na zasłanym jedwabiem łożu.

— Znowu złoto i jedwabie! — westchnął. — Tsotha udaje, iż potrafi się wznieść ponad

przyjemności ciała, ale on jest na pół diabłem. Ja, mimo mej czarnoksięskiej sztuki, jestem człowiekiem. Kocham wygody i uciechy życia — i właśnie przez to mnie pojmał. Schwytał

mnie, kiedy leżałem pijany i bezbronny. Wino to przekleństwo — na alabastrowe piersi

Isztar, nawet teraz, kiedy o nim mówię, ten zdrażliwy trunek jest tutaj! Przyjacielu, proszę cię, napełnij mi puchar... czekaj! Zapomniałem, że jesteś królem. Ja ci należę.

— Do diabła z tym — burknął Conan, nalewając wina do kryształowego kielicha i podając

go Peliasowi. Potem uniósł dzban do ust i pociągnąwszy długi łyk, również westchnął z

zadowoleniem. — Ten pies zna się na winie — powiedział, ocierając usta wierzchem dłoni.

— Ale na Croma, Peliasie, czy będziemy tu siedzieli i czekali, aż jego żołnierze zbudzą się i poderzną nam gardła?

— Nie ma obawy — odparł Pelias. — Czy chciałbyś zobaczyć, czy los sprzyja

Strabonusowi?

W oczach Conana zapaliły się błękitne skry i barbarzyńca ścisnął rękojeść miecza tak mocno, że aż posiniały mu palce.

— Och, gdybym tylko miał go w zasięgu miecza! — mruknął.

Pelias wziął wielką, lśniącą kulę leżącą, na hebanowym stole.

— To kryształ Tsothy. Dziecinna zabawka, ale użyteczna kiedy nie ma czasu na

poważniejsze zaklęcia. Spójrz, Wasza Wysokość.

Mag położył kulę na stole przed Conanem. Król spojrział w zmętniałe wnętrze kryształu,

które rozszerzyło się i pogłębiło. Powoli z mgły i cieni wyłoniły się wyraźne obrazy. Conan spoglądał na znajomy krajobraz. Rozległa równina opadała ku szerokiej, wijącej się rzece, za którą teren szybko wznosił się, tworząc labirynt niskich wzgórz. Na północnym brzegu rzeki wznosiło się otoczone murami miasto, okolone fosą łączącą się na obu końcach z rzeką.

— Na Croma! — wykrzyknął Conan. — To Shamar! Te psy je oblegają!

Najeźdźcy przekroczyli rzekę; ich namioty stały na wąskim skrawku równego terenu

między wzgórzami a miastem. Wojownicy kłębili się pod murami; zbroje lśniły blado w

świecie księżyca. Z murów spadł na nich grad kamieni i strzał; zachwiali się i cofnęli, lecz po chwili przypuścili następny atak.

W chwili gdy Conan zaklął, obraz zmienił się. Z mgieł wyłoniły się strzeliste wieże i

kopulaste dachy Tarantii, gdzie panowało ogromne zamieszanie. Cymeryjczyk widział, jak

zakuci w stal rycerze z Poitain — jego najwierniejsi stronnicy, którym powierzył pieczęć nad miastem — wyjeżdżają przez bramę żegnani gwizdami i drwinami przez tłumy wyległe na

ulice. Widział grabieże, zamieszki oraz zbrojnych z pelijskimi znakami na tarczach, którzy obsadzali wieże i panoszyli się na ulicach oraz placach. A nad tym wszystkim jak w

fantastycznym śnie ujrzał smagłą, triumfującą twarz księcia Arpella Pellijskiego. Obrazy zniknęły.

— Więc to tak! — zaklął Conan. — Wystarczyło, że na chwilę spuściłem ich z oczu, a mój lud zwrócił się przeciw mnie...

— Niezupełnie — wtrącił Pelias. — Słyszeli, że nie żyjesz. Sądzą, że nie ma nikogo, kto zdołałby obronić ich przed wrogiem zewnętrznym lub wojną domową. Oczywiście, zwrócili się do najpotężniejszego szlachcica, aby uniknąć okropności anarchii. Nie ufają

Poitańczykom, pamiętając dawne wojny, a pod ręką mieli Arpella — najpotężniejszego księcia centralnych prowincji.

— Kiedy powrócę do Akwilonii, będzie tylko bezgłowym ścierwem gnijącym przy Wieży

Zdrajców — zgrzytnął zębami król.

— Jednak nim zdążysz dotrzeć do stolicy — przypomniał mu Pelias — Strabonus może tam już być. A przynajmniej jego jazda spustoszy twoje królestwo.

— Racja! — Conan krążył po komnacie jak lew w klatce. — Nawet na najszybszym koniu nie zdołałbym dojechać do Shamar przed południem. A gdyby nawet, nie zdołałbym zrobić nic więcej, jak tylko umrzeć wraz z obrońcami, gdy miasto padnie — a padnie najdalej za kilka dni. Z Shamar do Tarontii jest pięć dni jazdy, nawet gdyby zajeździć konie na śmierć.

Strabonus już kołatałby do bram, zanim zdołałbym dotrzeć do stolicy i zebrać armię, co będzie niezwykle trudne — założę się, iż wszyscy przekłęci notable na wieść o mojej śmierci pierzchnęli do swych przeklętych włości. A od kiedy lud wygnał Trocera z Poitain, nie ma nikogo, kto zdołałby powstrzymać Arpella przed sięgnięciem po koronę — i koronny skarbiec. On podda kraj Strabonusowi w zamian za marionetkowy tron, lecz gdy tylko Strabonus odwróci się plecami, Arpello wznieci rewoltę. Jednak szlachta nie poprze go, co da Strabonusowi pretekst, by dokonać jawnej aneksji. Och, na Croma, Ymira i Seta! Gdybym tylko miał skrzydła i mógł polecieć do Tarantii!

Pelias, który siedział przy stole, bębniąc palcami po nefrytowym blacie, nagle przerwał.

Zerwał się, jakby tknięty jakąś nagłą myślą, gestem nakazując Cymeryjczykowi, aby szedł za nim. Pograżony w ponurych rozmyślaniach król usłuchał, a Pelias wyprowadził go z komnaty

na marmurowe, inkrustowane złotem schody, które wiodły na szczyt cytadeli, na dach jej najwyższej wieży. Była noc i po usianym gwiazdami niebie przelatywał wiatr, rozwiewając czarną grzywę Conana. Daleko w dole migotały światła Khorshemish, na pozór bardziej odległe niż gwiazdy skrzące się nad głowami. Pelias sprawiał wrażenie obojętnego i nieobecnego duchem człowieka, który znakomicie czuje się w zimnym towarzystwie gwiazd.

— Są stworzenia — rzekł — żyjące nie tylko na lądzie czy w morzu, ale też w powietrzu, a nawet wysoko w niebiosach, stwory, których istnienia ludzie nawet nie podejrzewają.

Jednak dla tego, kto zna Zaklęcia, Znaki i Wiedzę leżące u podstaw wszystkiego, nie są one ani

groźne, ani niedostępne. Patrz i nie lękaj się.

Wyciągnął ramiona ku niebu i wydał przeciągły, niesamowity okrzyk, który zdawał się bez końca rozbrzmiewać w przestrzeni, cichnąc i słabnąc, ale nie zamierając, tylko odpływając coraz dalej i dalej, w niezbadane głębie kosmosu. W ciszy, która wreszcie zapadła, Conan usłyszał pod gwiazdami nagły łopot skrzydeł i cofnął się, gdy z mroku wyłonił się ogromny, podobny do nietoperza stwór. Zobaczył spoglądające nań spokojnie wielkie oczy i gigantyczne skrzydła kilkunastometrowej rozpiętości. Barbarzyńca stwierdził, że nie był to ani ptak, ani nietoperz.

— Wsiadaj i leć — rzekł Pelias. — Przed świtem doniesie cię do Tarantii.

— Na Croma! — mruknął Conan. — Czy to sen, z którego obudzę się w mym pałacu w Tarantii? A co z tobą? Nie zostawię cię samego pośród nieprzyjaciół.

— Nie martw się o mnie — odparł Pelias. — O świcie lud Khorshemish dowie się, że ma nowego pana. Uwierz w to, co zsyłają ci bogowie. Spotkamy się na równinie pod Shamar.

Conan niechętnie wgramolił się na pomarszczony grzbiet i objął wygiętą szyję, wciąż przekonany, że to wszystko jest tylko koszmarnym snem. Z głośnym łopotem gigantycznych skrzydeł stwór uniósł się w powietrze; królowi lekko zakręciło się w głowie, gdy ujrzał, jak światła miasta szybko znikają w dole.

4

Miecz zabijający króla

Przecina spoiwo imperium.

(przysłowie akwilońskie)

Na ulice Tarantii wyległy wyjące tłumy, potrząsając pięściami i zardzewiałymi pikami. Za godzinę miał wstać świt drugiego dnia po bitwie pod Shamar — wydarzenia toczyły się tak szybko, że mogło zakręcić się w głowie. Jakimś sposobem wiadomym jedynie Tsotha-lanti wieść o śmierci króla dotarła do Tarantii już kilka godzin po bitwie. Powstało ogromne zamieszanie. Baronowie opuścili stolicę, pędząc co koń wyskoczy, aby bronić swoich

zamków przed zakusami sąsiadów. Solidnie zbudowane przez Conana królestwo zdawało się balansować na krawędzi rozpadu, a bankierzy i kupcy drżeli na myśl o powrocie dawnych, feudalnych rządów. Lud domagał się króla, który obroniłby ich zarówno przed obcymi wrogami, jak i własną arystokracją. Książę Trocero, pozostawiony przez Conana do sprawowania pieczy nad miastem, próbował ich uspokoić, ale ogarnięci paniką mieszczanie pamiętali tylko o dawnych wojnach domowych i o tym, że przed piętnastu laty ten sam hrabia oblegał Tarantię. Na ulicach krzyczano, że Trocero zdradził króla i chce splądrować miasto.

Najemnicy zaczęli rabować kwatery, wywlekając z domostw wrzeszczących kupców i przerażone kobiety.

Trocero uderzył na grabieżców, zasłał ulice ich trupami, zmusił pozostałych do bezładnego odwrotu i zaaresztował ich przywódców. Mimo to lud nadal szemrał, bezmyślnie powtarzając, że książę sam wzniecił zamieszki, żeby je stłumić.

Książę Arpello stanął przed zdezorientowaną radą i oznajmił, że skoro Conan nie pozostawił syna, on jest gotów objąć rządy nad miastem, dopóki nie zostanie obrany nowy król. Podczas gdy rada debatowała nad tą propozycją, jego agenci snuli się między ludźmi, przypominając, iż w żyłach Arpella płynie królewska krew. Członkowie rady słyszeli pod oknami okrzyki tłumu, domagającego się Arpella Zbawcy. Rada skapitulowała.

Trocero początkowo nie chciał zrzec się władzy nad miastem, ale tłum burzył się i wył, obrzucając jego rycerzy kamieniami i nieczystościami. W tych warunkach, widząc bezcelowość ulicznych walk z zastępami popleczników Arpella, Trocero cisnął buławę w twarz rywala, ostatnim rozkazem nakazał powiesić na rynku przywódców najemników i wyjechał południową bramą na czele swoich piętnastu setek zakutych w stal rycerzy. Gdy tylko wrota zatrzasnęły się za nimi, z twarzy Arpella zniknęła fałszywa dobroduszość, odsłaniając oblicze wygłodzonego wilka. Ponieważ rozbici najemnicy ukrywali się w swoich koszarach, jego żołnierze stali się jedynymi siłami zbrojnymi w Tarantii. Siedząc na wielkim białym

ogierze, Arpello wśród wiwatów otumanionego motłochu ogłosił się na rynku królem Akwilonii.

Kanclerz Publiusz, który sprzeciwił się temu, został wtrącony do lochu. Kupcy, którzy z ulgą przyjęli proklamację nowego władcy, teraz przekonali się z konsternacją, iż pierwszym posunięciem nowego monarchy było obłożenie ich morderczym podatkiem. Sześciu bogatych kupców, których wysłano, aby błagali o litość, pojmano i ścięto bez żadnych ceregieli. Po egzekucji zaszokowani i zdumieni mieszczanie ucichli. Kupcy, jak to jest w zwyczaju wszystkich kupców napotyających siłę, której nie potrafią przekupić, padli na tłuste brzuchy i lizali buty oprawcy.

Prości ludzie nie przejmowali się losem kupców, ale zaczęli sarkać, gdy przekonali się, że rozzuchwalone pellijskie żołdactwo pod pretekstem zaprowadzania porządku postępuje nie lepiej od turańskich bandytów. Skargi o wymuszenia, morderstwa i gwałty zaczęły napływać do Arpella, który zajął na swą kwaterę pałac Publiusza, ponieważ zrozpaczeni rajcy, skazani zaocznie na śmierć, zamknęli się w pałacu, gdzie dzielnie się trzymali. Arpello przechwycił letnią rezydencję Conana wraz z jego dziewczętami. Ludzie szemrali na widok królewskich piękności wijących się w brutalnych uściskach żołdaków Arpella. Ciemnookie panny z Poitain, wiotkie, czarnowłose dziewczki z Zamory, Zingary i Hyrkanii, brythuńskie dziewczęta o kędzierzawych, jasnych włosach — wszystkie szlochały ze strachu i wstydu, nienawykłe do przemocy.

Noc zapadła nad miastem pełnym zamętu i trwogi; tuż przed północą po ulicach rozeszła się wieść, że Kothijczycy, wykorzystując swoje zwycięstwo, kołaczą już do bram Shamar.

Któryś z ludzi należących do tajnej służby Tsothy musiał się wygadać. Strach zatrzęsł ludem niczym trzęsienie ziemi, tak że nawet nie zastanawiali się, jakim cudem ta wieść mogła tak szybko dotrzeć do miasta. Szturmowali drzwi pałacu, żądając, aby Arpello pomaszerował na

południe i odrzucił wroga za Tybor. On mógł im delikatnie wytłumaczyć, że ma zbyt małe siły i że nie zdoła zebrać armii, dopóki baronowie nie uznają jego prawa do tronu. Jednak pijany władzą nowy monarcha roześmiał im się w twarz.

Młody student Anthemides wspiął się na kolumnę na rynku i w płomiennych słowach

oskarżył Arpella o zмовę ze Strabonusem i w żywych barwach przedstawił ludowi perspektywę egzystencji pod rządami Kothijczyków, z Arpellem jako satrapą. Zanim skończył, tłum wrzeszczał z przerażenia i wściekłości. Arpello wysłał żołnierzy, aby aresztowali młodzieńca, ale tłum porwał go i uniósł w bezpieczne miejsce, obrzucając ścigających go żołdaków kamieniami i zdechłymi kotami. Strzały kuszników i szarża kawalerii usłały rynek ciałami, lecz Anthemides wymknął się z miasta i ruszył do Trocera błagać go, aby na powrót objął władzę nad Tarantią i pomaszerował na pomoc obleżonemu Shamar.

Zastał hrabiego zwijającego obóz rozbity pod murami miasta i dowiedział się, że Trocero zamierza maszerować do Poitain, leżącego w odległym, południowo–zachodnim krańcu królestwa. Na gorące błagania młodzieńca hrabia odpowiedział, że nie ma dość sił, aby odbić miasto — nawet przy pomocy tłumy za murami — ani by stawić czoła Strabonusowi. Ponadto podczas gdy on będzie walczył z Kothijczykami, chciwi sąsiedzi mogą za jego plecami splądrować Poitain. Teraz, gdy król nie żyje, każdy musi zadbać o siebie. On jedzie do Poitain, aby tam najlepiej jak zdoła stawić czoła Arpellowi i jego cudzoziemskim sprzymierzeńcom.

Podczas gdy Anthemides usiłował ubłagać Trocera, ogarnięty bezsilną wściekłością tłum nadal szalał po mieście. U stóp wielkiej wieży wznoszącej się opodal królewskiego pałacu falował i kłębił się motłoch, miotając przekleństwa na Arpella, który stał na blankach i natrząsał się z nich, podczas gdy jego żołnierze obsadzili parapety, trzymając napięte cięciwy i palce na spustach kusz.

Książę Pelli, krępy mężczyzna średniego wzrostu, o ciemnej i ponurej twarzy, był intrygantem, ale także wojownikiem. Pod jego jedwabnym, szamerowanym złotem żupanem o bufiastych rękawach połyskiwała stal pancerza. Długie, utrefione i skropione pachnidłami włosy miał spięte przetykaną srebrem opaską, ale u jego boku zwisał szeroki miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści wytartej w licznych bitwach i potyczkach.

— Głupcy! Wycie, ile chcecie! Conan nie żyje i Arpello jest królem!

I co z tego, że cała Akwilonia obróci się przeciw niemu? Ma dość żołnierzy, aby utrzymać miasto do czasu nadejścia Strabonusa. Poza tym Akwilonia wstrząsały wewnętrzne waśnie. Baronowie już szykowali się, by zagarnąć włości sąsiadów. Arpello miał przeciw sobie jedynie bezsilny tłum. Strabonus przedrze się przez wątle szyki zwaśnionych baronów jak żelazny taran galery przez morską pianę, a do jego nadejścia samozwańczy monarcha musi jedynie utrzymać stolicę.

— Głupcy! Arpello jest królem!

Słońce wznosiło się już nad wschodnimi wieżami miasta, gdy na zaróżowionym niebie pojawił się czarny, rosnący w oczach punkt. Był wielkości nietoperza, potem orła... Nagle wszyscy zgromadzeni na placu wydali okrzyk zdumienia, gdy nad murami Tarantii śmignął stwór znany ludziom jedynie z na pół zapomnianych legend. Na moment zawisł nad wielką wieżą, a z jego grzbietu zeskoczyła jakaś ludzka postać, po czym z ogłuszającym łopotem skrzydeł stwór zniknął, a lud zamrugał oczami, myśląc, że śni na jawie. Jednak na blankach stała jakaś półnaga, okrwawiona postać, dzierżąca w dłoniach wielki miecz. Z gardeł wielotysięcznego tłumu wydobył się ryk, który wstrząsnął wieżami miasta:

— To król! Król!

Arpello stał jak skamieniały; w końcu z dzikim okrzykiem porwał za miecz i skoczył na Conana. Ten ryknął jak zraniony lew, odparował morderczy cios, po czym odrzuciwszy swój oręż, złapał księcia za kark oraz pachwinę i podniósł go wysoko nad głowę,

— Zabierz swoje spiski do piekła! — ryknął i cisnął pelijski księciem jak workiem soli

w pięćdziesięciometrową otchłań. Lud rozpierzchnął się na boki na widok spadającego ciała, które roztrzaskało się na marmurowych płytach, bryzgając wokół mózgiem oraz krwią, i leżało bez ruchu w popękany pancerzu jak rozdeptany żuk.

Kusznicy na wieży wpadli w panikę i rzucili się do ucieczki. Wtedy z pałacu wypadli

zabarykadowani w nim rajcy i zaczęli zaciekle siec uciekających. Pellijscy rycerze i zbrojni poszli w rozsypkę, szukając ratunku na ulicach, lecz tłum rozszarpał ich na strzępy. Fala ulicznych walk przetoczyła się przez miasto; tu i ówdzie nad zmierzwionymi czuprynami przez chwilę widać było spiczasty szyszak lub stalowy hełm albo miecz wznoszący się i opadający wściekle pośród gęstniejącego lasu pik, zaś nad wszystkim unosił się ryk żądnego krwi tłumu i wrzaski konających. Wysoko nad nimi półnagi król chwiał się i kołysał, wymachując potężną bronią na mrocznych blankach wieży, wstrząsany atakiem gargantuicznego śmiechu, którym drwił ze wszystkich tłumów i książąt, a nawet z siebie samego.

5

Weź w dłoń swój długi, mocny łuk,

i niechaj niebo ściemnieje!

Napnij cięciwę, do ucha bełt

— król Koth będzie twym celem!

(pieśń bossońskich łuczników)

Popołudniowe słońce migotało na spokojnych wodach Tyboru, omywających południowe bastiony Shamar. Wycieńczeni obrońcy miasta wiedzieli, że niewielu z nich doczeka świtu. Cała równina była usiana namiotami oblegających. Ze względu na przewagę liczebną wroga obrońcy Shamar nie mogli zapobiec przeprowadzeniu się napastników przez rzekę. Złączone ze sobą barki utworzyły most, po którym hordy nieprzyjaciół przechodziły na drugą stronę. Strabonus nie odważyłby się wkroczyć w głąb Akwilonii, pozostawiając za sobą niezdobyte Shamar. Posłał naprzód swoją lekką jazdę i spahisów, aby pustoszyli kraj, podczas gdy pozostałe oddziały budowały na równinie maszyny oblężnicze. Flotyła łodzi, dostarczonych mu przez Amalrusa, kotwiczyła na rzece pod murami miasta. Niektóre z nich, trafione kamieniami wyrzuconymi przez miejskie balisty, poszły na dno ze strzaskanymi

pokładami i poszyciem, jednak większość pozostała na swoich stanowiskach, a z ich rej i masztów chronieni słomianymi matami łucznicy trzymali w szachu wysunięte ku rzece baszty. Łucznikami byli Shemici, którzy rodzą się z łukami w ręku i z którymi nie mogą się równać nawet akwilońscy strzelcy.

Od strony lądu katapulty miotały na miasto deszcz gładów i pniaków, przebijając dachy i miażdżąc ludzi jak chrząszcze, tarany nieustannie waliły w mury, saperzy ryli ziemię jak krety, zakładając miny pod basztami. Fosa została na jednym końcu przegrodzona tamą i wypełniona gładami, ziemią, trupami koni i ludzi. Pod murami kłębiły się szturmujące oddziały odzianych w zbroje wojowników, rąbiących wrota, ciągnących drabiny i popychających ku blankom pełne oszczepników wieże oblężnicze.

W mieście stracono już wszelką nadzieję, chociaż tysiąc pięciuset obrońców nadal stawiało opór czterdziestu tysiącom zbrojnych. Żadne wieści nie docierały z głębi kraju do Shamar, najdalej na południe wysuniętej twierdzy Akwilonii. Conan nie żył, co radośnie wykrzykiwali najeźdźcy. Tylko potężne mury i rozpaczliwa odwaga obrońców powstrzymywały oblegających, a te nie mogły już wystarczyć na długo. Zachodnia ściana obróciła się w gruzowisko, na którym garstka obrońców toczyła morderczą walkę wręcz z napastnikami; w innych miejscach mury popękały od podkładanych pod nie min, a baszty chyliły się jak pijane, grożąc zawaleniem.

Teraz atakujący szykowali się do szturm. Zagrzmiały rogi i zwarły się zakute w stal szeregi. Obite niewyprawnymi byczymi skórą wieże oblężnicze ze złowrogim łoskotem potoczyły się naprzód. Mieszkańcy Shamar ujrzeni powiewające obok siebie na wietrze proporce Koth i Ophiru i dostrzegli pośród szeregów lśniących rycerzy szczupłego, odzianego w złoty pancerz Amalrusa oraz krępego Strabonusa w czarnej zbroi. A między nimi stała postać, na widok której nawet najodważniejszych przejmował dreszcz zgrozy — chudy, podobny do sępa człowiek w zwiewnej, białej szacie. Pikinierzy ruszyli, ciągnąc zwartą masą jak lśniąca rzeka roztopionej stali; za nimi podążali rycerze dzierżący w dłoniach zwieńczone proporcami kopie. Wojownicy na murach nabrali tchu w piersi i polecając dusze Mitrze,

mocniej ścisnęli rękojeści poszczerbionych i okrwawionych mieczy.

Nagle, bez ostrzeżenia, nad narastający gwar wzniósł się dźwięk rogu. Tętent kopyt zagłuszył chrzęst atakującej jazdy. Na północnym krańcu doliny, po której kroczyła armia najeźdźców, wznosiło się pasmo niskich wzgórz, ciągnących się ku północy i ku zachodowi niczym stopnie gigantycznych schodów.. Teraz z ich zboczy spływały, niczym gnana morską falą piana, resztki spahisów, wysłanych, aby pustoszyli okolicę; przyklejeni do końskich karków, bodli wierzchowce ostrogami, a słońce lśniło na zakutych w stal sylwetkach. Po chwili wyroiły się z wąwozów, stając się dobrze widoczne, długie szeregi pancерnej jazdy, nad którymi powiewał wielki sztandar Akwilonii ozdobiony wizerunkiem lwa.

Obrońców na murach ogarnął szal radości, a donośny krzyk wzbił się pod niebiosa.

Ogarnięci ekstazą wojownicy łomotali poszczerbionymi mieczami w pogięte tarcze, zaś mieszkańcy miasta — obdarci nędzarze i bogaci kupcy, dziwki w czerwonych spódniczkach i damy w jedwabiach i atłasach — padli na kolana, składając dzięki Mitrze ze łzami szczęścia płynącymi im po twarzach.

Strabonus wraz z Arbanusem wydawali chaotyczne rozkazy, usiłując obrócić nieruchawe formacje w kierunku nieoczekiwanego zagrożenia.

— Nadal mamy nad nimi przewagę liczebną — mruknął monarcha. — Chyba że mają w górach jakieś ukryte rezerwy. Nasi ludzie w machinach oblężniczych powstrzymają wszelkie próby wypadu z miasta. To Poitańczycy — mogliśmy przewidzieć, że Trocero w swej dumie poważy się na takie szaleństwo!

Amalrus krzyknął ze zdumienia.

— Widzę Trocera i jego kapitana, Prospera — ale kto pędzi między mmi?

— Isztar, miej nas w opiece! — wrzasnął poblądły Strabonus. — To król Conan!

Chyba oszalałeś! — syknął Tsotha, wzdrygnąwszy się nerwowo. — Conan od wielu dni spoczywa w brzuchu Sathy!

Urwał, patrząc oszalałym wzrokiem na zastępy jeźdźców, spływające fala za falą na równinę. Nie mógł nie poznać ogromnego wojownika w czarnej, inkrustowanej złotem zbroi, który dosiadał olbrzymiego czarnego ogiera pod łopoczącym na wietrze sztandarem Akwilonii. Z ust Tsotha-lanti wyrwał się przeraźliwy wrzask wściekłości i piana wystąpiła mu na usta. Po raz pierwszy w życiu Strabonus widział czarownika tak rozgniewanego i aż skulił się na ten widok.

— To czary! — wrzeszczał Tsotha, wściekle tarmosząc swoją brodę. — Jakże inaczej zdołałby uciec, dotrzeć do swego królestwa na czas i tak szybko przybyć tu ze swą armią? To sprawka Peliasa, przekleństwo na jego głowę! Wyczuwam w tym jego rękę! Niech będzie przeklęta moja głupota, że zostawiłem go przy życiu, kiedy miałem go w rękę!

Królowie struchleli, słysząc imię maga, którego od dziesięciu lat uważali za martwego i przestрах wladców udzielił się ich zastępom. Wszyscy poznali jeźdźca na czarnym ogierze. Tsotha wyczuł przesądny lęk swoich ludzi i furia wykrzywiła mu twarz, zmieniając ją w diabelską maskę.

— Atakować! — wrzasnął, szaleńczo wymachując rękami. — Nadal jesteśmy od nich silniejsi! Naprzód, zmiażdżyć te psy! Dziś wieczór będziemy fetować zwycięstwo na ruinach Shamar! O Secie! — wznosił ramiona ku niebu, wzywając boga — węża ku przerażeniu wszystkich słuchających, nawet Strabonusa. — Ześlij nam zwycięstwo, a przysięgam, że złożę ci w ofierze pięćset shamaryjskich dziewic wijących się we własnej krwi!

Tymczasem nadciągające oddziały zjechały już na równinę. Za rycerzami podążała jakby druga, nieregularna armia — mrowie jeźdźców na mocnych, szybkich konikach. To przysadziści bossońscy łucznicy i zapalczywi gunderlandzcy pikinierzy o wymykających się spod okapów stalowych hełmów jasnych włosach, którzy na równinie zsiadli z wierzchowców i sformowali pieszy szyk.

Armia, którą Conan zebrał w czasie kilku szalonych godzin po powrocie do Tarantii,

stanowiła istną zbieraninę. Zaczął od tego, że odgonił spieniony motłoch od pellijskich oddziałów strzegących murów miasta i wziął ich pod swoją komendę. Pchnął gońca na śmigłym rumaku w ślad za Trocerem, żeby sprowadził hrabiego. Stworzywszy trzon swojej armii, ruszył na południe, przeczesując miasta i wsie w poszukiwaniu rekrutów i koni. Szlachta z Tarantii i okolic zasiłała jego oddziały, tak samo jak każda napotkana po drodze wioska czy zamek. Jednak siły, jakimi dysponował przeciw najeźdźcom, choć bitne i wytrzymałe, nie były regularną armią.

Miał pod sobą dziewiętnaście setek pancерnej jazdy, której większość stanowili Poitainczycy. Piechota, składająca się z resztek najemników i zawodowych żołnierzy dostarczonych przez lojalnych wielmożów, liczyła jakieś pięć tysięcy łuczniczków i cztery tysiące pikinierów. Oddziały stały w zwartym szyku — najpierw łucznicy, potem pikinierzy, a za nimi posuwający się stępa jezdni.

Arbanus zwrócił przeciw nim siły sprzymierzonych władców, sunące naprzód jak ocean lśniącej stali. Obserwatorzy na murach miasta zadrżeli, widząc, jak wielką przewagę mają najeźdźcy nad wybawcami. Na przedzie kroczyli shemiccy łucznicy, potem kothijscy oszczepnicy, a za nimi zakuci w zbroję rycerze Strabonusa i Amalrusa. Zamiar Arbanusa był przejrzysty — chciał odrzucić na boki piechotę Conana, otwierając drogę dla druzgocącej szarzy ciężkiej kawalerii.

Zbliżywszy się na odległość pięciuset kroków, Shemicy zaczęli szyc z łuków i chmura strzał przesłoniła na chwilę słońce. Zachodni łucznicy, wyćwiczeni przez tysiąclecia bezlitosnych walk z dzikimi Piktami, parli uparcie naprzód, zwierając szeregi, gdy ten i ów padał trafiony. Tamci mieli znaczną przewagę, a i shemicki łuk ma większy zasięg; jednak celnością Bossończycy nie ustępowali Shemitom, a zręczność wrogów równoważyli większym duchem bojowym i doskonałością pancерzy. Znalazłszy się w odległości strzału, zwalniali cięciwy i Shemicy zaczęły padać całymi szeregami. Czarnobrodzi wojownicy w

swoich lekkich kolczugach nie mogli znieść wymiany strzał tak dobrze, jak odziani w grubsze pancerze Bossończycy. Pierzchnęli, ciskając łuki i rozbijając szyki kroczących za nimi kothijskich oszczepników.

Pozbawieni osłony łuczników oszczepnicy ścielili się setkami pod bossońskimi strzałami, gdy biegli ile sił w nogach, aby skrócić dystans i odbijali się od najeżonych pikami szeregów.

Żadna piechota na świecie nie mogła równać się z dzikimi Gundermanami, których ojczyzna — najdalej wysunięta na północ prowincja Akwilonii — była oddalona od Cymerii zaledwie o dzień jazdy przez bossońskie równiny i którzy byli nie tylko urodzonymi wojownikami, ale też chlubili się tym, że wywodzili swój rodowód wprost od dawnych Hyborian. Przerażeni poniesionymi stratami Kothijczycy zostali rozbici w proch i rzucili się do ucieczki.

Strabonus ryknął z wściekłości, widząc klęskę swojej piechoty i nakazał frontalny atak; Arbanus mitygował go, wskazując na Bossończyków, którzy uformowali nowy szyk przed oddziałami akwilońskiej jazdy, stojącymi bez ruchu podczas pierwszej potyczki. Generał doradzał chwilowy odwrót, aby wywabić konnicę spoza osłony łuczników, lecz Strabonus oszalał ze złości. Spojrzał na długie, błyszczące szeregi swoich jeźdźców, obrzucił nienawistnym spojrzeniem garstkę jeźdźców przeciwnika i rozkazał Arbanusowi, by dał sygnał do ataku.

Generał polecił duszę Isztar i zadał w złoty róg. Las kopii pochylił się z hukiem gromu i konnica potoczyła się po równinie, stopniowo nabierając rozpędu. Ziemia zadrżała pod grzmiącą lawiną kopyt, a błyski złota i stali oślepiły patrzących na to z bastionów obrońców Shamar.

Szwadrony jazdy przetoczyły się przez szeregi pikinierów, tratując zarówno wrogów, jak swoich, i wpadły w chmurę strzał wypuszczonych przez Bossończyków. W deszczu strzał gnali jak burza przez równinę, pozostawiając za sobą ziemię zasłaną ciałami jeźdźców jak

jesiennymi liśćmi. Jeszcze sto kroków, a wpadliby na łuczników, kładąc ich pokotem jak łan pszenicy; lecz ludzka natura nie zdołała wytrzymać gradu strzał, zbierającego swe śmiertelne żniwo. Łucznicy stali na szeroko rozstawionych nogach, ramię przy ramieniu jak jeden mąż,

przyciągając cięciwy do uszu i wypuszczając strzały w rytm krótkich okrzyków.

Zwalili z nóg cały pierwszy szereg jeźdźców, tak że następne potykały się o naszpikowane strzałami trupy towarzyszy i wierzchowców, waląc się na ziemię. Arbanus padł z gardłem przeszytym strzałą i czaszką roztrzaskaną kopytem zdychającego wierzchowca, a pozbawione dowódcy oddziały wpadły w panikę. Strabonus wykrzykiwał jedne rozkazy, Amalrus inne, a wszystkich ogarnął zabobonny lęk obudzony niespodziewanym pojawieniem się Conana.

A kiedy w lśniących szeregach nieprzyjaciół zapanowało zamieszanie, zagrały królewskie surmy i bossońscy łucznicy rozstąpili się na boki, a przez powstałą wyrwę runęła straszliwa nawałnica akwilońskiej jazdy.

Oddziały zwarły się z trzaskiem, od którego zatrzęsła się ziemia i zadrżały wieże Shamar.

Zmieszane szyki najeźdźców nie mogły wytrzymać uderzenia najeżonego kopiami pancernego klina, który runął na nich jak błyskawica. Długie lance atakujących rozniosły ich w puch, a poitaińscy rycerze wpadli między skłębione szeregi, wywijając swoimi straszliwymi, oburęcznymi mieczami.

Podniósł się łomot i szcęk stali, jakby milion młotów uderzało o tyleż samo kowadeł.

Ogłuszeni tym łoskotem widzowie na murach, przytrzymując się blanków, jak oniemiała spoglądali na przetaczający się stalowy wir pysznych szyszaków, migoczących mieczów, chwiejących się i padających proporców.

Amalrus padł z barkiem rozplatanym oburęcznym mieczem Prospera i skonał stratowany końskimi kopytami. Najeźdźcy całkowicie otoczyli dziewiętnaście setek rycerzy Conana, ale żołnierze Koth i Ophiru daremnie napierali na ten zwarty, stalowy klin, który coraz głębiej wbijał się w ich szeregi. Nie zdołali go rozerwać.

Łucznicy i pikinierzy, rozprawiwszy się z resztkami kothijskiej piechoty, która w beładnej ucieczce usłała swymi ciałami całą równinę, stanęli na obrzeżach bitwy, wypuszczając strzały z bliskiej odległości i doskakując, aby ciąć nożami końskie brzuchy i pęciny oraz godzić długimi pikami w jeźdźców.

Jadący na czele stalowego klina Conan raz po raz wydawał swój barbarzyński okrzyk

bojowy i zataczał mordercze kręgi swym wielkim mieczem, któremu nie oparł się ani żelazny hełm, ani stalowa misiurka. Parł naprzód, zostawiając za sobą łąn trupów, aż kothijscy rycerze zwarli się za jego plecami, odcinając go od towarzyszy. Jednak Cymeryjczyk gnał dalej jak piorun, samym impetem torując sobie drogę, aż dotarł do pobladłego Strabonusa, otoczonego swoją gwardią. W tym momencie ważyły się losy bitwy, ponieważ mający liczebną przewagę Strabonus mógł jeszcze zwyciężyć.

Ujrzawszy swego zagorzałego wroga o długość ramienia, król Koth wrzasnął i zamachnął się toporem. Ostrze skrzeszło skry z szyszaka Cymeryjczyka, który zachwiał się w siodle i oddał cios. Półtorametrowe ostrze zgruchotało hełm i czaszkę Strabonusa, a rumak monarchy zakwiczał i stanął dęba, zrzucając z siodła bezwładne, martwe ciało. Wśród kothijskiej konnicy podniósł się głośny jęk; szyki zachwiały się i odstąpiły. Tnąc i siekąc rozpaczliwie, Trocero przedarł się ze swoim poczem do Conana i wielki sztandar Koth runął na ziemię.

Wtedy za plecami oszołomionych i wystraszonych najeźdźców rozległ się potężny łoskot i pod niebo uniosła się wielka łuna — to obrońcy Shamar przeprowadzili desperacki wypad i wyrznawszy w pień oddział pilnujący wrót, szaleli wśród namiotów oblegających, wycinając w pień obozowe ciury, pałac i niszcząc maszyny oblężnicze. Ta kropla przepelniła czarę. Wspaniała armia sprzymierzonych rzuciła się do bezładnej ucieczki, ścigana przez rozwścieczonych zwycięzców.

Uciekinierzy pędzili ku rzece, lecz żołnierze na barkach, srodze nękani przez obrońców miasta, którzy ze zdwojonym zapalem zasypywali ich teraz kamieniami i strzałami, zrezygnowali z walki i ruszyli w kierunku południowego brzegu, pozostawiając kamratów ich własnemu losowi. Część z nich dotarła na drugi brzeg po szepionych barkach tworzących most, lecz wojownicy Shamar zerwali cumy i odcięli im tę drogę ucieczki. Wtedy bitwa zmieniła się w rzeź. Spychani do rzeki, gdzie tonęli w swoich pancerzach, lub wycinani na brzegu najeźdźcy ginęli tysiącami. Przedtem nikomu nie dawali pardonu, teraz sami nie mogli go oczekiwać.

Od podnóża gór aż po brzegi Tyboru cała równina była usłana trupami, a unoszący martwe ciała rzeczny nurt poczerwieniał od krwi. Z tysiąca dziewięciuset rycerzy, którzy wyruszyli z Conanem na południe, ledwie pięciuset przeżyło, aby chełpić się swoimi bliznami, a wśród łuczników i pikinierów śmierć zebrała jeszcze większe żniwo. Jednak nieprzebrane, zakute w stal zastępy Strabonusa i Amalrusa przestały istnieć, a tych, którzy uszli, było mniej niż tych, co padli na polu bitwy.

Kiedy na drugim brzegu rzeki trwała rzeź, daleko na łąkach rozgrywał się ostatni akt ponurego dramatu. Wśród tych, którzy zdołali przejść po moście z barek, zanim go zniszczono, był Tsotha, mknący jak wichra na wychudłym, niesamowicie wyglądającym wierzchowcu, z którym nie mógł się równać żaden normalny rumak. Tratując przyjaciół i wrogów, dotarł już na południowy brzeg, gdy obejrzawszy się za siebie, dostrzegł ścigającą go zawzięcie, okropną postać na czarnym ogierze. Cumy już przecięto i barki zaczęły dryfować po rzece, ale Conan zuchwale jechał dalej, przeskakując ze szkuty na szkutę jak człowiek przedostający się z jednej kry na drugą. Tsotha cisnął straszliwe zaklęcie, ale wielki ogier, stęknawszy z wysiłku, spał się do ostatniego, długiego skoku i znalazł się na drugim brzegu. Czarownik pomknął po łąkach, a król ruszył jego śladem, gnając jak oszalały i w milczeniu wywijając wielkim mieczem, z którego przyskały na szlak szkarłatne krople krwi.

Galopowali tak — myśliwy i zwierzyna — lecz czarny ogier, chociaż wyteżał każdy mięsień i nerw, nie zdołał nawet o metr zmniejszyć dzielącej ich odległości. W promieniach zachodzącego słońca mknęli przez krainę złudnych cieni, aż odgłosy rzezi pozostały w tyle i całkiem ucichły. Nagle na niebie pojawiła się jakaś plamka i szybko urosła, zmieniając się w ogromnego orła. Ptak spadł z nieba jak kamień wprost na łeb rumaka czarownika;

wierzchowiec zarżał i stanął dęba, zrzucając jeźdźca. Stary Tsotha wstał i obrócił się twarzą do nadjeżdżającego prześladowcy; oczy maga przypominały ślepią zmi, a twarz wykrzywiła się w nieludzkim grymasie wściekłości. W każdej ręce trzymał jakiś błyszczący przedmiot; Conan wiedział, że to, co trzyma Tsotha, niesie śmierć.

Cymeryjczyk zeskoczył z konia i ruszył w kierunku wroga, pobrzękując zbroją i wysoko

unosząc miecz.

— I znów się spotykamy, czarowniku! — rzekł, szczerząc zęby.

— Trzymaj się ode mnie z daleka! — wrzasnął Tsotha jak żądny krwi szakal. — Zedrę ciało z twych kości! Nie zdołasz mnie pokonać — nawet jeśli porąbiesz mnie na kawałki, ciało i kości znów się zrosną, żeby doprowadzić cię do zguby! Widzę w tym rękę Peliasa, ale dam radę wam obu! Jam jest Tsotha, syn...

Conan skoczył na niego, błyskając mieczem i czujnie mrużąc oczy. Tsotha zamachnął się prawą ręką, ale król uchylił się błyskawicznie. Coś przeleciało obok jego nakrytej hełmem głowy i wybuchło za jego plecami, paląc piach w rozbłysku piekielnego ognia. Zanim Tsotha zdołał cisnąć kulę trzymaną w lewej dłoni, miecz Cymeryjczyka przeciął jego chudy kark. Głowa czarownika spadła z tryskającej fontanną krwi szyi, a odziane w białą togę ciało zachwiało się i osunęło na ziemię. Jednak oszalałe, czarne oczy spoglądały na Conana z tym samym złowieszczym wyrazem, a ręce macały wokół, jakby szukając odciętej głowy. Wtem z poszumem skrzydeł z nieba spłynął ogromny ptak — orzeł, który zaatakował konia Tsothy. Porwał ociekającą krwią głowę w szpony i wzniósł się w niebo, a Conan stanął jak wryty, gdyż z gardła orła wydobył się donośny ludzki śmiech — śmiech Peliasa czarnoksiężnika. Wtedy zdarzyło się coś przekraczającego wszelkie wyobrażenie, gdyż bezgłowy korpus podniósł się z ziemi i ruszył chwiejnie, z wyciągniętymi przed siebie ramionami, za oddalającą się coraz szybciej i znikającą na mrocznym niebie plamką. Conan, patrząc na to stał jak skamieniały, aż biegnąca postać wtopiła się w okrywający łąki purpurą mrok.

— Na Croma! — rzekł, wruszając potężnymi ramionami. — Zaraza na te swary czarnoksiężników! Pelias ładnie wobec mnie postąpił, ale wolałbym już nigdy go nie oglądać. Dajcie mi solidnego wroga i porządny miecz, w którego mógłbym go wbić. Do licha! Czegóż bym teraz nie oddał za dzban dobrego wina!